



DIANA
PALMER

*Uczucia
na pokaz
Sati ne*

DIANA PALME

Uczucia na pokaz

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zraniona noga chłopca mocno krwawiła. Doktor Louise Blakely wiedziała, jak mu pomóc, było to jednak o tyle trudne, że chcąc skutecznie zatamować krew wypływającą z uszkodzonej tętnicy wprost na poźółkłą grudniową trawę, musiała mocno uciskać ranę.

- Boli... - jęknął mały Mart. - Auu!

- Musimy powstrzymać krwawienie - wyjaśniła rzeczowo, uśmiechając się do chłopca. Jej brązowe oczy lśniły przyjaznym blaskiem, szczupłą twarz otulały gęste ciemnoblonde włosy. - Założymy ci szwy, a jak już będzie po wszystkim, poproś mamę, żeby kupiła ci loda - podsunęła, zerkając na stojącą obok bladą kobietę, która natychmiast gorliwie potaknęła. - Co ty na to? Podoba ci się ten pomysł?

- Czy ja wiem... - mruknął chłopiec, przytrzymując chorą nogę powyżej miejsca, które uciskała lekarka.

- Wytrzymaj jeszcze trochę - poprosiła, wyglądając niecierpliwie karetki, którą na jej prośbę wezwał jeden z gapiów. Na szczęście pomoc była już blisko. Lou słyszała narastający dźwięk syreny. Nawet w tak małym miasteczku jak Jacobsville służby medyczne działały bardzo sprawnie.

- Będziesz jechał prawdziwą karetką - powiedziała chłopcu. - W poniedziałek opowiesz o wszystkim kolegom ze szkoły.

- Będę mógł wrócić do domu? - ucieszył się Mart. - Nie zostanę w szpitalu?

- Myślę, że tym razem twoja wizyta skończy się w pokoju

zabiegowym, gdzie udzielamy pomocy w nagłych wypadkach - roześmiała się. - A teraz uważaj: za chwilę sanitariusze przeniosą cię do ambulansu. Obserwuj ich uważnie, patrz, co robią, i staraj się wszystko zapamiętać.

- Zapamiętam! - obiecał, ona zaś, widząc nadjeżdżający samochód na sygnale, szybko wstała. Ledwie karetka zatrzymała się obok radiowozu, wyskoczyli w niej dwaj sanitariusze i podbiegli do chłopca. Kiedy ostrożnie przenosili go na nosze, Lou podeszła do towarzyszącej im kobiety, i opisawszy zwięźle obrażenia chłopca, wydała instrukcje dotyczące zabiegów i badań, które trzeba wykonać po przyjeździe do szpitala. Ponieważ sama tam pracowała, postanowiła jechać za karetką swoim samochodem.

Nim ruszyła, podszedł do niej policjant, który wcześniej zatrzymał nieuważnego kierowcę i postawił mu zarzut spowodowania wypadku, w którym ucierpiał mały rowerzysta.

- Szczęście, że akurat była pani w pobliżu - westchnął. - Rana wygląda paskudnie.

- Do wesela się zagoi - odparła, zamykając torbę lekarską, z którą nigdy się nie rozstawała. Wychodząc z gabinetu, zabierała ją z sobą i wkładała do bagażnika. Tym razem okazała się bardzo potrzebna.

- Pracuje pani z doktorem Coltrainem, prawda? - zagadnął domyślnie.

- Tak - odparła lakonicznie. Wymowna mina policjanta powiedziała jej, że dalsze wyjaśnienia są zbędne. Całe Jacobsville

wiedziało, że doktorowi Coltrainowi partner potrzebny jest jak dziura w moście. Albo alkohol. W ciągu kilku miesięcy wspólnej praktyki lekarskiej wielokrotnie dał jej to do zrozumienia.

- Dobry z niego człowiek - stwierdził policjant. - Uratował moją żonę, kiedy ciężko zachorowała na płuca - dodał, uśmiechając się do wspomnień. - Nigdy nie traci głowy, zresztą z tego, co widziałem, pani też jest bardzo opanowana. Widać, że zna się pani na rzeczy i wie, jak pomóc.

- Dziękuję panu - odparła z przelotnym uśmiechem, po czym wsiadła do swojego małego forda i ruszyła za karetką.

Izba przyjęć jak zwykle pełna była chorych. W soboty z reguły zdarzało się dwa razy więcej wypadków niż w dni powszednie. Idąc korytarzem za wózkiem wiozącym Marta, Lou odpowiadała na powitania swoich pacjentów.

W tym samym czasie doktor Coltrain opuszczał salę operacyjną. Spotkali się na korytarzu. Zielony chirurgiczny strój nie był szczególnie twarzowy i ktoś inny z pewnością wyglądałby w nim pokracznie. Ale nie Coltrain. Jemu nie zaszkodził nawet czepek zakrywający gęste rude włosy. Mimo szpitalnego uniformu prezentował się elegancko i budził respekt.

- Co pani tu robi? Ustaliliśmy, że w sobotę sam robię obchód - rzucił szorstko.

Oho, zaczyna się, pomyślała. Zaraz zrobi użytek z pierwszego prawa Coltraina: zawsze i wszędzie wyciągaj pochopne wnioski.

Kusiło ją, żeby się uśmiechnąć, ale nie zrobiła tego.

- Przypadkiem znalazłam się na miejscu wypadku - tłumaczyła się.

- Do wypadków jeżdżą ekipy karettek pogotowia. Za to im płacą - strofował ją, nie zważając na przechodzący obok personel.

- Ja przecież nie pojechałam tam specjalnie... - zdenerwowała się.

- Nie życzę sobie takich sytuacji. Jeśli to się powtórzy, poproszę Wrighta, żeby rozwiązał z panią umowę. Czy wyrażam się jasno? - zapytał chłodnym tonem. Wspomniany Wright był dyrektorem administracyjnym szpitala, on zaś szefem personelu medycznego, tak więc jego słowa nie były czczą pogróżką.

- Czy pan mnie w ogóle słucha? - zirytowała się. - Nie było mnie w tej karetce... !

- Pani doktor! Idzie pani? - zawołał jeden z sanitariuszy.

Coltrain spojrzał na niego, potem na nią. Nie kryjąc rozdrażnienia, zerwał w głowy czepek. Wyraz jego niebieskich oczu był tak samo groźny jak cała postura.

- Skoro pani życie prywatne, droga pani doktor, jest aż tak nieciekawe, że musi pani szukać rozrywki wśród personelu niższego szczebla, może powinna pani zastanowić się nad jakąś zmianą - rzucił kąśliwie.

Nim zdążyła odpowiedzieć, odszedł. Rozzłoszczona teatralnym gestem wzniosła ręce do nieba. Jeszcze nigdy nie udało jej się dokończyć przy nim zdania, bo albo w ogóle nie dopuszczał jej do

głosu, albo przerywał w pół słowa i nie czekając na ripostę, pośpiesznie odchodził do swoich pilnych spraw. Zresztą dyskusja z nim i tak nie miała sensu. Czego bowiem by nie powiedziała albo nie zrobiła, i tak zawsze stała na straconej pozycji.

- Wcześniej czy później coś sobie złamiesz - mruknęła mściwie, wpatrując się w jego plecy - a wtedy tak cię urządzę, że mnie popamiętasz. Jak mi Bóg miły, zrobię z ciebie gipsową mumię.

Przechodząca obok pielęgniarka delikatnie poklepała ją po ramieniu.

- Spokojnie, pani doktor. Znowu panią poniosło.

Lou zacisnęła zęby. Koledzy ze szpitala podśmiewali się, że po każdym starciu z doktorem Coltrainem Louise zaczyna mówić sama do siebie. Czyli robi to niemal non stop. Niewykluczone, że do Coltraina mimo wszystko docierały jej słowa, a przynajmniej niektóre z nich, nigdy jednak nie dał tego po sobie poznać.

Mrucząc ze złości, obróciła się na pięcie i dołączyła do sanitariuszy.

Opatrywanie chłopca trwało ponad godzinę, okazało się bowiem, że poza rozciętą nogą ma więcej obrażeń, które wymagają założenia szwów. Zdaje się, że w nagrodę mama będzie musiała wykupić pół lodziarni, pomyślała Lou, która pomyliła się co do jeszcze jednej rzeczy - wbrew jej przewidywaniom Mart musiał zostać w szpitalu. I dobrze, pocieszała się; przynajmniej będzie miał czym zaimponować kolegom. Skończywszy dyżur, pożegnała się z chłopcem i

przypomniała mu, że jeżdżąc na rowerze po mieście, musi być bardzo ostrożny.

- Proszę się o to nie martwić, pani doktor - odrzekła zdecydowanie jego mama. - Już nie pozwolę mu jeździć po ulicy.

Lou skinęła głową i sięgnąwszy po torbę, wyszła z sali. Przemknęło jej przez myśl, że w dżinsach, sportowych butach i zwykłym T - shircie bardziej wygląda jak studentka na wakacjach niż poważna pani doktor. Miała włosy związane w koński ogon i ani śladu makijażu. Po co miała podkreślać urodę pełnych ust i brązowych oczu, skoro nie było mężczyzny, na którym chciałyby zrobić wrażenie? No, może z jednym wyjątkiem. Tyle że akurat ten, w którym zakochała się po uszy, nie zwróciłby na nią uwagi nawet gdyby przyszła do pracy w worku na ziemniaki. „Rudy” Coltrain widział w niej wyłącznie koleżankę po fachu, a jeśli już coś go w niej interesowało, to tylko jej kompetencje. I choć na tych jej nie zbywało, on zachowywał się tak, jakby nie dostrzegał jej profesjonalizmu. We wszystkim, co robiła, doszukiwał się błędów i uchybień. Czasem zastanawiała się, po co w ogóle zgodził się na tę współpracę, skoro ewidentnie nie darzył jej sympatią. I dlaczego ona, wiedząc o jego niechęci, wciąż z nim pracuje, choć wcale nie jest tu mile widziana. Znała dobrze przyczynę tego irracjonalnego zachowania: wszystkiemu winne było uczucie wypełniające jej nieszczęsne serce. Przeczuwała jednak, że wcześniej czy później przyjdzie dzień, kiedy to już nie wystarczy.

Z przeciwległego krańca holu szedł ku niej doktor Drew Morris,

jedyny przyjaciel, jakiego tu miała. Podobnie jak Coltrain skończył właśnie operować i wciąż miał na sobie charakterystyczny zielony strój. Gdy jednak pod skalpel Coltraina trafiały najpoważniejsze przypadki, zwłaszcza kardiologiczne, Drew wycinał migdałki oraz wyrostki i wykonywał inne proste zabiegi chirurgiczne. Miał specjalizację z pediatrii, Coltrain zaś zajmował się głównie schorzeniami klatki piersiowej oraz płuc, zatem wśród jego pacjentów przeważały osoby w podeszłym wieku.

- Co ty tu robisz? - zdziwił się Drew na jej widok. - Na pierwszy obchód już za późno, na drugi jeszcze za wcześnie. Zresztą, o ile pamiętam, Rudy miał być dzisiaj sam.

Rudy, w rzeczy samej! Tylko nieliczni, najbardziej uprzywilejowani koledzy mieli prawo mówić o doktorze Coltrainie, używając tego przezwiska. Lou z pewnością nie należała do grona wybranych.

Uśmiechnęła się do Drew, ciemnookiego bruneta z niewielką nadwagą, który prawie dorównywał jej wzrostem; jak na kobietę była bowiem wysoka. To właśnie on skontaktował się z nią, gdy po śmierci rodziców pracowała w szpitalu w Austin, i powiedział jej, że Coltrain szuka kogoś do współpracy. Dostrzegła w tym szansę na nowy początek i postanowiła spróbować swych sił w mieście, w którym przyszli na świat jej rodzice. I choć brzmiało to nieprawdopodobnie, zwłaszcza w świetle jawnej niechęci, jaką Coltrain okazywał jej dziś na każdym kroku, to wtedy, po dziesięciu minutach rozmowy, zaproponował jej pracę w swoim zespole.

- Przed restauracją, w której jadłam lunch, wydarzył się wypadek
- wyjaśniła. - Nawet nie zdążyłam pójść do sklepu. Boże, jak ja nienawidzę zakupów!

- A kto lubi? Co poza tym? Wszystko gra?

- Jak zwykle. - Skrzywiła się.

Zafrasowany Drew oparł ręce na biodrach.

- To moja wina - powiedział skruszony. - Miałem nadzieję, że wszystko jakoś się ułoży, ale widzę, że nic z tego. Jesteś z nami od roku, a on nadal nie może cię zaakceptować.

Na jej twarzy pojawił się grymas. Nie zdążyła odwrócić się na tyle szybko, by ukryć go przed kolegą.

- Współczuję ci - westchnął. - Przepraszam. Zdaje się, że trochę się pospieszyłem, ściągając cię tutaj. Myślałem, że zmiana środowiska dobrze ci zrobi, no, wiesz... po stracie rodziców. Wydawało mi się, że to będzie wymarzony układ: Rudy jest jednym z najlepszym chirurgów, jakich znam, a ty masz opinię doskonałego lekarza rodzinnego, sądziłem więc, że będziecie doskonale się uzupełniać. Wyobrażałem sobie, że ty weźmiesz na siebie ciężar codziennej praktyki, dzięki czemu on będzie mógł skupić się na tym, w czym jest naprawdę dobry. No proszę, jak łatwo można się pomylić.

- Podpisałam umowę na rok - przypomniała mu - więc niedługo wygaśnie.

- Co potem?

- Wrócę do Austin.

- Zawsze możesz przenieść się na nasz oddział nagłych

przypadków - zażartował ponuro. Dyrekcja szpitala musiała zatrudniać na kontraktach ludzi z zewnątrz, gdyż żaden z miejscowych lekarzy nie godził się pracować na traumatologii. Praca na tym oddziale była bowiem tak ciężka, że jeden ze stażystów załamał się o drugiej nad ranem, badając znanego wszystkim hipochondryka, i po prostu uciekł ze szpitala. Nie pojawił się tam nigdy więcej.

Lou uśmiechnęła się na wspomnienie tego zdarzenia.

- Obawiam się, że nie skorzystam z twojej cennej sugestii - odparła. - Chciałabym rozpocząć prywatną praktykę, ale jeszcze mnie na to nie stać. Nie mam za co wynająć i wyposażyc gabinetu, wrócę więc do punktu wyjścia. W Teksasie na pewno znajdzie się dla mnie jakaś praca.

- Robisz tu świetną robotę - zapewnił ją.

- Jakoś nie zauważyłam, żeby mój partner podzielał twój entuzjizm - odparła cierpko. - Nie widzisz, że czego bym nie zrobiła, zawsze jest źle? - Westchnęła ciężko. - Ech, Drew, obawiam się, że wpadam w rutynę. Potrzebuję odmiany.

- Niewykluczone - przyznał, po chwili zaś dodał z uśmiechem: - Według mnie potrzeba ci dobrego towarzystwa i trochę rozrywki. Odezwę się do ciebie - obiecał, po czym ruszył do swoich zajęć.

Pełna złych przeczuc odprowadziła Drew niespokojnym wzrokiem. W duchu pocieszała się, że to jest złudzenie i że on wcale nie miał na myśli tego, o co zaczęła go podejrzewać. Lubiała go, ale wyłącznie jako kolegę. Nie miała najmniejszego zamiaru wdawać się

z nim w żadne romanse. Drew był sympatycznym facetem, który przedwcześnie owdowiał, i który nadal, mimo upływu lat, nie pogodził się ze śmiercią ukochanej żony. Pochodził z Jacobsville i dobrze znał rodziców Lou. Lubił zwłaszcza jej matkę, więc gdy jej rodzice przenieśli się do Austin, przyjeżdżał do nich w odwiedziny. I właśnie tam podczas jednej z wizyt poznał Lou.

Postanowiła potraktować deklaracje Drew z przymrużeniem oka. Pamięć o zmarłej żonie była dla niego zbyt drogą by mógł poważnie myśleć o innej kobiecie. Lecz kiedy mówił, że Lou potrzebuje towarzystwa, miał bardzo poważną minę.

Póki co wolała wierzyć, że ponosi ją wyobraźnia. Pokrzepiona tą myślą poszła w stronę wyjścia na parking. Pech chciał, że po drodze spotkała doktora Coltraina; ubrany w elegancki garnitur szedł dokładnie w tym samym kierunku. Na jego widok zgrzytnęła zębami i celowo zwolniła kroku, ale i tak spotkali się przy drzwiach.

- Wygląda pani nieprofesjonalnie. - Obrzucił ją krytycznym spojrzeniem. - Skoro już musi pani urządzać sobie przejażdżki karetką, proszę przynajmniej odpowiednio się ubierać.

Zatrzymała się w pół kroku i spojrzała na niego obojętnie.

- Nie urządzałam sobie przejażdżek karetką.

- Pogotowie ma wystarczająco dużo pracowników, nie potrzeba im nowych - rzucił.

- Niech pan przestanie! - zawołała, wprawiając go tą reakcją w takie zdumienie, że aż zaniemówił. - Teraz dla odmiany to pan mnie wysłucha. I proszę z łaski swojej mi nie przerywać! - Uciszyła go

zdecydowanym gestem dłoni, bo już miał zamiar wpaść jej w słowo. - Na ulicy wydarzył się wypadek. Przypadkowo obserwowałam zdarzenie z okna restauracji, więc udzieliłam pomocy poszkodowanemu dziecku. Nie muszę w ramach rozrywki bratać się z sanitariuszami, panie doktorze! A to, jak się ubieram w dni wolne od pracy, to nie pański... - W ostatniej chwili powstrzymała się, żeby nie użyć niecenzuralnego słowa - ... interes, doktorze!

Coltrain już otrząsnął się z szoku. Mocno chwycił ją za rękę i przytrzymał. Ona zaś, oszołomiona tym niespodziewanym fizycznym kontaktem, szarpnęła się gwałtownie, próbując uwolnić się z uścisku. Przemoc obudziła w niej zapomniane odruchy obronne. Przestała się szamotać, wstrzymała oddech i patrząc na niego szeroko otwartymi oczami, czekała, aż zaciśnie palce na przegubie jej ręki i zacznie ją wykręcać...

Nic takiego jednak się nie stało. Coltrain w przeciwieństwie do jej ojca nigdy nie tracił panowania nad sobą. W pewnej chwili puścił ją i mrużąc niebieskie oczy, powiedział drwiąco:

- Zawsze zimna jak lód, prawda? Każdego mężczyznę zmrozi pani na śmierć. Czy to dlatego ciągle nie ma pani męża?

Nigdy dotąd nie wspominał o jej osobistych sprawach. Na dodatek w tak nieprzyjemny sposób.

- Może pan sobie myśleć, co chce.

- Założę się, że byłaby pani zdumioną gdyby poznała pani moje myśli - oznajmił, a potem spojrzął na dłoń, którą przed chwilą jej dotykał, i roześmiał się gardłowo: - Odmrożona - stwierdził. - Teraz

rozumiem, dlaczego Drew Morris nie umawia się z panią. Jemu jest potrzebna kobieta gorąca jak wulkan - dodał z wymownym błyskiem w oku.

- Możliwe, za to panu przydałaby się wyrzutnia raketowa - odparowała bez namysłu.

Obrzucił ją spojrzeniem, w którym niechęć mieszała się z pogardą.

- Chciałaby pani.

Ta uwaga boleśnie ją dotknęła, ale nie dała tego po sobie poznać.

- Tak pan myśli? - Uniosła brwi i zadowolona z siebie ruszyła w stronę swojego samochodu. Cieszyło ją, że Coltrain aż zesztyniał ze złości. Kiedy mijala jego mercedesa, nawet nie zerknęła w stronę jego luksusowego auta. Masz za swoje, pomyślała gniewnie. Wmawiała sobie, że ma w nosie, co on o niej myśli. Robiła wszystko, by utwierdzić się w tym przekonaniu. Prawda była jednak taka, że wciąż bardzo jej na nim zależało. Za bardzo. I na tym polegał jej największy problem.

Coltrain uznał ją za kobietę oziębłą, choć było to nieprawdą. Zwłaszcza gdy chodziło o niego. Za każdym razem, kiedy stał zbyt blisko niej lub kiedy z rzadka jej dotykał, odskakiwała jak oparzona. Nie dlatego, że wydawał jej się fizycznie odstręczający. Po prostu zbyt gwałtownie reagowała na bezpośredni kontakt. Kiedy był tuż obok, zaczynała dygotać i nie mogła normalnie oddychać. Nie umiała też opanować drżenia głosu i nóg. Aby się ratować, czym prędzej odsuwała się na bezpieczną odległość.

Broniła się przed fizycznym kontaktem również z innych przyczyn, lecz to akurat nie powinno obchodzić ani Coltraina, ani nikogo innego. Starła się robić swoje i unikać kłopotów. Tyle że ostatnio praca zmieniała się w gehennę.

Pojechała na przedmieście, gdzie wynajmowała niewielki, zaniedbany dom. Dzielnica była wprawdzie spokojną lecz wyraźnie zaczynała podupadać, co miało tę dobrą stronę, że czynsze były tu bardzo niskie. Lou spędziła kilka weekendów na malowaniu odrapanych ścian, starając się nadać ponuremu wnętrzu bardziej przytulny charakter. I choć nadal prawie nie miała mebli, udało jej się wykreować wnętrze, które odzwierciedlało jej zrównoważoną osobowość. W pokoju nie brakowało jednak wyrazistych akcentów: na półce nad kominkiem stała dziwaczna figurka kota, fotele okrywały barwne, ręcznie tkane narzuty, na regale ustawiła indiańskie wyroby ceramiczne oraz instrumenty muzyczne z różnych stron świata. Na ścianach wisiały jej własne obrazy, w większości abstrakcyjne, na których gwałtowne pociągnięcia pędzla mieszały czerwień, czerń i biel, tworząc dramatyczny chaos. W zestawieniu z tymi niespokojnymi płótnami wiszące obok subtelne pastele przedstawiające bukiety kwiatów wprawiłyby ewentualnego gościa w niemalą konsternację. Ale Lou nie miewała gości. Jako osoba z natury skryta pilnie strzegła swej prywatności.

Coltrain również nie był wylewny. Od czasu do czasu zapraszał kogoś na swoje ranczo, lecz nawet jeśli gościł tam kolegów ze szpitala, wśród zaproszonych nigdy nie było Louise. Ten dziwny

ostracyzm prowokował różne spekulacje i plotki, nikt jednak nie miał tyle odwagi, by zapytać Coltraina wprost, dlaczego tak jawnie ignoruje swoją partnerkę. Louise nie czuła się z tego powodu specjalnie pokrzywdzona. Ona również nie zapraszała go do siebie.

Miała zresztą w tej sprawie własne zdanie. Przypuszczała, że Coltrain nadal przeżywa rozstanie z Jane Parker, która całkiem niedawno wyszła za mąż za Todda Burke'a. Dawna dziewczyna doktora, piękna, błękitnooka blondynką była kiedyś gwiazdą rodeo. Prócz urody wyróżniała ją wyjątkowo miła osobowość i dobre, wrażliwe serce.

Myśląc o swoich fatalnych relacjach z Coltrainem, Lou często zachodziła w głowę, dlaczego zaproponował pracę komuś, kogo tak bardzo nie lubił. Co ciekawsze, podjął tę decyzję w ekspresowym tempie. Ponieważ wiedziała, że Drew koleguje się z Coltrainem, starała się go wypytać o prawdziwe przyczyny, dla których została tak szybko przyjęta do pracy. Niestety, Drew nie puszczał pary z ust. A gdy próbowała naciskać, natychmiast zmieniał temat.

Drew znał jej rodziców z czasów, gdy mieszkali w Jacobsville, potem zaś był studentem jej ojca, gdy ten pracował w szpitalu klinicznym w Austin. Lou wiedziała, że w ciężkich chwilach Drew zawsze wspierał jej matkę, ojca zaś nie darzył sympatią. Znał go prywatnie, widział więc na własne oczy, jak traktuje żonę i córkę.

W pierwszych dniach jej pracy w Jacobsville w szpitalu aż wrzało od plotek i zagadkowych komentarzy. Podśluchała wtedy, jak jedna ze starszych pielęgniarek powiedziała na przykład, że „on” na

pewno nie jest zadowolony, iż w tym szpitalu pracuje córka doktora Blakely'ego. Co za szczęście, dodała, że nowa pani doktor nie jest chirurgiem. Lou miała ochotę poprosić ją o wyjaśnienia, ta jednak szybko się ulotniła. Jakiś czas potem przeszła na emeryturę, nie było więc okazji, żeby z nią porozmawiać. Lou nie dowiedziała się, kim jest wspomniany „on”, ani dlaczego przeszkadza mu, że jego koleżanka nosi nazwisko Blakely. Domyśliła się jednak, że ojciec pozostawił po sobie nie zawsze dobre wspomnienia.

- Drew, powiedz mi, co takiego zrobił mój ojciec? - poprosiła pewnego dnia podczas wspólnego obchodu.

Drew sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- Jak to, co zrobił? Był chirurgiem, tak samo jak ja - odparł po chwili wahania.

- Kiedy stąd odchodził, nie cieszył się dobrą opinią, prawda? - drążyła.

Jej kolega pokręcił głową.

- O ile wiem, nie doszło do żadnego skandalu - powiedział. - Nie wydarzyło się nic, co mogłoby zepsuć mu opinię. Był dobrym, szanowanym chirurgiem. Przecież o tym wiesz. Nawet jeśli pozostawiał wiele do życzenia jako mąż i ojciec, to jako fachowiec był naprawdę świetny.

- Czemu więc ludzie o czymś szepczą za moimi plecami?

- Zapewniam cię, że nie ma to nic wspólnego z oceną jego zawodowych umiejętności - odparł cicho. - Ta sprawa absolutnie cię nie dotyczy. A nawet jeśli, to tylko pośrednio.

- Ale o co chodzi... ?

Ktoś im przeszkodził, musieli więc przerwać rozmowę. Drew nie krył ulgi, ona zaś nie podejmowała więcej tego wątku. Jednak niezaspokojona ciekawość stale rosła. Być może zagadkowa sprawa, o której wspomniał Drew, miała jakiś związek z Coltrainem i jest powodem jego niechęci. Jeśli tak było, dlaczego przez prawie rok nie napomknął o tym bodaj jednym słowem?

Nie łudziła się, że kiedyś zdoła go zrozumieć i odkryć powody jego zajadłej wrogości. Co ciekawe, na początku współpracy odnosił się do niej z dużo większą sympatią. Zmienił się mniej więcej wtedy, gdy zorientowała się, że nie jest jej obojętny. Od tej pory stał się nieprzyjemny i zaczął prowokować konflikty. I tak było do dziś. Jego dziwne zachowanie wobec niej budziło powszechne zdumienie.

Kąśliwa uwaga o jej oziębłości również nie była niczym nowym. Po raz pierwszy odsunęła się od niego wkrótce po tym, jak zaczęli razem pracować. Stało się to podczas imprezy bożonarodzeniowej, kiedy Lou za wszelką cenę chciała uniknąć obowiązkowego pocałunku pod jemiolą. Niechętnie przyznawała się sama przed sobą, że na samą myśl o jego pełnych wargach drżą jej kolana. Gwałtowna fascynacja, którą poczuła niemal natychmiast, śmiertelnie ją przeraziła. Nigdy dotąd nie doświadczyła podobnego stanu, gdyż całe życie poświęciła wyteżonej nauce. Ślęczała po nocach nad medycznymi podręcznikami zdeterminowana, by w tej trudnej dyscyplinie osiągnąć doskonałość. Poza studiami świat dla niej nie istniał. Nie miała żadnego towarzystwa: nawet w liceum była

odludkiem. Świetne wyniki w nauce były jedynym argumentem przemawiającym do jej okrutnego ojca. Tak długo, jak przynosiła najlepsze oceny i figurowała na liście najzdolniejszych studentów, mogła czuć się bezpieczna.

Akademickie osiągnięcia niczym magiczne zaklęcie gwarantowały względną równowagę w jej dysfunkcyjnej rodzinie. Uczyła się więc pilnie, zdobywała kolejne stypendia i nagrody, a ojciec grzał się w blasku jej sukcesów. Była pewna, że nigdy jej nie kochał, a jedynym uczuciem, jakie do niej żywił, była duma z tego, że jego córka jest najlepsza. Zawsze był okrutny, a w miarę jak pogłębiało się jego uzależnienie, stawał się coraz gorszy. Będąc pod wpływem narkotyków, rozbił samolot, w którym wraz z nim zginęła jej matka. Tak chyba być musiało, gdyż kochała go ślepą miłością i w imię fałszywie pojętej wierności znosiła wszystko, łącznie z jego okrucieństwem i uzależnieniem.

Czując narastający wewnętrzny lęk, Lou otuliła się ramionami. Dawno już postanowiła, że nigdy nie wyjdzie za mąż. Praktycznie każda kobieta może stać się ofiarą toksycznego związku. Wystarczy, że się zakocha, straci samokontrolę, pozwoli się zdominować. A wtedy nawet najlepszy z mężczyzn, czując jej uległość, może zmienić się w brutalnego oprawcę. Dlatego ona nigdy nie będzie uległa. Nigdy nie dopuści do tego, by jak jej nieszczęsna matka, być zdaną na łaskę mężczyzny.

A jednak przy Rudym Coltrainie czuła się bezbronna i uległa. I właśnie dlatego starała się trzymać od niego jak najdalej. Zdjęta

lękiem, że ona również stanie się ofiarą, gotowa była walczyć z uczuciem, które w niej obudził. Być może samotność jest chorobą, lecz z pewnością łatwiejszą do zniesienia niż miłość.

Z zamyślenia wyrwał ją dzwonek telefonu.

- Doktor Blakely? - odezwała się Brenda pielęgniarka pracująca w jej gabinecie. - Przepraszam, że panią niepokoję, ale doktor Coltrain prosił, żebym do pani zadzwoniła. W mieście wydarzył się poważny wypadek i za chwilę przywiozą do nas poszkodowanych. Ponieważ doktor ma dzisiaj objazd pacjentów spoza szpitala, musi pani na dwie godziny przyjechać do ambulatorium.

- Zaraz tam będę - odparła krótko Lou, by nie tracić czasu na zbędne rozmowy.

Poczekalnia świeciła pustkami. Tego popołudnia w miejscowym liceum odbywał się mecz futbolowy, poza tym dzień był bardzo słoneczny i wyjątkowo ciepły jak na początek grudnia. Lou nie była więc zaskoczona, że zgłosiło się tak niewielu chorych.

- Biedny doktor Coltrain - westchnęła Brenda, gdy po wyjściu ostatniego pacjenta zamykały gabinet. - Pewnie do północy nie wróci do domu.

- Całe szczęście, że nie jest żonaty - stwierdziła Lou. - Przy takim trybie pracy nie mógłby poświęcić rodzinie zbyt wiele czasu.

Brenda zerknęła na nią ukradkiem, zaraz jednak uśmiechnęła się przyjaźnie.

- Ma pani rację - przyznała. - Prawdę mówiąc, pan doktor

powinien już pomyśleć o żonie i dzieciach. Skończył trzydzieści lat, a czas ucieka. Szkoda, że panna Parker wyszła za tego Burke' a, prawda? - zagadnęła. - Doktor Coltrain zalecał się do niej przez kilka ładnych lat. I ja, i wszyscy, którzy ich znali, uważaliśmy, że tworzą idealną parę. Tylko że kiedy widziało się ich razem, od razu rzucało się w oczy, że ona nie odwzajemnia jego uczuć.

Innymi słowy doktor Coltrain przez długie lata kochał się bez wzajemności w pięknej kowbojce, która swego czasu stanowiła największą ozdobę każdego rodeo. Tyle przynajmniej Lou dowiedziała się z plotek. Mogła się tylko domyślać, jak bardzo Coltrain przeżył zamążpójście swej byłej ukochanej.

- Szkoda, że nie można zakochać się na życzenie - powiedziała półgłosem, myśląc o tym, jak wiele by dała, żeby nie bać się miłości i doczekać chwili, gdy Coltrain będzie tak mocno zauroczony nią jak ona teraz nim. Rozsądek jednak podpowiadał jej, że akurat to marzenie może spokojnie włożyć między bajki.

- A swoją drogą proszę pomyśleć o Tedzie Reganie i Coreen Tarleton. To dopiero była niespodzianka! - roześmiała się Brenda.

- Rzeczywiście - potaknęła Lou, przypominając sobie, jak Ted trafił do jej gabinetu. - Coreen trzęsła się ze zdenerwowania. Za to on, pomimo rozszarpanego ramienia, był zupełnie spokojny. Stuprocentowy twardziel. Pamiętam, że biedna Coreen była blada jak ściana.

- Myślałam wtedy, że są małżeństwem - przyznała się Brenda. - Dopiero co zaczęłam tu pracę i jeszcze ich nie znałam. Nie to, co teraz

- dodała ze śmiechem. - Przynajmniej raz w tygodniu widzę ich, jak maszerują na oddział położniczy. Coreen urodzi lada moment.

- Jestem pewna, że będzie wspaniałą matką, a Ted cudownym ojcem. Ich dzieci na pewno będą miały szczęśliwe dzieciństwo.

Brenda wyczuła w tych słowach nutę goryczy, zerknęła więc ciekawie na Lou, ta jednak już ze wszystkimi się żegnała, wychodząc na parking.

Resztę weekendu spędziła w domu, zagrzebana po uszy w fachowych pismach medycznych. Zaciekawiły ją zwłaszcza wyniki badań nad nowym szczepem bakterii, zdaniem naukowców zmutowaną formą tych, które na początku dwudziestego wieku wywołały śmiertelną epidemię płonicy.

ROZDZIAŁ DRUGI

W poniedziałkowy ranek jak zwykle zgłosiło się wielu cierpiących. I jak zawsze Louise musiała zająć się najbardziej banalnymi dolegliwościami. Teoretycznie ona i Coltrain byli równoprawnymi partnerami, w rzeczywistości jednak to jemu trafiały się najciekawsze przypadki. Dla niej zostawały pęknięte żebra i zwykłe przeziębienia.

Tego ranka traktował ją wyjątkowo oficjalnie, co pewnie oznaczało, że wciąż jest na nią zły z powodu ostrej wymiany zdań na temat sposobu, w jaki spędza wolny czas. Zarzucił jej, że szuka rozrywki, kręcąc się wokół sanitariuszy z pogotowia. Też coś!

Stojąc w holu ich niewielkiego budynku, wpatrywała się w jego plecy okryte białym fartuchem. Gdy zniknął w gabinecie, stłumiła gniewne westchnienie i wróciła do pokoju po zdjęcie rentgenowskie jednego z pacjentów. W nieodwzajemnionej miłości najgorsze jest to, że człowiek sam się nakręca, pomyślała z goryczą. Coltrain jawnie ją ignoruje i okazuje coraz większą wrogość, ona zaś coraz częściej musi wybijać sobie z głowy marzenia, w których on gra pierwszoplanową rolę. A przecież nie w głowie jej małżeństwo. Nie chce nawet przelotnych związków. Tymczasem on budzi w niej niezaspokojony głód.

Zanim Jane Parker wyszła za mąż, Coltrain spędzał z nią mnóstwo czasu. Lou dawno straciła nadzieję, że kiedyś przyjdzie dzień, w którym jej partner spojrzy na nią w taki sposób, w jaki patrzył na swoją byłą dziewczynę. Poza wszystkim innym on i Jane

razem dorastali, tymczasem ona zna go zaledwie od roku. Pochodziła z Austin, a nie z Jacobsville. Społeczność małych miasteczek tworzy coś na kształt wielkiej rodziny. Tu wszyscy się znają, a niektóre rodziny przyjaźnią się od kilku pokoleń. I dlatego ona, mimo że urodzona w Teksasie, czuje się tu obco. Być może zachowanie Coltraina po części tłumaczy fakt, że jest przyjezdna. Coltrain zapewne uważa, że nie warto zawracać sobie głowy kimś, kto nie jest stąd.

Wiedziała, że nie brakuje jej urody. Ma gęste, długie włosy, duże brązowe oczy i nieskazitelną cerę. Jest szczupła i wysoka, ale niższa od swego partnera, od którego wyraźnie różni się pod względem charakteru. Nie jest ani tak porywcza, ani tak apodyktyczna jak on. Coltrain jest wysoki i szczupły, ma płomiennie rudą czuprynę, niebieskie oczy i smagłą twarz. Zdrową opaleniznę zawdzięczał pracy na swym małym ranczu, gdzie spędzał każdą wolną chwilę. Ciemna karnacja wyróżniała go spośród innych rudzielców, za to piegi miał takie same jak wszyscy. Widać je było na nosie i wierzchu dużych dłoni. Lou zastanawiała się czasem, czy ma je także gdzie indziej, nie miała jednak okazji tego sprawdzić, ponieważ widywała go wyłącznie w białym fartuchu nałożonym na garnitur. W pracy zawsze był elegancki. Domyślała się, że w domu pozwala sobie na więcej luzu.

To smutne, że nigdy tego nie zobaczę, pomyślała. Niemal wszyscy koledzy ze szpitala byli zapraszani na ranczo, tylko ona jeszcze nigdy nie dostała tego zaszczytu. Mało tego, w sposób automatyczny była wykluczana z każdego towarzyskiego wydarzenia,

które organizował lub w którym brał udział.

Ludzie dziwili się po cichu takiej mało koleżeńskiej postawie. Zadziwiał ich takim zachowaniem nie mniej, niż zdumiewał nim Lou, która przecież stała się jego partnerką w wyniku jego własnego wyboru, a nie zakulisowych układów. Od początku wiedział, że będzie pracował z kobietą, więc raczej nie chodziło o jej płeć. A może należy do tych staroświeckich lekarzy, którzy uważają, że w medycynie nie ma miejsca dla kobiet, myślała z nadzieją, szybko jednak wracała na ziemię. Dla nikogo nie było tajemnicą, że doktor Coltrain jest zwolennikiem równouprawnienia płci i gorąco popiera obsadzanie kobiet na kierowniczych stanowiskach. Więc teoria o męskim szowinizmie odpadała. Wynika z tego, że Coltrain jednakowo nie lubi Louise Blakely z doktoratem jak i bez niego, a ona nie ma najmniejszej szansy dowiedzieć się, czym mu się naraziła.

Mimo wszystko powinna zapytać o to Drew Morrisa. W końcu to on zawiadomił ją, że Coltrain szuka współnika do wspólnej praktyki. Drew namawiał ją do przyjęcia tej oferty, chciał bowiem być blisko niej. Czuł, że w trudnych dniach po stracie rodziców przyda jej się bratnia dusza. Jej z kolei spodobał się pomysł pracy w małym szpitalu, zwłaszcza że miałyby tam kogoś znajomego. Bywały dni, gdy w rodzinnym Austin, które było dużym miastem, czuła się bardzo samotna. Miała dwadzieścia osiem lat i była odludkiem. Pochłonięta studiami bardzo pilnowała, żeby nieliczne randki, na które chodziła, nie przekształciły się w nic poważniejszego. Efekt był taki, że w czasach, gdy niewinność była pogardzana lub traktowana jak wybryk

natury, ona nadal była czysta jak przysłowiowa lilia.

Przez uchylone drzwi gabinetu zajrzała pielęgniarka.

- Pani doktor, ma pani rozmowę na drugiej linii. Dzwoni doktor Morris.

- Dziękuję, Brendo.

Z roztargnieniem sięgnęła po słuchawkę i nacisnęła odpowiedni przycisk, który miał połączyć ją z linią numer dwa. Zanim jednak zdążyła się odezwać, stała się mimowolnym słuchaczem czyjejś rozmowy.

- ... już ci mówiłem, że gdybym wiedział, z kim jest spokrewniona, nigdy bym jej nie zatrudnił - mówił znajomy, głęboki głos. - Wyświadczyłem ci przysługę, nie zdając sobie sprawy, że chodzi o córkę doktora Blakely'ego. Chyba nie myślisz, że kiedykolwiek zapomnę, co jej ojciec zrobił dziewczynie, którą kochałem? Kiedy na nią patrzę, natychmiast wracają przykre wspomnienia. To koszmar!

- Rudy, jesteś dla niej zbyt surowy - mówił Drew.

- Możliwe, ale tak ją odbieram. Jest dla mnie niczym więcej jak tylko nieznośnym ciężarem. A wracając do twojego pytania, to możesz być na sto procent pewny, że nie wchodzisz mi w żadną paradę, umawiając się z nią na randkę! Jeśli chcesz wiedzieć, Louise Blakely jest dla mnie wstrętna i odrażająca. To nie kobietą tylko robot. W ogóle mnie nie pociąga. Chcesz, to ją sobie bierz. Krzyżyk na drogę. Nawet nie wiesz, stary, ile bym dał, żeby jak najszybciej pozbyć jej się z tego szpitala i z życia. Im wcześniej stąd zniknie, tym

lepiej.

W słuchawce rozległo się ciche kliknięcie, znak, że linia jest już wolna. Lou nacisnęła widełki, żeby oznajmić swoją obecność, i odezwała się spokojnym głosem:

- Doktor Lou Bakely, słucham?

- Cześć! Mówi Drew Morris. Nie przeszkadzam?

- Nie. - Odchrząknęła, próbując zapanować nad emocjami. - Nie przeszkadzasz. O co chodzi?

- W czwartek wieczorem Klub Rotariański wydaje kolację. Wybierzesz się ze mną?

Od czasu do czasu chodzili gdzieś razem jak para dobrych znajomych. W ich spotkaniach nie było żadnego romantycznego podtekstu, lecz gdyby nie to, że była wściekła na Coltraina, tym razem pewnie by odmówiła.

- Chętnie pójdę, dziękuję za zaproszenie - odparła.

- Doskonale! - ucieszył się Drew. - Przyjadę po ciebie o szóstej.

- Do zobaczenia w czwartek - odparła i powoli odłożyła słuchawkę.

Jeszcze raz skrupulatnie obejrzała zdjęcie rentgenowskie, po czym dołączyła je do karty pacjenta i schowała do kartoteki. Co prawda należało to do obowiązków Brendy, lecz w poniedziałki wszyscy mieli urwanie głowy, gdyż jak zwykle po weekendzie przychodnia przeżywała najazd chorych, którzy przeczekawszy wolne dni, w poniedziałek już od rana masowo zgłaszali się do lekarza.

Kiedy wróciła do gabinetu, nie było po niej widać śladu

wzburzenia. Spokojnie przyjęła wszystkich pacjentów, a gdy skończyła pracę, zamknęła się w swoim niewielkim pokoju i mechanicznie sięgnęła po firmowy papier listowy, na którym obok nazwiska Coltraina widniało jej własne. Będzie musiał zamówić nową papeterię, pomyślała z roztargnieniem.

Szybko i zwięźle sformułowała rezygnację i wsunąwszy kartkę do koperty, zaniósła ją na biurko wspólnika. Nie zastała go jednak, gdyż zdążył już wyjść na lunch. Nigdy nie jadł na miejscu prawdopodobnie z obawy, że Lou będzie próbowała się do niego dosiąść. Wolał nie ryzykować.

Brenda skrzywiła się z niesmakiem, patrząc, jak jej szefowa z nieobecną miną zbiera się do wyjścia.

- Może najpierw zdejmie pani fartuch? - zagadnęła niepewnie.

Lou zrobiła to bez słowa komentarza. Zapięła na biodrach śmieszna skórzaną torebkę i wyszła z budynku.

Szkoda, że nawet nie mam z kim pogadać, westchnęła rozżalona, siedząc samotnie w pobliskiej kawiarni nad filiżanką czarnej kawy i sałatką, którą smętnie rozgrzebywała widelcem. Nie była mistrzynią szybkiego nawiązywania kontaktów. Wprawdzie na gruncie zawodowym nie miała z tym większych problemów, za to w życiu prywatnym była nieśmiała i zamknięta w sobie. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że ludzie postrzegają ją jako osobę zdystansowaną i nieprzystępną. Zapatrzona w filiżankę, rozpamiętywała to, co Coltrain powiedział Morrisowi. Nienawidził jej. Nie mógł wyrazić swej dezaprobaty bardziej dosadnie, niż mówiąc, że czuje do niej odrazę.

Cóż, pewnie taka jest. Odrażająca. Ojciec też jej to ciągle powtarzał. Rzadko z nią rozmawiał, a kiedy już zechciał otworzyć do niej usta, robił to wyłącznie po to, by zapytać o postępy w nauce lub oznajmić, że nigdy nie spełni jego oczekiwań. Ciekawe, że ani razu nie wspomniał o swojej przeszłości.

- Przepraszam... Proszę pani...

Podniosła wzrok. Obok stolika stała kelnerka.

- O co chodzi? - zapytała chłodno.

- Nie chcę się wtrącać w nie swoje sprawy, ale dziwnie pani wygląda... Dobrze się pani czuje?

Niewinne pytanie zaskoczyło ją i poniekąd dotknęło.

- Nic mi nie jest - uspokoiła dziewczynę, zdobywając się na słaby uśmiech. - Mam za sobą ciężki poranek. Poza tym nie jestem głodna.

- Rozumiem - odparła dziewczyna z uśmiechem, który miał podnieść ją na duchu, i wróciła do swoich zajęć.

Lou kończyła właśnie kawę, gdy w drzwiach kawiarni stanął Coltrain. Miał na sobie elegancki szary garnitur, w którym było mu wyjątkowo do twarzy, w dłoni zaś trzymał srebrzysty kowbojski kapelusz. Sądząc po wyrazie jasnych oczu, którymi nerwowo przepatrywał kąty sali, był okropnie zły. Nagle spostrzegł Lou i energicznym krokiem ruszył w jej stronę.

Ten człowiek nigdy się nie waha, pomyślała, obserwując jego pewne ruchy. Ciekawe, co się stało? Pewnie jakiś nagły przypadek...

- Co to ma, do cholery, znaczyć? - zapytał złowrogim półgłosem,

rzucając na stolik otwartą kopertę.

Zmierzyła go chłodnym wzrokiem.

- Odchodzę - odparła krótko.

- Wiem! Pytam, dlaczego!

Rozejrzała się po sali. Przy stolikach siedziało ledwie parę osób. Za to kelnerka i jakiś samotny kowboj przy barze przyglądali im się ciekawie.

- Daruje pan, ale nie jest to odpowiednie miejsce do omawiania prywatnych spraw - oznajmiła, unosząc dumnie głowę.

Coltrain zacisnął zęby. W oczach błysnął mu gniew. Bez słowa odsunął się, robiąc miejsce, by mogła wstać od stolika. Zaczekał, aż zapłaci rachunek, po czym wyszedł za nią na ulicę. Lou zatrzymała się obok samochodu i zaczęła szukać w kieszeni kluczyków, nim jednak zdążyła je wyjąć, chwycił ją mocno za ramię. Serce skoczyło jej do gardła, on zaś, nie zwalniając uścisku, zmusił ją, żeby zawróciła, po czym poprowadził ją w stronę małego skweru, gdzie pośród bezlistnych drzew stała samotna ławka. Pomimo grudniowego chłodu Lou czuła, że się poci. Przez całą drogą próbowała się uwolnić, lecz Coltrain nie zamierzał ustąpić. Puścił ją dopiero, gdy posłusznie usiadła na ławce.

Sam najwyraźniej nie zamierzał siadać. Stał naprzeciw niej, oparł stopę o brzeg ławki, i z ręką na zgiętym kolanie pochylił się nad nią.

- Tutaj nikt nas nie podsłucha - stwierdził sucho. - Proszę mówić. Dlaczego chce pani odejść?

- Niebawem wygaśnie kontrakt, który, jak pan zapewne pamięta, podpisałam tylko na rok - wyjaśniła lodowatym tonem. - Nie zamierzam go przedłużać. Chcę wrócić do domu.

- W Austin nikt na panią nie czeka - rzucił, ona zaś poczuła się zaskoczona, nie sądziła bowiem, że on orientuje się w jej prywatnych sprawach.

- Owszem, czekają na mnie przyjaciele.

- Niech pani sobie daruje. Poza Morrisem nie ma pani żadnych przyjaciół - stwierdził beznamiętnie.

Z całych sił zacisnęła palce na kluczykach. Opuściła oczy i wpatrywała się w swoją dłoń, czując, jak chłodny metal boleśnie wpija się w ciało. Mimo to na jej spokojnej twarzy nie pojawił się najmniejszy grymas.

Coltrain powędrował za jej wzrokiem i nagle wyraz jego twarzy się zmienił. Lou nie potrafiła nazwać tego, co zobaczył, ale i tak poczuła się zdezorientowana. On tymczasem wziął ją za rękę i rozchylił skostniałe palce, krzywiąc się na widok czerwonych śladów odcisniętych we wnętrzu jej dłoni.

Wyszarpnęła rękę.

Przez chwilę wyglądał na zakłopotanego. Przyglądał jej się w milczeniu, ona zaś czuła, jak pod wpływem emocji serce zaczyna jej bić obłąkanym rytmem. Nienawidziła swojej bezbronności.

Gdy trochę się odsunął, Lou od razu nieco się rozluźniła. Kiedy zrobił jeszcze jeden krok w tył, zauważył, że odetchnęła z ulgą. Nagle opuścił go wszelki gniew.

- Nie każda współpraca układa się dobrze od samego początku. Zwykle musi minąć trochę czasu, zanim partnerzy się dotrą, a pani dała nam zaledwie rok - mówił głosem, w którym nie było sympatii.

- Zgadza się - przyznała spokojnie. - Dałam nam rok.

Zaintrygował go nacisk, który celowo położyła na pierwsze słowo.

- Czy chce pani powiedzieć, że ja się w ogóle nie starałem?

Skinęła głową i spojrzała mu prosto w oczy.

- Pan po prostu nie chciał, żebyśmy razem pracowali. Od początku podejrzewałam, że tak jest, ale upewniłam się dopiero dziś, kiedy przypadkowo usłyszałam pańską rozmowę przez telefon z doktorem Morrisem...

W jego oczach pojawił się zagadkowy błysk.

- Słyszała pani, co mówiłem Morrisowi? - zapytał ochryple. - Wszystko?! - zawołał.

- Tak - potwierdziła, pokonując lekkie drżenie warg.

Doskonale pamiętał każde słowo, które w przypiływie złego humoru powiedział koledze. Często mu się zdarzało, że w gniewie mówił rzeczy, których potem żałował. Jednak to, co powiedział dziś rano, było największą gafą jego życia. Do tej pory był święcie przekonany, że chłodna i zrównoważona doktor Blakely jest odporna na wszelkie emocje. Od pierwszego dnia ich wspólnej pracy uciekała przed nim dosłownie i w przenośni. Początkowo złościło go, że unika fizycznego kontaktu, szybko jednak pocieszył się, że skoro od niego stroni, musi być po prostu oziębła.

A tu nagle, w ciągu zaledwie kilku minut, dowiedział się o niej wielu rzeczy, które, mimo iż nie zostały wyrażone słowami, mocno go poruszyły. Teraz już wiedział, że ją zranił. Do tej pory nawet nie przyszło mu do głowy, że ona tak bardzo liczy się z jego zdaniem. Do diabła, kiedy rozmawiał z Morrisem, był wściekły, bo przed chwilą zdiagnozował białaczkę u czteroletniego chłopca. Jego własna bezradność w obliczu śmiertelnej choroby przygnębiła go i załamała, wyżył się więc na Morrisie, opowiadając mu niemiłe rzeczy o jego protegowanej. Skąd mógł wiedzieć, że ona to wszystko słyszy! Nic dziwnego, że Louise Blakely chce odejść z pracy. Uznał, że ma to, na co zasłużył. Gorzko żałował swoich niepotrzebnych słów. Było mu bardzo przykro, ale dobrze wiedział, że jego koleżanka nigdy w to nie uwierzy. Zgadywał to, obserwując język jej ciała: zacięta mina oraz kurczowo zaciśnięte wargi i dłonie były dobitnym znakiem, że nie jest skłonna do kompromisu.

- Zaproponował mi pan prowadzenie wspólnej praktyki tylko i wyłącznie dlatego, że prosił pana o to Drew Morris. Domyślam się, że miał pan na oku innego kandydata. - Uśmiechnęła się z przymusem. - Cóż, jeszcze nic straconego. Niebawem odejdę, a wtedy przyjmie go pan na moje miejsce.

- Chwileczkę - zaprotestował, ale nie dokończył zdania uciszony jej wymownym gestem.

- Nie ma sensu się spierać - stwierdziła spokojnie, choć cała ta sytuacja, a zwłaszcza prawda o tym, jak bardzo jest jej niechętny, przyprawiała ją o mdłości. - Jestem zmęczona bezustanną walką o

prawo do godnego wykonywania zawodu. Ciągłe wytyka mi pan jakieś błędy. Jestem dla pana ciężarem. Cóż, ja również nie mam ochoty z panem pracować. Zostanę, dopóki nie znajdzie pan kogoś na moje miejsce.

Wbił palce w rondo kapelusza. Przegrywał tę bitwę, i co gorsza nie miał pojęcia, co zrobić, żeby mimo wszystko zachować twarz.

- Tuż przed rozmową z Morrisem musiałem powiedzieć rodzicom, że ich dziecko ma białaczkę. - Złościło go, że musi się przed nią tłumaczyć. - Czasami mówię, co mi ślina na język przyniesie, choć wcale tak nie myślę.

- Oboje wiemy, że akurat w tym przypadku wyraził pan swoją prawdziwą opinię - odparła stanowczo, mierząc go twardym spojrzeniem. - Znienawidził mnie pan od pierwszego dnia naszej współpracy. Zdarza się, że rozmawiając ze mną, zapomina pan o elementarnych zasadach grzeczności. Szkoda iż nie wiedziałam, że od początku żywi pan do mnie urazę... - powiedziała bez zastanowienia, on zaś, słuchając jej, zmienił się na twarzy.

- A więc o tym też pani powiedzieli... - rzucił, zaciskając zęby. Wolałby nigdy o tym nie mówić. Chociaż może to i dobrze, iż te słowa w końcu padły. Miał już dość kłamstwa, w którym żył od roku.

- Owszem, powiedzieli - przyznała, zaciskając palce na żelaznej poręczy. - Chcę wiedzieć, o co chodzi. Czy mój ojciec popełnił błąd, który kosztował ludzkie życie?

Coltrain zacisnął wargi. Naprawdę nie chciał wracać do tamtej sprawy.

- Dziewczyna, z którą zamierzałem się ożenić, zaszła z nim w ciążę. Pomógł jej, przeprowadzając potajemnie aborcję, ale ona i tak chciała za mnie wyjść. - Roześmiał się ponuro. - Dla niego był to „przelotny romans „. Jednak naczelna rada lekarska nie podzielała jego opinii i wymogła na nim rezygnację.

Palce Lou stały się kredowobiałe. Czy matka o tym wiedziała? I co się stało z tą dziewczyną?

- W sprawę wtajemniczona była garstka osób - wyjaśnił, odgadując jej myśli. - Wydaje mi się, że pani matka o niczym się nie dowiedziała. Pamiętam ją jako uroczą kobietę, zupełnie nie pasującą do człowieka pokroju pani ojca.

- A ta dziewczyna?

- Wyjechała z miasta. Zdaje się, że wyszła potem za mąż. - Wcisnął ręce w kieszenie spodni i rzucił jej niechętne spojrzenie. - Skoro już mówimy o takich rzeczach - podjął po chwili - to powiem pani, że Drew Morris bardzo przeżył tragedię, która panią spotkała, i z całego serca pani współczuł. Kiedy zacząłem szukać współlnika, polecił mi panią. Ponieważ wyrażał się o pani z wielkim uznaniem, postanowiłem zaprosić panią na rozmowę. W trakcie tego spotkania nie przyszło mi do głowy, że jest pani spokrewniona z doktorem Blakelym. Myślałem, że to przypadkowa zbieżność nazwisk. - Jego głos podszyty był lekkim szyderstwem. - I jak na ironię zaproponowałem współpracę córce swojego największego wroga.

- Dlaczego pan mi o tym nie powiedział? - zirytowała się. - Natychmiast złożyłabym wypowiedzenie!

- Po tym, co pani przeżyła, nie nadawała się pani do takich rozmów - wyjaśnił, broniąc się przed wspomnieniem przeraźliwego smutku, który wзираł wtedy z jej oczu. - Poza tym podpisałem z panią umowę na rok, uznałem więc, że jedynym wyjściem z sytuacji jest pani dobrowolna rezygnacja.

Nareszcie zrozumiała, dlaczego prowokował ciągle konflikty.

- Więc to o to chodziło... - westchnęła. - A ja, jak na złość, nie odeszłam.

- Szybko okazało się, że jest pani bardziej odporna, niż myślałem - przyznał. - Nie ustępowała mi pani pola nawet o krok. I choć nieraz nasze dyskusje były bardzo ostre, potrafiła pani odpłacić mi pięknym za nadobne - mówiąc to, obserwował ją uważnie. Mechanicznie obracał w dłoni kluczyki, które miał w kieszeni. - Przyznam szczerze, że dawno nie spotkałem osoby, która miałaby odwagę mi się przeciwstawić - dodał niechętnie.

Nie musiał jej tego mówić. Wszyscy wiedzieli, że jest tyranem i despota. Kiedy wpadał we wściekłość, całe Jacobsville omijało go wielkim kołem. Tylko ona jedna nie bała się stawić mu czoła. Nie była z natury wojowniczą jednak żyjąc pod jednym dachem z sadystycznym ojcem, nauczyła się, że okazując strach lub uległość, ofiara przemocy tylko pogarsza swoją sytuację. Ta sama smutna reguła sprawdzała się w przypadku Coltraina. Osoba słaba psychicznie, nieważne, kobieta czy mężczyzna, nie wytrzymałaby z nim nawet tygodnia, a co dopiero rok!

Drew Morris chciał jej wyświadczyć przysługę. Pewnie łudził

się, że czas uleczył rany i Coltrain nie będzie miał nic przeciwko córce doktora Blakely'ego. Biedny Drew najwyraźniej nie znał swego kolegi. Lou od razu by się domyśliła, że Coltrain nikomu nie wybacza ani niczego nie zapomina.

Nie odrywał od niej wzroku.

- Rok. Cały długi rok każdego dnia przeżywałem od nowa niegodziwość pani ojca. Czasem gotów byłem zrobić wszystko, byle zmusić panią do odejścia. Pani widok sprawiał mi ból. - Na jego wargach pojawił się smutny uśmiech. - Na początku szczerze pani nie znośiłem.

To była kropla, która przepelniła kielich goryczy. Oto stoi przed nią mężczyzna, którego pokochała wbrew własnej woli i zdrowemu rozsądkowi, i mówi jej, że widzi w niej kobietę zimną jak lód. Córkę zdrajcy, który uwiódł jego ukochaną kobietę. Czuje do niej nienawiść.

Jak na jeden raz było tego zdecydowanie za wiele. Nawet dla niej, choć zawsze umiała panować nad emocjami. Nauczyła się tej trudnej sztuki w desperackim akcie samoobrony: nie mogła pokazać ojcu, że ją rani, bo właśnie z tego czerpał chorobliwą przyjemność. A teraz jak na ironię człowiek, którego obdarzyła największym uczuciem, mówi, że nienawidzi jej z powodu grzechów popełnionych przez jej ojca.

Coltrain z pewnością byłby zaskoczony, dowiadując się, że pod koniec życia jego śmiertelny wróg był żalonym, bogatym ćpunem, potajemnie wykradającym narkotyki ze szpitala, w którym pracował. W dniu tragicznego wypadku usiadł za sterami naćpany do

nieprzytomności i roztrzaskał samolot, zabijając siebie i swoją żonę.

W oczach Lou wezbrały łzy. Nawet nie jęknęła, kiedy wolno popłynęły po jej policzkach.

Coltrain instynktownie wstrzymał oddech. Tyle razy widział ją zmęczoną, obojętną na wszystko, wyczerpaną, wściekłą czy sfrustrowaną. Ale nigdy nie widział, żeby płakała. Wyciągnął ku niej dłoń i delikatnie dotknął śladu łez, zupełnie jakby chciał sprawdzić, czy są prawdziwe.

Odsunęła się gwałtownie. Na jej drżących ustach pojawił się gorzki uśmiech.

- To dlatego był pan wobec mnie taki podły! - wykrztusiła. - Drew nic mi nie powiedział... Nic dziwnego, że nie jest pan w stanie znieść mojej obecności. A ja, idiotka, ośmieliłam się marzyć... ! - Roześmiała się ochryple, ocierając pośpiesznie łzy. Gdy na niego spojrzała, w jej oczach widać było ogromny zawód i ból. - Ależ ja jestem głupia! - powtórzyła z goryczą. - Skończona idiotka!

Wstała z ławki, odwróciła się i ruszyła w stronę samochodu. Patrząc za nią, Coltrain powtarzał w myślach jej zagadkowe słowa. Ośmieliła się marzyć... o czym?

W następnych dniach Lou traktowała współnika z uprzejmą rezerwą. Odnosiła się do niego tak, jak do wszystkich nieznanomych. Ich wzajemne relacje uległy jednak zmianie. Coltrain dostrzegł tę subtelną różnicę w jej zachowaniu. Dystans, który konsekwentnie utrzymywała był dla niego czymś nowym. Do tej pory dyskretnie

śledziła go wzrokiem, z czego on podświadomie zdawał sobie sprawę. Może nawet domyślał się, że ukradkowe spojrzenia to nie wszystko. Jednak Lou przestała wodzić za nim wzrokiem. I choć do tej pory często przychodziła do jego gabinetu, teraz robiła wszystko, żeby się z nim nie spotkać. Jeśli miała jakieś pytania, notowała je na kartce i zostawiała na jego biurku. A kiedy musiała przekazać mu jakieś informacje, robiła to za pośrednictwem Brendy.

Pewnego dnia zrobiła jednak wyjątek: w czwartek, tuż przed końcem pracy, przysłała, żeby z nim porozmawiać.

- Czy zaczął pan szukać kogoś na moje miejsce? - zapytała grzecznie.

Z ciekawością zajrzał w jej ciemne, spokojne oczy.

- Tak pani spieszo, żeby stąd odejść?

- Owszem - przyznała bez ogródek - chciałabym skończyć pracę po Bożym Narodzeniu - oznajmiła i od razu chciała wyjść z pokoju, on jednak przytrzymał ją za rękaw fartucha. Natychmiast uwolniła się i odsunęła na bezpieczną odległość. - Odejdę najpóźniej pierwszego stycznia - powiedziała twardo.

Mierzył ją uważnym wzrokiem, czując, że narasta w nim irytacja. Znowu przed nim ucieka. Jak zawsze, gdy próbował jej dotknąć.

- Jest pani świetnym fachowcem - stwierdził sucho - i jako taki zasługuje pani na najwyższe uznanie.

- Niech pan sobie, doktorze, daruj e te komplementy - zgasiła go.

- Za miesiąc już mnie tu nie będzie, a pan znajdzie sobie nowego

współpracownika. - Roześmiała się i pospiesznie wyszła z gabinetu.

Na kolację w Klubie Rotariańskim ubrała się elegancko, aczkolwiek skromnie, wybierając z garderoby klasyczną kremową garsonkę i różową bluzkę. Jednak wbrew swoim zwyczajom nie upięła włosów w kok, tylko pozwoliła im opaść swobodnie na ramiona. Zrobiła też delikatny makijaż. Nigdy nie spędzała za wiele czasu przed lustrem. To, jak wygląda, dawno przestało mieć dla niej większe znaczenie.

Choć włożyła w przygotowania minimum wysiłku, Drew był wyraźnie zaskoczony efektem. Co chwila zerkał na nią ciekawie, wydawało mu się bowiem, że tego wieczoru Lou jest nieco bardziej rozluźniona. Gdy jednak spróbował wziąć ją za rękę, natychmiast się od niego odsunęła. Od dłuższego czasu miał ochotę zapytać, czy w jej życiu wydarzyło się coś, o czym chciałaby porozmawiać z kimś życzliwym. Nigdy jednak tego nie zrobił, ponieważ Lou była dla niego zbyt dużą niewiadomą. Podejrzewał, że bardzo łatwo ją spłoszyć, wolał więc nie ryzykować; jedno niepotrzebne pytanie groziło bezpowrotną utratą jej zaufania.

Gdy trzymając się pod rękę, weszli do sali recepcyjnej, Lou natychmiast dostrzegła wśród gości Coltraina. Nie sądziła, że go tu spotka, poczuła się więc zakłopotana. Wszyscy wiedzieli, że jej współnik niechętnie udziela się towarzysko, a jeśli już gdzieś bywał, to tylko tam, gdzie miał szansę zobaczyć Jane Parker. Lou szybko rozejrzała się dokoła, lecz nigdzie nie zauważyła byłej dziewczyny

doktora. Zaintrygowana zastanawiała się, czy przyszedł sam, czy z towarzyszką. Jej ciekawość została zaspokojona szybciej, niż by sobie tego życzyła. Do Coltraina podeszła młoda, atrakcyjna brunetka i przyłgnęła do niego z tak rozanieloną miną, jakby właśnie trafiła do raju.

On zaś nawet na nią nie spojrzał. Odkąd wypatrzył Lou, nie spuszczał z niej oka. Po raz pierwszy widział ją z rozpuszczonymi włosami. Obserwując ją, doszedł do wniosku, że tego wieczoru jest mniej sztywna niż zwykle. I co z tego, zirytował się, skoro przyszła na kolację z ich wspólnym kolegą. Z niechęcią myślał o tym, że pewnie są kochankami, choć prawdę powiedziawszy, nie bardzo mógł ją sobie wyobrazić w tej roli. Jakoś nie widział jej baraszkującej w łóżku z Morrisem. Znał jej konserwatywne poglądy, które znajdowały odzwierciedlenie w stroju i fryzurze. To, że na jeden wieczór rozpuściła włosy, wcale nie znaczyło, że pozbyła się zahamowań. A jednak ta drobna zmiana w jej wyglądzie mocno go zaintrygowała. Nie sądził, że stać ją na coś takiego.

- Zdaje się, że Rudy poderwał nową panienkę - zauważył życzliwie Drew. - To Nickie Bolton, młodsza pielęgniarka.

- Nie poznałam jej bez czepka i fartucha - mruknęła Lou.

- A ja owszem - stwierdził. - Śliczna dziewczyna.

Uprzejmie skinęła głową.

- I bardzo młoda. - Uśmiechnęła się pobłażliwie. Drew ostrożnie wziął ją za rękę.

- Tobie też jeszcze daleko do emerytury - zazartował.

- Fajny z ciebie facet, Drew - zrewanżowała się, obdarzając go ciepłym spojrzeniem.

W przeciwległym krańcu sali rudowłosa mężczyzna nerwowo ścisnął szklankę ponczu. Przez okrągły rok Louise zawzięcie broniła się przed jego dotykiem. Nie dalej jak parę dni temu wyszarpnęła się gwałtownie, gdy chwycił ją za ramię. A teraz jak gdyby nigdy nic pozwala, żeby Drew trzymał ją za rękę. I jeszcze się do niego uśmiecha! Do Coltraina nigdy się nie uśmiechała w taki sposób. W ogóle się do niego nie uśmiechała.

Jego towarzyszka poklepała go po ramieniu.

- Hej, pamiętasz, że jesteś tu ze mną? - zapytała z zawadiackim błyskiem w oku. - Przestań rzucać takie mordercze spojrzenia swojej współniczce, nie jesteście w pracy.

- O czym ty mówisz? - zmarszczył brwi.

- Wszyscy wiedzą, że nie znosisz doktor Blakely - wyjaśniła Nickie. - Cały szpital o tym mówi. Najpierw besztasz ją za byle co, a potem ona chodzi cała w paskach i gada sama do siebie. Podobno doktor Simpson widziała ją kiedyś, jak płakała w pokoju pielęgniarek. A to zupełnie do niej niepodobne, bo niełatwo wyprowadzić ją z równowagi. Pewnie w akademii medycznej nauczyła się, jak się nie dawać. Kobieta, która chce zostać lekarzem, musi być bardzo odporna psychicznie.

Zszokowały go te rewelacje. Do niedawna był przekonany, że Lou Blakely nie wie, co to łyzy, i nic sobie nie robi z jego złych humorów. Dopiero teraz przyszło mu do głowy, że być może nauczyła

się skrywać przed nim swoje uczucia?

ROZDZIAŁ TRZECI

Podczas kolacji Lou trzymała się z dala od Coltraina i jego dziewczyny. Dopilnowała, żeby nie usiedli przy sąsiednich stolikach i starała się nie patrzeć w ich stronę. Z uwagą słuchała prelegentów, a między wystąpieniami szeptała coś do ucha kolegi. Co pewien czas dostrzegała jednak kątem oka, jak drobna dłoń dziewczyny muska rękę Coltraina. Widok tej flirtującej pary był dla niej prawdziwą torturą. Sama w ogóle nie umiała flirtować, tak jak nie miała pojęcia o wielu innych rzeczach. Potrafiła za to zachowywać kamienną twarz i korzystała z tej cennej umiejętności przez cały wieczór. Gdy w pewnej chwili Coltrain spojrział w jej stronę, nie mógł wyczytać z jej twarzy żadnych emocji. Lou była nieodgadniona.

Gdy po skończonej imprezie wychodzili z budynku, pozwoliła swojemu towarzyszowi wziąć się za rękę. Idący za nimi Coltrain patrzył na to, kipiąc ze złości. Wkrótce jednak cała czwórka spotkała się na parkingu.

- Dzisiaj rano odwaliłeś kawał dobrej roboty - pochwalił Coltraina Drew. - Nikt nie potrafi tak pięknie fastrygować jak ty. Obawiam się, że pani Blake nawet nie będzie miała porządnej blizny, żeby pochwalić się sąsiadkom.

Coltrain zmusił się do uśmiechu i mocniej przytrzymał dłoń Nickie.

- Pani Blake prosiła, żebym był wyjątkowo staranny - powiedział. - Zdaje się, że jej mąż jest perfekcjonistą.

- To się facet nie nudzi na tym niedoskonałym świecie - odparł

Drew. - Jutro rano chciałbym skonsultować się z tobą w sprawie jednego z moich pacjentów. Chłopiec cierpi na nawracające zapalenie gardła, więc jego matka nalega, żebym usunął mu migdałki. Moim zdaniem nie jest to potrzebne, ale ona wie swoje. Może ciebie posłucha.

- Nie licz na to - uprzedził go Coltrain. - Ale, jeśli chcesz, obejrzę chłopca.

- Dzięki.

- Nie ma sprawy. Cała przyjemność po mojej stronie - odrzekł, spoglądając na Lou, która nie brała udziału w rozmowie. - Spóźniła się pani dzisiaj do pracy dziesięć minut - zauważył chłodno.

- Rzeczywiście, zasnęłam - odparła swobodnie. - Strasznie mnie męczy to ciągle uganianie się za sanitariuszami z pogotowia i szukanie dodatkowego zajęcia - dodała z lekkim uśmiechem, i nim Coltrain zdążył się zorientować, że z niego zakpiła, wsiadła do samochodu.

- Proszę, żeby jutro przyszła pani punktualnie - przykazał jej i odszedł z Nickie uczepioną jego ramienia.

- Punktualnie... - mruczała rozgniewana, kiedy Drew odwoził ją do domu. - Już ja mu pokażę, co to znaczy punktualnie! Jutro dokładnie o wpół do dziewiątej zaparkuję samochód na jego miejscu.

- Coś mi się zdaje, że on to robi celowo - domyślił się Drew. - Chyba lubi, kiedy się na niego złości.

- Kiedy odejdę, będzie skakał z radości - burknęła. - Ja zresztą też.

Drew zerknął na nią kątem oka i, kryjąc uśmiech, stwierdził:

- Skoro tak mówisz...

Przez resztę drogi Lou siedziała nadąsana i w milczeniu bawiła się torebką.

- Przepraszam cię, Drew. Marne dziś ze mnie towarzystwo - powiedziała, kiedy odprowadził ją pod drzwi.

- Nie narzekam - odparł, klepiąc ją delikatnie po ramieniu. - Widzę, że działasz na Rudego jak czerwona płachta na byka. Oczywiście miałem świadomość, że nie możecie się porozumieć, ale dopiero dziś zobaczyłem, jak to wygląda z bliska. On się zawsze tak zachowuje?

Skinęła potakująco głową.

- Zawsze. Od samego początku. No, niezupełnie - przyznała po chwili. - Dokładnie, od ubiegłorocznych świąt.

- Co się wtedy stało? - zainteresował się nagle Drew.

Przyjrzała mu się nieufnie.

- Nic mu nie powiem - obiecał. - Co się stało?

- Chciał mnie pocałować pod jemiolą, ale mu na to nie pozwoliłam. Odsunęłam się - mówiła, czerwieniąc się. - Wytrącił mnie z równowagi. Zresztą nie pierwszy i nie ostatni raz. Kiedy się do mnie zbliżą czuję się bardzo niepewnie. Jak dla mnie, jest zbyt dominujący, również w sensie fizycznym. Za często próbuje mnie dotknąć. Nawet kiedy zaczyna ze mną rozmawiać, od razu chce przytrzymać mnie za rękę albo złapać za ubranie. Czasem mi się wydaje, że robi to specjalnie, właśnie po to, żeby mnie speszyć, bo

wie, że kiedy się do mnie zbliżą nie czuję się komfortowo.

Drew przysunął się do niej i bardzo ostrożnie wziął ją za rękę. Ledwie jej dotknął, skrzywiła się i natychmiast cofnęła dłoń.

Nie próbował jej przytrzymać.

- Opowiedz mi o tym - poprosił.

Uśmiechnęła się słabo i machinalnie zaczęła masować nadgarstek.

- Nie ma o czym mówić. To już przeszłość.

- Sama wiesz, że to nieprawda, skoro nadal nie lubisz, kiedy ktoś cię dotyka.

- Nie ktoś, tylko on - szepnęła.

Drew uniósł domyślnie brwi, ona jednak nawet nie zauważyła, że niechęć zdradziła swoją tajemnicę.

- Jestem dzisiaj bardzo zmęczona. - Westchnęła, rozcierając obolały kark. - To dziwne, bo z reguły nie czuję się taka wykończona nawet po kilkunastu godzinach pracy.

Drew z zawodową wprawą dotknął jej czoła.

- Chyba masz stan podgorączkowy. Jak się czujesz?

- Kiepsko. Jestem rozbita i wszystko mnie boli. Obawiam się, że dopadł mnie wirus. Jak zawsze o tej porze roku.

- Kładź się więc do łóżka, a jeśli rano nie poczujesz się lepiej, nie przychodź do pracy - poradził. - Chcesz, żebym ci coś przepisał?

- Nic mi nie będzie. Przecież wiesz, że na wirusa nic nie działa.

- Nie wierzysz w cudowną moc pigułek? - Roześmiał się.

- Jakoś nie. Nie potrzebuję placebo. Najlepsze lekarstwo to sen i

odpoczynek. Dziękuję za dzisiejszy wieczór. Było naprawdę sympatycznie.

- Też tak uważam. Od śmierci Ewy rzadko spędzam wieczory poza domem. Choć minęło już pięć lat, nadal za nią tęsknię. Obawiam się, że nigdy nie dojrzeję do tego, by po raz drugi ułożyć sobie życie z kimś innym. Nawet nie wiesz, jak bardzo żałuję, że nie mieliśmy dzieci. Chyba byłoby mi teraz łatwiej.

Zaskoczona przyglądała mu się uważnie.

- Podobno większość ludzi znajduje sobie nowego partnera zaledwie w kilka miesięcy po stracie współmałżonka - zauważyła.

- Widocznie jestem inny - odparł cicho. - Pokochałem tylko raz i na całe życie. Wolę wspominać dwanaście wspólnych lat z Evą niż przeżyć sto z inną. Domyślam się, że brzmi to bardzo staroświecko, ale tak jest.

Pokręciła głową.

- To, co mówisz, jest piękne - powiedziała miękko. - Eva miała ogromne szczęście. To wspaniałe być tak bardzo kochaną.

- To uczucie było wzajemne. - Teraz Drew się zaczerwienił.

- Nie mogło być inaczej. Nawet nie wiesz, jak wiele dla mnie znaczy nasza przyjaźń.

- Dla mnie również - odparł ze smutnym uśmiechem. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym, żebyśmy czasem spotykali się po pracy. Może wtedy przestaną o mnie gadać, że jestem stuknięty. Te plotki stają się nieznośne.

- Bardzo chętnie się z tobą spotkam, chociaż, jak sam wiesz, nie

jestem zbyt towarzyska. Najpierw przez osiem lat studiów siedziałam zagrzebana po uszy w książkach, a potem był staż, specjalizacja, sam też to przerabiałeś. Byłam wzorową studentką ale nigdy nie miałam czasu na życie prywatne. Ani na chłopaków - dodała cicho. - Prawdę mówiąc, wolałam trzymać się od nich z daleka. Małżeństwo moich rodziców skutecznie zniechęciło mnie do uczuciowych związków. Patrząc na ich życie, przestałam wierzyć, że ludzie mogą być ze sobą szczęśliwi. Albo że potrafią kochać na tyle mocno, by dochować wierności partnerowi... - Urwała zawstydzona.

- Wiem, jaki był twój ojciec - przyznał. - Dla nikogo w szpitalu nie było tajemnicą, że lubi młode dziewczyny.

- Coltrain mówił mi o tym.

- Co takiego?

Wzięła głęboki oddech.

- Kilka dni temu przypadkiem podsłuchałam waszą rozmowę. Złożyłam wypowiedzenie. Moja umowa kończy się po Nowym Roku i nie zamierzam jej przedłużać. Kiedy rozmawiałam o tym z Coltrainem, powiedział mi, co mu zrobił mój ojciec. Źle się stało, że zaczęłam tu pracować. Nie gniewaj się, Drew, ale nie powinieneś był go namawiać, żeby dał mi tę posadę.

- Wiem. Ale cóż, stało się. Chciałem pomóc, a jak wiadomo, dobrymi chęciami jest piekło wybrukowane - mówił. - Podświadomie liczyłem na to, że pomogę również Rudemu. Zadurzył się biedak w Jane Parker. Nic nie mam przeciwko tej dziewczynie, jest piękna i miła, ma temperament, ale to nie jest partnerka dla niego. On już taki

jest, że zdominuje i zastraszy kobietę, która nie będzie miała dość odwagi, żeby stawić mu czoło.

- Zupełnie jak mój ojciec - westchnęła.

- Nigdy cię o to nie pytałem, ale twój nadgarstek wygląda tak, jakby kiedyś był złamany - powiedział zniecacka.

Zaczerwieniła się gwałtownie i bez zastanowienia zrobiła krok w tył.

- Na mnie już pora. Jeszcze raz bardzo ci dziękuję, Drew.

- Jeśli nie możesz porozmawiać o tym ze mną, zwróć się do kogoś innego. Naprawdę wierzysz, że można normalnie żyć, nie uporawszy się najpierw z trudną przeszłością?

- Jedź ostrożnie. - Uśmiechnęła się do niego ciepło.

- Niech ci będzie. - Wzruszył ramionami. - Zapomnijmy o tym temacie.

- Dobranoc.

Patrzyła za nim, jak odjeżdżał, machinalnie masując rękę. Obiecywała sobie, że nie będzie myśleć o tej sprawie. Zaraz położy się do łóżka i natychmiast o wszystkim zapomni.

Niestety, nie udało się. Obudziła się w środku nocy zapłakana i przerażona. Długo trwało, zanim uświadomiła sobie, że znajduje się we własnym domu i jest tu bezpieczna. Nic już jej nie grozi. Koszmar minął. Za to okazało się, że faktycznie jest chora. Męczyło ją pragnienie, napełniła więc dzbanek wodą i postawiwszy go na nocnym stoliku, wróciła do łóżka. Od razu zasnęła, i gdyby nie to, że musiała chodzić kilka razy do łazienki, reszta nocy minęłaby jej

całkiem spokojnie.

Obudziło ją wściekłe walenie w drzwi. Ktoś dobijał się uparcie, krzyząc donośnym głosem. Szczęście, że nie mam sąsiadów, pomyślała zaspana. Pewnie zaraz wezwaliby policję. Chciała wstać, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Na domiar złego kręciło jej się w głowie, dokuczał jej żołądek, a skronie rozsadzał tępy ból. Czowała się paskudnie, dała więc za wygraną i z cichym jękiem opadła na poduszkę.

Po chwili drzwi wejściowe otworzyły się i do sypialni energicznie wkroczył rozjuszony rudzielec w szpitalnym fartuchu.

- A więc tu pani jest - mruknął, w lot pojmując, co się z nią dzieje. - Nie mogła pani zadzwonić?

Z trudem skupiła na nim wzrok.

- Prawie w ogóle nie spałam...

- Z powodu Morrisa?

Nawet nie miała siły się oburzyć.

- Z powodu choroby. Ma pan przy sobie coś na żołądek? Mam straszne mdłości.

- Zaraz coś się znajdzie - obiecał i wyszedł do samochodu. Jak to dobrze, myślał po drodze, że zostawiła zapasowy klucz pod wycieraczką. Perspektywa wyważania drzwi nie była zbyt kuszącą choć raz czy dwa był już zmuszony to zrobić, żeby dostać się do chorego.

Wrócił do sypialni z torbą lekarską i zbadał Lou. Była bardzo

blada, miała temperaturę i przyspieszony puls, ale płuca na szczęście były czyste, odetchnął więc z ulgą. Wprawdzie wyglądała bardzo mizernie, ale jej dolegliwość nie była poważna.

- Wirus - orzekł po chwili.

- Co pan powie?!

- Przeżyje pani.

- Proszę mi dać lekarstwo na żołądek - wyciągnęła do niego rękę.

- Da pani sobie radę?

- Tak, jeśli doprowadzi mnie pan do łazienki.

Dopiero kiedy pomagał jej wstać, zauważył, jak bardzo jest wątła. W ubraniu nie wyglądała na osobę tak delikatnej budowy, jednak piżama z cienkiego jedwabiu nie była w stanie ukryć szczupłości jej ciała. Zaprowadził ją do łazienki, po czym czekał, aż wyjdzie, żeby podtrzymywać ją w drodze do łóżka. Przyjrzał jej się uważnie, po czym zdecydowanym ruchem sięgnął po telefon i szybko wystukał numer.

- Mówi doktor Coltrain. Proszę przysłać karetkę pod dom doktor Blakely na Brazos Lane 23. Zgadza się. Tak. Dziękuję.

- Nie jadę... - broniła się.

- Owszem, jedzie pani! - uciął. - Nie zostawię tu pani samej, bo się pani całkiem odwodni. Jeśli będzie pani traciła płyny w takim tempie, za trzy dni będzie po pani.

- Obchodzi pana, co ze mną będzie? - zapytała z wściekłością.

Bez słowa pochylił się, żeby jeszcze raz zbadać jej puls. Tym

razem sięgnął po jej lewy nadgarstek, ale natychmiast wyszarpnęła rękę. Zmrużywszy oczy, patrzył, jak na jej policzki wypełza rumieniec. Naraz uświadomił sobie, że kiedy wychodzili z Klubu, Drew trzymał ją za prawą rękę, on zaś przeważnie chwycił ją za lewą...

Przeniósł wzrok na szczupły nadgarstek i od razu zauważył to, co swego czasu zaintrygowało Morrisa. Nie ulegało wątpliwości, że lewa ręka była kiedyś w tym miejscu złamana. Wprawdzie złożono ją bardzo fachowo, ale ślad i tak był widoczny.

- Nie pojedę do szpitala - syknęła, zaciskając pięści.

- Pojedzie pani, pojedzie, choćbym miał tam panią zanieść na własnych plecach.

Zmierzyła go takim wzrokiem, że gdyby spojrzenie mogło zabijać, natychmiast padłby trupem. Nic takiego się jednak nie stało, mógł więc bez przeszkód pójść do kuchni i powyłączać wszystkie sprzęty z wyjątkiem lodówki. Kiedy wracał, przystanął na chwilę w salonie i z ciekawością rozejrzał się dokoła. Jego uwagę przykuły pełne ekspresji obrazy, które sąsiadowały z subtelnymi pastelami przedstawiającymi bukiety kwiatów. Zastanawiał się, kto jest ich autorem.

Kiedy przyjechała karetka, Lou poprosiła go, żeby spakował jej parę niezbędnych rzeczy. Wrzucił je do torby i położył w nogach noszy, na których przewieziono ją do ambulansu.

- Dziękuję panu - powiedziała sennie, gdyż lekarstwo, które jej podał, już zaczynało działać.

- Nie ma za co, pani doktor - odparł z uśmiechem, lecz jego oczy pozostały skupione i poważne. - Pani maluje? - zapytał zniecierpliwiony.

Z wysiłkiem uniosła powieki.

- Skąd pan wie? - mruknęła i zapadła w głęboki sen.

Obudziła się kilka godzin później w jednoosobowej sali. Przy jej łóżku krzątała się pielęgniarka, notując w karcie aktualny stan jej zdrowia.

- O, już pani nie śpi - ucieszyła się. - Lepiej się pani czuje?

- Chyba tak - odparła, kładąc rękę na brzuchu. - Zdaje się, że schudłam.

- Nic dziwnego, przy tak silnych mdłościach. Proszę się nie martwić, będziemy tu o panią dbać. Zje pani trochę zupy? A może ma pani ochotę na galaretkę owocową albo herbatę?

- Może być kawa? - zapytała z nadzieją.

- Jeśli już, to bardzo słaba, ale i tego nie mogę obiecać - ostrzegła ją pielęgniarka. Wypełniwszy do końca jej kartę, poszła po kolację.

Posiłek był bardzo skromny, ale po trwającej całą dobę głodówce smakował wybornie. Co za pomysł, żeby z powodu głupiego wirusa pakować człowieka do szpitala, zżymała się, przysięgając sobie, że jak tylko ją stąd wypuszczą, zrobi Coltrainowi dziką awanturę.

W czasie obchodu zajrzał do niej Drew.

- A nie mówiłem, że będziesz chora? Jak tam, lepiej się czujesz?

- Lepiej. Uważam, że nic by się nie stało, gdybym została w

domu.

- Twój współnik jest innego zdania. Idąc tu, spodziewałem się zobaczyć samą skórę i kości. - Śmiał się. - Wpadnę do ciebie później. Trzymaj się.

Z westchnieniem opadła na poduszkę. Wyobraziła sobie, co się dzieje w przychodni. Biedna Brenda musi znosić narzekania niezadowolonych pacjentów, których nie ma kto przyjąć, bo Coltrain operuje. Ponieważ jest zajęty przez cały ranek, ludzie siedzą w poczekalni do wieczora, złorzecząc pod nosem opieszalej służbie zdrowia.

Było już dobrze po dziewiątej, kiedy Coltrain znalazł wreszcie czas na wieczorny obchód. Widząc, jak bardzo jest zmęczony, poczuła wyrzuty sumienia, choć przecież dobrze wiedziała, że na wirusa nie ma rady.

- Bardzo przepraszam - mruknęła, kiedy stanął przy jej łóżku.

- Za co? - Zdziwiony uniósł brwi. Wziął ją za rękę, tym razem prawą, by zbadać puls. Tak jak przeczuwał, tym razem nie próbowała się wyrywać.

- Za to, że musi pan obsłużyć również moich pacjentów.

Zaniepokoiła się dopiero wtedy, kiedy pochylił się, żeby zajrzeć jej w oczy. Pod palcami, którymi obejmował ciasno jej nadgarstek, poczuł gwałtownie przyspieszający puls. Nagle w jego głowie zaświtała nowa, szokująca myśl, która nie dawała mu spokoju, choć próbował ją ignorować.

Tymczasem Lou odwróciła głowę, żeby na niego nie patrzeć.

- Nic mi nie jest - powiedziała, ale oddychała niespokojnie. Nie musiał pytać, co się z nią dzieje. Zdradzał ją szalejący puls.

Puścił jej nadgarstek i wstał. Z zaciekawieniem obserwował, jak kołdra na jej piersi opada i podnosi się unoszona nierównym oddechem. Taka reakcja wydała mu się zaskakująca, zwłaszcza w przypadku kobiety, która wiecznie drze z nim koty.

Marszcząc czoło, sięgnął po kartę i przeczytał zapiski.

- Pani stan się poprawia. Jeśli do rana nic się nie zmieni, będzie pani mogła wrócić do domu. Ale nie do pracy - zaznaczył. - Drew obiecał, że pomoże mi w przychodni.

- Miło z jego strony.

- Bo to miły facet.

- Bardzo miły.

Pojął aluzję.

- Nie przepada pani za mną, prawda? - zauważył z przekąsem. - Nie ma pani powodu, żeby mnie lubić. Od początku zachowywałem się wobec pani wrogo. Przyznaję, że jestem trudny.

- Po prostu jest pan sobą, doktorze.

- Niezupełnie. Nie zna mnie pani.

- Na szczęście.

Zamyślił się, wpatrując się w nią jasnymi oczami. Od pierwszych chwil unikała go jak trędowatego. Ilekroć próbował się zbliżyć, odskakiwała jak oparzona. Że też nigdy nie zastanowiły go te dziwne reakcje. To nie była odraza. O nie, tu chodzi o coś innego. Coś, co w jej mniemaniu jest dużo bardziej niebezpieczne i

niepokojące. Coltrain pojął, że nie jest jej obojętny, lecz jak na złość zrozumienie przyszło o wiele za późno. Lou Blakely zniknie z jego życia, zanim on na dobre rozezna się we własnych uczuciach.

Wsunął ręce w kieszenie fartucha i z uwagą obserwował jej bladą, mizerną twarz. Nie miała makijażu, gorączka zostawiła sine cienie pod jej oczami, bujne włosy były potargane i pozbawione blasku. Lecz nawet w takim stanie była na swój sposób piękna.

- Dziękuję, wiem, jak wyglądam - mruknęła, gdy zorientowała się, że na nią patrzy. - Nie musi pan mi tego wypominać.

- Czy ja to robię? - spojrzał pytająco w jej gniewne oczy.

Opuściła wzrok i dłuższy czas wpatrywała się w swoje szczupłe dłonie.

- Owszem, robi to pan, i to często. - Opuściła powieki. - Nie musi pan przypominać mi o niedostatkach mojej urody. Mój ojciec nie przepuścił żadnej okazji, żeby uświadomić mi, czego mi brakuje.

Jej ojciec. Na samo wspomnienie tego człowieka na twarzy Coltraina pojawiał się złowrogi cień. Pamięć natychmiast zaczęła podsuwać mu smutne wspomnienia, lecz pośród nich ujawniały się także skrawki niesprawdzonych informacji i zwykłych plotek o tym, jak doktor Fielding Blakely traktuje swoją nieszczęsną żonę. Wtedy nie słuchał tych rewelacji, teraz zaś uświadomił sobie, że pani Blakely na pewno wiedziała o licznych romansach męża. Nie przeszkadzało jej to? A może bała się cokolwiek powiedzieć...

Kiedy myślał o rodzinnej sytuacji Lou, w jego głowie rodziło się coraz więcej pytań, na które nie znał odpowiedzi. Intrygowała go. Jej

zagadkowa małomówność, złamany nadgarstek, niska samoocena, wszystko to zaczynało powoli układać się w pewien wzór.

- Czy pani matka wiedziała, że jest zdradzana? - zapytał wprost.

Spojrzała na niego z miną osoby, która nie jest w stanie uwierzyć w to, co słyszy.

- Przepraszam... ?

- Słyszała pani, o co pytam. Czy pani matka wiedziała?

Niezgrabnie podciągnęła kołdrę pod samą szyję.

- Tak - wykrztusiła.

- Więc dlaczego nie odeszła od niego?

- Pan nawet nie potrafi sobie tego wyobrazić. - Roześmiała się gorzko.

- A jeśli potrafię... ? - odparł, podchodząc bliżej. - Mogę wyobrazić się sobie rzeczy, o których do niedawna nie miałem pojęcia. Znam panią od roku, ale zaczynam poznawać dopiero teraz.

Poruszyła się niespokojnie.

- Proszę nie nadweręzać swojej wyobraźni, doktorze. Nie prosiłam o pańskie zainteresowanie - powiedziała chłodno. - Nie potrzebuję go.

- Tak jak nie potrzebuje pani zainteresowania żadnego innego mężczyzny, zgadłem? - zapytał łagodnie.

Lou poczuła się jak owad nabity na szpilkę.

- Niech pan przestanie... - jęknęła. - Jestem chora, a pan mnie przesłuchuje.

- Tak to pani odbiera? A mnie się zdawało, że wreszcie zacząłem

wykazywać nieco spóźnione zainteresowanie prywatnymi sprawami mojego medycznego partnera - odparł leniwie.

- Po świętach nie będę już pańskim partnerem.

- Dlaczego?

- Dlatego, że złożyłam wymówienie.

- I co z tego? Podarłem je.

- Co pan zrobił?! - zapytała z niedowierzaniem.

- Podarłem - powtórzył, niedbale wzruszając ramionami. - Nie poradzę sobie bez pani. Dobrze wiem, że kiedy pani odejdzie, stracę wielu pacjentów.

- Zanim się tu zjawiłam, radził pan sobie bardzo dobrze...

- Nawet zbyt dobrze. Efekt był taki, że nie miałem czasu na sen, nie mówiąc już o urlopie. Dopiero pani mnie odciążyla. Jest pani niezastąpiona. Musi pani zostać.

- Wcale nie muszę! - zawołała. - Nienawidzę pana!

Obserwował ją, kiwając głową na znak aprobaty.

- Dobrze, bardzo dobrze. I zdrowo. O wiele zdrowiej niż chować się jak ślimak w skorupie za każdym razem, gdy podejść zbyt blisko.

Jego bezpośredniość wprawiała ją w osłupienie.

- Ja się wcale... !

- Właśnie że tak - spojrzał znacząco na jej nadgarstek. - Ma pani mnóstwo tajemnic. Przysięgam, że nie dam pani spokoju, dopóki ich nie poznam. Na początek chciałbym się dowiedzieć, dlaczego nie pozwala pani nikomu dotknąć tego nadgarstka.

Z wrażenia zaparło jej dech. Pod badawczym spojrzeniem

Coltraina zaczerwieniła się tak mocno, że aż piekły ją policzki.

- Nie będę panu opowiadać żadnych swoich sekretów - mruknęła.

- Dlaczego? Potrafię być dyskretny.

Wiedziała, że mówi prawdę. Nigdy nie opowiadał o problemach swoich pacjentów, jeśli powierzali mu je w zaufaniu.

W zamyśleniu przesunęła palcami po zrośniętych kostkach, krzywiąc się na wspomnienie tamtego bólu oraz okoliczności, w których to się wydarzyło.

Coltrain obserwował ją i zachodził w głowę, jak mógł nazwać ją zimną. Przecież pod jej pozornym chłodem krył się temperament nie mniejszy niż jego własny. Kiedy popadali w konflikt, potrafiła zażarcie bronić swego zdania. Owszem, nie pozwalała się dotknąć, ale przyczyna jej rezerwy tkwiła w przeszłości, nie zaś w tym, co dzieje się tu i teraz.

- Jest pani bardzo skryta - powiedział cicho. - Zamyka się pani w sobie, nie mówi o tym, co panią boli. Pracujemy ze sobą od roku, a w ogóle pani nie znam.

- To był pański wybór - przypomniała mu. - Od początku traktuje mnie pan jak dopust boży.

Zaczerpnął głęboko powietrza, chwilę się zastanawiał, po czym stwierdził:

- Ma pani rację. Tak rzeczywiście było, choć muszę zaznaczyć, że ta sytuacja nie wynikała z pani winy. Przyznaję, żywiłem do pani urazę.

- To nie jest zabronione - orzekła, przypatrując się surowym rysom jego pociągłej twarzy. - Niewiele wiem o przeszłości mojego ojca, choć pewnie powinnam była się domyślić, że nie zerwał wszelkich kontaktów z Jacobsville bez przyczyny. Nie odwiedzał brata ani nikogo z rodziny. Z czasem zupełnie straciliśmy z nimi kontakt, nawet nie było do kogo napisać. Mojej matce jakoś to nie przeszkadzało - powiedziała, podnosząc wzrok. - Myślę, że wiedziała... - zawstydzona odwróciła spojrzenie.

- Mimo to z nim została.

- Nie miała innego wyjścia - wyrzuciła z siebie jednym tchem. - Gdyby próbowała odejść, chyba by ją... - przełknęła ślinę, ręką kreśląc w powietrzu bezradny gest.

- Zabił?

Odwróciła się. Nie mogła na niego patrzeć. Wspomnienia napłynęły mroczną falą: porywczosć ojca, gdy był pod wpływem narkotyków, jego groźby, strach sterroryzowanej matki, jej własny lęk. Płacz, fizyczny ból...

Coltrain ostrożnie wziął ją za rękę. Słyszał jej przyspieszony oddech. Gdy po chwili na niego spojrziała, jej oczy przepełniał bezgraniczny smutek. Splótł palce z jej palcami i lekko uścisnął jej dłoń, dając w ten sposób do zrozumienia, że ją rozumie i pragnie dodać jej otuchy.

- Kiedyś mi pani o tym opowie. - Nie odrywał od niej wzroku. - O wszystkim.

Nie pojmowała, skąd w nim to nagłe zainteresowanie jej

przeszłością. Zaciekawiona, zajrzała mu w oczy i nagle poczuła, jak zalewa ją fala emocji. Doznanie to było tak intensywne, że aż zabrakło jej tchu. Z twarzy Coltraina, bardzo surowej i męskiej, wyczytała wszystko, co wiedziała i kiedykolwiek miała się dowiedzieć o miłości.

Co z tego, skoro on jej nie chce. I wciąż nie potrafi jej zaakceptować. Jest mu potrzebna w przychodni, jednak w jego prywatnym życiu nie ma dla niej miejsca. Zwłaszcza że wciąż przeżywa minione dramaty: wspomnienie dziewczyny, którą odebrał mu jej ojciec, rozstanie z Jane Parker. Lou nie wątpiła, że Coltrain jej współczuje, jak zresztą każdej cierpiącej istocie, jednak to zainteresowanie z pewnością nie ma osobistego charakteru.

Powoli wysunęła dłoń z jego uścisku i uśmiechnęła się łagodnie.

- Dziękuję - powiedziała ochryple. - Chyba... za wiele o tym myślę. Nie ma sensu grzebać się w przeszłości.

- Kiedyś też tak myślałem - wyznał - ale teraz nie jestem już tego pewien.

Nie pojęła sensu jego słów. Nie szkodzi. Do sali weszła właśnie pielęgniarka, więc należało porzucić wszelkie osobiste wątki.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Następnego dnia pozwolono jej wrócić do domu. Najpierw z samego rana Drew zjadł z nią śniadanie i upewniwszy się, że faktycznie wraca do zdrowia, poinformował o tym Rudego, który dopiero wtedy zgodził się wypisać ją ze szpitala. Gdy jednak Drew zaofiarował się, że odwiezie ją do domu, Coltrain zaproponował. Stwierdził, że zrobi to osobiście. Mój partner, powiedział, mój kłopot. Drew się nie spierał. Uśmiechał się tylko domyślnie za ich plecami.

Kiedy dotarli na miejsce, Coltrain wniósł bagaż Lou i pomógł jej ułożyć się na kanapie. Zbliżała się pora obiadu, zawahał się więc, czy przypadkiem nie zaproponować jej wspólnego posiłku.

- Zjem później - mruknęła, unikając jego spojrzenia. - Nie jestem jeszcze głodną a pan pewnie coś by zjadł.

- Nie powiem, że nie - przyznał, niepewny, jak się zachować. Własne niezdecydowanie wyraźnie go zirytowało. - Poradzi pani sobie? - zapytał szorstko.

- Przecież to był zwykły wirus - odparła, siląc się na swobodny ton. - Nic mi nie będzie, ale dzięki za troskę.

- Proszę to docenić, lub przynajmniej potraktować jak ciekawą odmianę w naszych relacjach - powiedział bez cienia uśmiechu. - Sam już nie pamiętam, kiedy ostatnio tak nadskakiwałem kobiecie.

- Jestem tylko koleżanką z pracy, a to nie to samo - zaznaczyła, chcąc za wszelką cenę udowodnić, iż rozumie, że łączące ich relacje są czysto zawodowe.

- Faktycznie. Od początku pilnowałem, żeby nasze kontakty nie

wykraczały poza obszar spraw służbowych. I właśnie dlatego nigdy pani do siebie nie zapraszałem.

Peszył ją przenikliwym spojrzeniem.

- I co z tego? Ja pana też nie zapraszałam - stwierdziła. - Nie chciałam stawiać pana w kłopotliwej sytuacji.

- W kłopotliwej sytuacji? Niby dlaczego?

- Gdybym pana zaprosiła, musiałby pan znaleźć jakąś sensowną wymówkę.

- Nie jestem pewien, czy bym odmówił. Gdyby mnie pani zaprosiła.

Serce zabiło jej mocniej, więc na wszelki wypadek spuściła wzrok. Chciała, żeby Coltrain już poszedł. Bała się, że jeśli rozmowa potrwa dłużej, zdradzi się ze swoimi uczuciami.

- Przepraszam, jestem bardzo zmęczona - powiedziała cicho.

Wyczuł, że Lou chce się go pozbyć. Ciekaw był, ilu mężczyzn odprawiała w taki sposób. Zamiast jednak odejść, przysunął się nieco bliżej. Jej reakcja była natychmiastowa: ledwie przy niej stanął, nerwowo napięła mięśnie, zaczęła szybciej oddychać, instynktownie rozchyliła wargi. Kiedy był blisko, budziły się jej zmysły, do czego zresztą za nic nie chciała się przyznać. Wzruszyła go swoją autentycznością tak bardzo, że dopadły go wyrzuty sumienia. Żałował, że był dla niej szorstki, że prowokował konflikty. Wreszcie, że swoim zachowaniem doprowadził do tego, iż przestała mu ufać.

Dzielił ich zaledwie krok. Ta sytuacja wyraźnie ją krępowała, nie chciał więc niepotrzebnie jej peszyć. Odsunął się i z pewnej

odległości spojrzał na jej zarumienią twarz, której widok sprawił mu dziwną przyjemność.

- Jeśli jutro uzna pani, że nie czuje się pani na siłach, proszę zostać w domu. Poradzę sobie.

- Dobrze.

- Lou... - Pierwszy raz zwracał się do niej po imieniu. Zaskoczona, spojrzała na niego pytająco. - Nie ponosisz żadnej odpowiedzialności za to, co zrobił twój ojciec - oświadczył. - Przepraszam, że próbowałem się na tobie odegrać. Jeśli możesz, przemyśl jeszcze raz swoją rezygnację. Bardzo cię o to proszę.

Nerwowo poprawiła się na kanapie.

- Dziękuję za propozycję, ale myślę, że będzie lepiej, jeśli odejdę - powiedziała łagodnie. - Z kimś innym będzie ci dużo łatwiej.

- Tak sądzisz? Jestem innego zdania. - Delikatnie przesunął palcami po jej ciepłym policzku aż do kącika ust. Po raz pierwszy tak ją dotykał. Odpowiedzią był głęboki dreszcz, który niczym wstrząs wtórny przeszył również jego. Wpatrzony w jej wargi wstrzymał oddech. Pomyślał, że umrze, jeśli nie skosztuje tych warg. Jednak rozsądek podpowiadał mu, że jest na to zbyt wcześnie. Nie wolno mu tego robić!

Cofnął dłoń tak gwałtownie, jakby dotknął rozpalonego żelaza.

- Na mnie już czas - rzucił oschle i zaczął zbierać się do wyjścia. Zdumiewało go i przerażało jednocześnie, że jej instynktowna odpowiedź na niewinną pieszczotę tak mocno podziałała na jego zmysły. Naprawdę niewiele brakowało, a byłby ją pocałował. Czuł, że

musi natychmiast od niej wyjść, bo jeszcze chwila i wszystko zepsuje.

Lou nie pojmowała, dlaczego nagle zaczął się spieszyć. Pomyślała, że pewnie pożałował chwilowej słabości i przeraził się, że zachęcona jego przyjaznym gestem, zacznie wyobrażać sobie Bóg wie co.

- Dziękuję za odwiezienie do domu - powiedziała bardzo uprzejmym tonem.

Zatrzymał się w progu i odwrócił, by jeszcze raz na nią spojrzeć. Przypatrywał się jej dość długo, notując w pamięci zgrabne linie smukłego ciała, bujne, rozpuszczone włosy, nieskazitelną cerę i ciemne oczy.

- Ciesz się, że w porę wychodzę - warknął i nie bacząc na jej zdezorientowaną minę, zamknął za sobą drzwi.

Uznała, że jej wspólnik ostatnio zachowuje się bardzo dziwnie. Co w niego wstąpiło? Podejrzewała, że jest na siebie zły za to, że zbyt pochopnie zaproponował, by została na oddziale. A zresztą, zniecierpliwiła się, co ją to w ogóle obchodzi. Zamiast analizować jego motywy, powinna jak najszybciej pogodzić się z myślą, że niebawem zniknie z jego życia. Tak być musi, bo po pierwsze, on nie ma jej niczego do zaoferowania, a po drugie, jego niechęć, czy wręcz nienawiść do niej jest w pełni uzasadniona.

Wstała z kanapy i poszła do kuchni, żeby przygotować sobie coś do jedzenia. Zanim wróci do pracy, musi nabrać trochę sił. Sięgnęła po puszkę zupy pomidorowej, która od razu wysunęła jej się z ręki. Lewej. Na twarzy Lou pojawił się bolesny grymas. Jedno tragiczne

zdarzenie zrujnowało jej marzenia o zawodzie chirurga. To niepowetowana strata zmartwił się jej profesor. W jego opinii miała wyjątkowe wyczucie, jakim obdarzeni są tylko najwybitniejsi specjaliści, którzy instynktownie wiedzą, gdzie i jak wykonać cięcie, by nie narażać pacjenta na niepotrzebną utratę krwi. Miała szansę stać się sławna. Niestety, w wyniku złamania z przemieszczeniem ścięgno w nadgarstku zostało poważnie uszkodzone. I choć rękę składali najlepsi ortopedzi, zmiany okazały się nieodwracalne. Ojciec nawet jej nie przeprosił...

Potrząsnęła głową, by odgonić smutne wspomnienia. O pewnych sprawach lepiej po prostu nie pamiętać.

Wróciła do pracy już następnego dnia. Co prawda wciąż była osłabioną uznała jednak, że da sobie radę. I rzeczywiście, bez problemu przyjęła wszystkich pacjentów. Był wśród nich chłopczyk, który przyszedł na zdjęcie szwów.

- Doktor Coltrain to chyba nie lubi dzieci - poskarżył się, zachęcony jej ciepłym uśmiechem. - Pokazałem mu moją ranę, a on powiedział, że widział gorsze rzeczy.

- Bo to prawda - potwierdziła, zaraz jednak dodała: - Ale ty, Patricku, byłeś bardzo dzielny. W nagrodę dostaniesz ode mnie coś dobrego - obiecała, sięgając do szuflady po paczkę gumy dla dzieci. - Proszę, oto specjalna nagroda dla wzorowego pacjenta. A teraz biegnij do mamy. I uważaj, żeby znowu nie nabić sobie guza.

- Tak jest, pani doktor!

Lou wypisała rachunek i odprowadziła chłopca do drzwi. W progu wpadł na nich Coltrain. Malec spojrzał na niego nieufnie, uśmiechnął się do Lou i czmychnął do mamy.

- Łobuz - mruknął Coltrain, patrząc w ślad za nim.

- Nie spodobałeś mu się - powiedziała ze słodkim uśmiechem. - Nie potraktowałeś poważnie jego rany.

- Też mi rana! - obruszył się. - Raptem dwa szwy, a darł się, jakby go ze skóry obdzierali.

- Bo go bolało.

- Bez przesady. Wiesz, co mi powiedział na koniec? Że nie życzy sobie, żebym to ja zdejmował mu szwy, bo nie umiem tego robić. Zaznaczył, że woli poczekać na ciebie.

Uśmiechnęła się pod nosem, nie przerywając porządkowania stołu zabiegowego, który po wizycie Patricka wyglądał jak po przejściu huraganu.

- Nie lubisz dzieci? - zapytała.

- Czy ja wiem? Po prostu ich nie znam. Stykam się z nimi tylko w przychodni. - Wzruszył ramionami. - Od kiedy tu jesteś, leczę głównie dorosłych.

Stał oparty o futrynę, z rękami w kieszeniach fartucha i stetoskopem na szyi, w milczeniu obserwując jej krzątanie.

Zorientowała się, że na nią patrzy. Zaciekawiona zerknęła w jego stronę, jednak w chwili, gdy spojrzała mu w oczy, poczuła, że nawet gdyby chciała, nie potrafiłaby się odwrócić. Zapomniała o tym, co robi, i z bijącym sercem zastygła nad stołem pełnym leków i

instrumentów.

Coltrain z niemym zachwytem śledził zarys jej ust: pełną dolną wargę, rozkosznie zaokrągloną górną i lśniące zęby. To, co widział, wydało mu się bardzo pociągające. Może dlatego zaczął się zastanawiać, jak smakują jej pocałunki. Odgadła jego myśli.

Stłumiony odgłos kroków w korytarzu brutalnie wytrwał ich z rozmarzenia. W tej samej chwili Brenda energicznie otworzyła drzwi.

- Lou, przez pomyłkę... Ojej, przepraszam! - zawołała spłoszoną wpadając niespodziewanie na Coltraina.

- To ja przepraszam - burknął. - Przyszedłem zapytać Lou, czy przypadkiem nie wzięła karty mojego pacjenta.

- Nie, to ja się pomyliłam - wyjaśniła Brenda, podając mu kopertę. - Bardzo przepraszam.

- Nic się nie stało. - Jeszcze raz spojrzął na Lou i wyszedł.

- Znowu awantura - westchnęła Brenda domyślnie. - Nie chcę się wtrącać, ale ludzie, którzy razem pracują, powinni być bardziej układni.

Lou nie wyprowadzała jej z błędu. Uznała, że domysły Brendy są mimo wszystko mniej kompromitujące niż to, co wydarzyło się między nimi naprawdę. Nigdy dotąd Coltrain nie patrzył nią w tak szczególny sposób. To dobrze, że złożyła rezygnację. Kto wie, czy nie załamałaby się w obliczu takich emocjonalnych prowokacji. Gdyby Coltrain zaczął ją podrywać, w Austin będzie o wiele bardziej bezpieczna.

Na pewno nie będzie po niej płakał. Ma opinię zaprzysięgłego

kawalera i w czasie towarzyskich imprez nigdy nie doskwiera mu samotność. Wręcz przeciwnie, zawsze otacza go wianuszek rozanielonych kobiet. Szpital aż huczy od plotek o jego romansie z Nickie, następczynią Jane Parker, która podobno złamała mu serce.

Lou nie widziała się w roli pocieszycielki, a zamążpójścia w ogóle nie planowała. Woląca, by Coltrain traktował ją jak osobistego wroga. Lepiej, żeby ją beształ, niż pożądliwie wpatrywał się w jej usta. Na wspomnienie jego błyszczących oczu znowu przeszedł ją dreszcz. Związek z takim mężczyzną jak on byłby wyjątkowo niebezpieczny, bo mogłaby się od niego uzależnić. Była wrogiem wszelkich uzależnień. Wiedziała też, że gdyby uległa Coltrainowi, złamałby jej serce. Nie, lepiej będzie, jeśli czym prędzej stąd odejdzie. W ten sposób oszczędzi sobie bólu, jaki rodzi trwanie w beznadziejnym związku.

Doroczną imprezę gwiazdkową dla pracowników szpitala zaplanowano na piątek, dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem, tak by nie kolidowała z przygotowaniami do świąt.

Lou nie miała zamiaru brać w niej udziału, ale Coltrain przyparł ją do muru. Właśnie kończyli pracę, kiedy poprosił, żeby przed wyjściem zajrzała do jego gabinetu.

- Dziś wieczorem spotykamy się na imprezie.
- Wiem. Ale nie przyjdę.
- Przyjadę po ciebie za godzinę - oznajmił, ignorując jej protesty.
- Wiem, że nadal jesteś w marnej formie, więc obiecuję, że wyjdziemy

wcześnie.

- Co z Nickie? - zapytała poirytowana. - Nie będzie miała nic przeciwko temu, że zamiast z nią, idziesz na imprezę ze mną?

Nie spodziewał się po niej takiej reakcji.

- Dlaczego miałyby jej to przeszkadzać? - zdziwił się, unosząc brwi.

- Jak to? Przecież się z nią spotykasz.

- Zaprosiłem ją na kolację do Klubu Rotariańskiego, co, jak pewnie wiesz, nie jest równoznaczne z oświadczeniami. Nie wiem, co ci naplotkowano, ale zapewniam cię, że nic nas nie łączy.

- Nie denerwuj się! Nie musisz mi od razu odgryzać głowy! - obruszyła się.

- Wcale się nie denerwuję, ale rzeczywiście masz coś, co chętnie bym ukąsił. - Popatrzył wymownie na jej wargi.

Ta niespodziewana uwaga na którą z braku słów nie potrafiła odpowiedzieć, tak ją zaskoczyła, że aż zachłysnęła się powietrzem. Chciała odwrócić się do niego plecami, ale przytrzymał ją wzrokiem. Spłoszona, pomyślała sobie, że Coltrain jest jak potężny buldożer, który, jeśli go w porę nie powstrzyma, przetoczy się po niej i ją zniszczy.

- Nie pójdę z tobą na żadną imprezę - oświadczyła stanowczo. - Nie zapominaj, że przez ten rok zmieniłeś moje życie w piekło. Myślisz, że jedno zaproszenie załatwia sprawę? Zresztą to nawet nie jest zaproszenie, tylko polecenie służbowe!

- W rzeczy samej - odparł krótko. - Oboje jesteśmy

pracownikami tego szpitala. Jeśli któreś z nas nie zjawi się na tym bankiecie, zaraz powstaną plotki. A ja nie życzę sobie, żeby mnie obgadywano. Dzięki twojemu nieodpowiedzialnemu ojcu nasłuchiwałem się plotek aż do bólu.

Zdenerwowana sięgnęła po płaszcz.

- Dopiero co powiedziałeś, że nie obwiniasz mnie za jego występki.

- Bo nie obwiniam! - rzucił gniewanie. - Tylko nie potrafię zrozumieć, dlaczego jesteś taka ślepa i głupia.

- Dziękuj ę. W twoich ustach brzmi to jak największy komplement.

Coltrain aż zatrząsł się z wściekłości. Rozjuszony przeszywał ją pałającym wzrokiem. Naraz jej chwiejne ruchy przypomniały mu, że dopiero co była chora.

Gdy po chwili znów się do niej odezwał, jego głos brzmiał dużo łagodniej.

- Na imprezie będzie Ben Maddox, kolega z dawnych lat, który kiedyś u nas pracował, a teraz zajmuje się instalowaniem specjalistycznego oprogramowania oraz tworzeniem sieci komputerowych, które umożliwiają szybki kontakt z największymi placówkami medycznymi na świecie. Wydaje mi się, że nie stać nas na taki zakup, ale obiecałem mu, że porozmawiamy o jego ofercie. Ponieważ jesteś prawdziwym ekspertem od nowinek technicznych - powiedział z lekkim sarkazmem - chciałbym, żebyś była przy tej rozmowie. Ciekaw jestem twojej opinii.

- Mojej opinii? - zdumiała się. - Ależ mnie spotkał zaszczyt! Nigdy dotąd nie interesowało cię, co myślę. Nigdy nie prosiłeś mnie o radę.

- Bo nie musiałem - burknął. - Nie wiem, ale może to i prawda, że medycyna skorzysta na elektronicznej rewolucji - przyznał, robiąc wyzywającą minę. - Często to powtarzasz, więc jeśli chcesz, żebym w to uwierzył, przestań mówić i zacznij działać. Niech mnie pani przekona do swoich racji, pani doktor.

- Nie przyjeżdżaj po mnie - nakazała. - Pojadę swoim samochodem.

Domyślił się, że z jej strony jest to pewnego rodzaju ustępstwo.

- Dlaczego nie chcesz ze mną jechać? Boisz się? - zadrwił.

Nie mogła mu powiedzieć, co budzi jej obawy.

- Lepiej, żeby każde z nas przyjechało do szpitala osobno. Dopiero co powiedziałeś, że nie chcesz dawać powodów do plotek.

Poczuł się rozczarowany, choć nie potrafił powiedzieć, dlaczego.

- Niech ci będzie - zgodził się niechętnie.

Z ulgą skinęła głową. Wreszcie udało jej się wygrać jakąś bitwę. On również przytaknął na znak zgody. Wyglądało to tak, jakby w ten symboliczny sposób zawierali rozejm. Który rzeczywiście był im bardzo potrzebny.

Ben Maddox był wysokim, bardzo przystojnym blondynem. A przy tym szczęśliwym mężem oraz ojcem trójki dzieci. Na imprezę przyniósł ze sobą mnóstwo fotografii, które chętnie pokazywał swoim

dawnym kolegom. Prócz zdjęć miał wiele cennych informacji na temat potężnej sieci komputerowej, z której korzystał jako lekarz. Wprawdzie sprzęt i oprogramowanie kosztowały fortunę, za to pozwalały użytkownikowi na szybki, bezpośredni kontakt z największymi sławami światowej medycyny. Sieć jako narzędzie diagnostyczne oraz środek umożliwiający konsultacje z uznanymi autorytetami była porywającym wynalazkiem. Jedyne problem stanowiła jej astronomiczna cena.

Lou wybrała na ten wieczór czarną koronkową sukienkę na jedwabnym spodzie z niewielkim dekoltem i przejrzystymi rękawami. Uczesała się w kok, z którego wymykały się zalotne pasma włosów. Włożyła eleganckie szpilki, w których jej długie, zgrabne nogi wyglądały bardzo seksownie. Stroju dopełniał skromny sznurek pereł i kolczyki.

Coltrain, który ani na moment nie spuszczał z niej oka, na nowo przeżywał ubiegłoroczne rozczarowanie. Doskonale pamiętał, że tamtego wieczoru Lou miała na sobie odważniejszą kreację, w której wyglądała tak pięknie, że wprawiła go w zachwyt. Chcąc zaspokoić ciekawość i pożądanie, zaciągnął ją wtedy pod zawieszoną pod sufitem olbrzymią jemiołę, ona jednak uciekła od niego z taką miną, jakby był zadzumiony. Od tamtej pory robiła to za każdym razem, gdy próbował się do niej zbliżyć. W efekcie jego wrażliwe męskie ego zostało dotkliwie zranione. Nigdy potem nie znalazł w sobie dość odwagi, by podjąć kolejną próbę. Nie było zresztą ku temu okazji, gdyż narastający konflikt i wzajemna niechęć sprawiły, że Lou

trzymała się od niego z daleka. Fakt, że okazała się córką cynicznego lubieżnika, tylko wzmacniał jego wrogie nastawienie.

Tego wieczoru Lou była szczególnie ożywiona. Długo rozmawiała z Benem o najnowszych programach komputerowych, wykazując się szeroką wiedzą w tej dziedzinie. Wyglądało na to, że komputery nie mają przed nią żadnych tajemnic.

- Hej, Rudy, masz niezwykle mądrą koleżankę - powiedział Ben ze szczerym uznaniem, kiedy Coltrain zdecydował się do nich podejść. - Lou naprawdę zna się na komputerach.

- Wiem, jest naszym ekspertem w dziedzinie zaawansowanych technologii - odparł z uśmiechem. - Ja wolę medycynę tradycyjną, bo wierzę, że nic nie zastąpi ludzkiej ręki. Ale moja partnerka chętnie korzysta z komputerów jako narzędzi diagnostycznych.

- To nasza przyszłość - entuzjasmował się Ben.

- I główna przyczyna niebotycznego wzrostu kosztów leczenia - stwierdził Coltrain, wytaczając swój koronny argument. - Służba zdrowia przerzuca na pacjenta ciężar spłaty horrendalnie wysokich kredytów zaciąganych na kupno nowoczesnych urządzeń. Rosną ceny usług medycznych, zabiegów, hospitalizacji. Społeczeństwo płaci coraz wyższe składki na ubezpieczenie...

- Pesymista - skrzywił się Ben.

- Po prostu realista - sprostował Coltrain, unosząc do góry szklankę w geście ironicznego toastu. Wychylił ją jednym tchem, natychmiast czując działanie alkoholu. Przeprosił ich i ruszył do bufetu po następnego drinka.

- To dziwne... - zaczął Ben, obserwując kolegę manewrującego wśród tańczących par. - Nigdy nie widziałem, żeby Rudy wypił więcej niż jednego drinka.

Podobnie Lou. Dlatego z rosnącym niepokojem obserwowała poczynania swojego partnera.

Ben wręczył jej wizytówkę firmy instalującej sieci, po czym przeszedł do objaśniania technicznych szczegółów. Niby go słuchała, ale co chwila zerkała w stronę Coltraina, dlatego od razu spostrzegła, że podeszła do niego Nickie. Dziewczyna, i tak bardzo atrakcyjną miała na sobie jaskrawoniebieską sukienkę, która bardziej odsłaniała, niż zakrywała jej wdzięki.

Szepnęła coś do Coltraina i roześmiewszy się głośno, zaprowadziła go pod jemiolę. Tam upewniła się, że stoją dokładnie pod potężną gałęzią, budząc tym wesołość otaczających ich kolegów. Coltrain również się roześmiał, a potem chwycił ją w talii i przyciągnął do siebie. Pocałował ją tak namiętnie, że patrząca na to Lou z wrażenia dostała wypieków. Marzyła o tym, żeby kiedyś znaleźć się w jego ramionach, ale wątpiła, by kiedykolwiek miało to nastąpić. Wstrzymując oddech, patrzyła, jak Coltrain coraz mocniej przytula Nickie i, nie przestając jej całować, z wdziękiem obraca ją jak w tańcu, zmuszając, żeby głęboko odgięła się do tyłu.

Lou odwróciła wzrok, rumieniąc się pod wpływem własnych myśli.

- Ach, ten Rudy - roześmiał się Ben. - Zawsze wybiera najładniejsze dziewczyny. Po takim pocałunku plotkarze będą mieli o

czym opowiadać przez okrągły rok. Swoją drogą, trochę dziwi mnie jego zachowanie, bo nie pamiętam, żeby był aż tak śmiały wobec kobiet. Widocznie za dużo wypił.

Lou też się tego obawiała. Nerwowo ścisnęła szklanę pina colady, którą sączyła od początku imprezy.

- Czy system, o którym mówisz, jest niezawodny? - zapytała, siląc się na uśmiech.

- Oczywiście, chociaż może się zdarzyć, że siędzie. Na przykład podczas burzy zawsze trzeba wyłączać wszystkie komputery, bo wystarczy jeden piorun i wszystko się rozsypie.

- Będę o tym pamiętała. O ile zdecydujemy się na zakup.

- Ten system to rzeczywiście spory wydatek. Ale istnieją opcje dostosowane do potrzeb tak małych przychodni jak wasza. Prawdę mówiąc...

Starła się go słuchać, ale podświadomie cały czas rejestrowała, co dzieje się z Coltrainem i Nickie. Wiedziała, że najpierw tańczyli, a potem podchodzili kolejno do wszystkich pracowników, czyniąc honory gospodarzy wieczoru. Dopiero później, kiedy atmosfera się rozluźniła pod jemiolą zapanował spory ruch.

Lou nie miała ochoty tańczyć, podziękowała więc Benowi oraz innym kolegom, którzy próbowali zaprosić ją na parkiet. Uznała, że kilka godzin, które tu spędziła, w zupełności wystarczy, może więc z czystym sumieniem pojechać już do domu. Nie chciała czekać, aż z powodu obojętności Coltraina całkiem straci humor.

- Pójdę już - powiedziała Benowi, odstawiając szklanę z

niedopitym drinkiem. - Niedawno byłam chora i jeszcze nie odzyskałam formy. Miło było cię poznać. - Uśmiechnęła się, gdy wymienili przyjazny uścisk dłoni.

- Mnie również było bardzo miło - odparł. - Ciekawe, dlaczego nie przyszedł Drew Morris. Bardzo chciałem się z nim spotkać.

- Nie mam pojęcia, co się z nim dzieje - przyznała, uświadomiwszy sobie, że nie widziała Morrisa, odkąd wyszła ze szpitala. Jakoś nie zainteresowała się, co porabia jej kolega.

- Zapytajmy Rudego - zaproponował Ben. - Co prawda jest dziś nieuchwytny, ale trudno się dziwić, patrząc na jego śliczną towarzyszkę - mówiąc to, podniósł rękę i dał mu znak, żeby do nich podszedł.

Coltrain zjawił się z Nickie u boku.

- Jeszcze tu jesteś? - zapytał Lou z drwiącym uśmiechem. - Myślałem, że już dawno poszłaś do domu.

- Właśnie wychodzę. Wiesz może, co się dzieje z Morrisem?

- Pojechał na seminarium. Jest na Florydzie. Brenda ci nie przekazała?

- Miała tyle pracy, że pewnie zapomniała.

- Szkodą liczyłem, że go tu spotkam - zmartwił się Ben. - Trudno, takie życie - westchnął.

- Drew pewnie też będzie żałował, że nie mógł się z tobą zobaczyć. - Lou starała się nie patrzeć na Coltraina i Nickie. Widok tej pary sprawiał jej przykrość. - Na mnie już czas...

- Nie tak szybko, pani doktor - powstrzymał ją Coltrain. -

Najpierw musimy pocałować się pod jemiolą - przypomniał, przesywając ją wzrokiem.

- Darujmy sobie ten punkt programu - zarumieniona uśmiechnęła się nerwowo.

- Właśnie że nie - odparł pozornie miłym tonem, lecz jego marsowa mina nie wróżyła nic dobrego. Zdecydowanym ruchem odsunął od siebie Nickie i objawszy Lou, pociągnął ją w stronę gałęzi zwisającej z sufitu na szerokiej, aksamitnej wstędze. - Tym razem mi nie uciekniesz! - szepnął jej do ucha.

Nim zdążyła zebrać myśli, powiedzieć coś czy zaprotestować, przygarnął ją do siebie z całej siły i zaczął całować. Nie zamknął oczu, więc zdawało jej się, że całując ją, czyta w jej duszy. Jedną ręką przytulał ją do siebie, drugą zaś delikatnie gładził jej policzek, muskając kciukiem kącik jej ust.

Pocałunek, choć nieco szorstki, sprawił jej tak wielką przyjemność, że poddała się jego magii i nie próbowała się bronić. Dotąd żaden mężczyzna nie miał prawa podejść do niej tak blisko. A Coltrainowi pozwoliła całować się na oczach rozbawionych pracowników szpitala. I zamiast się wyrywać, jak urzeczona wpatrywała się z zimny blask jego niebieskich oczu.

W pewnej chwili mruknęła coś zduszonym głosem, i wtedy Coltrain się odsunął. Spojrzał na jej nabrzmiałe wargi i pogłaskał je z czułością, której brakowało jego pocałunkowi. Zanim wypuścił ją z objęć, jeszcze raz zajrzał jej głęboko w przestraszone oczy.

- Wesółych świąt, pani doktor - powiedział z ironią, ale głos mu

trochę drżał.

- Nawzajem, doktorze - odparła słabo, uciekając spojrzeniem w bok. Szybko pożegnała się z Benem i Nickie i na miękkich nogach ruszyła do drzwi. Kolana jej drżały, wargi paliły żywym ogniem. Ledwie żywa zabrała z szatni płaszcz i ruszyła do samochodu.

Coltrain patrzył w ślad za nią, doświadczając uczuć, które były dla niego całkiem nowe. Po raz pierwszy w życiu był tak pobudzony, przy tym zdawał sobie sprawę, że wypita wcześniej whiskey osłabia jego samokontrolę.

Zniecierpliwiona Nickie pociągnęła go za rękaw marynarki.

- Mnie tak nie całowałeś - poskarżyła się, robiąc nadąsaną minę.

- Może pójdziemy do mnie i spróbujemy...

- Przepraszam, zaraz wrócę - powiedział, odsuwając ją na bok.

Naburmuszona patrzyła za nim. Nagle uświadomiła sobie, że co najmniej dwie osoby musiały słyszeć jej propozycję. Zaczerwieniła się, czując jednocześnie gorycz porażki. Co innego bowiem, gdyby Coltrain odrzucił jej zaloty, będąc z nią sam na sam. On jednak zrobił to publicznie. Po kolacji w Klubie ani razu do niej nie zadzwonił. Tego zaś wieczoru wprawdzie ją pocałował, ale zupełnie inaczej niż swoją partnerkę. Nickie zmarszczyła brwi. Czuła przez skórę, że coś się święci, i zamierzała dowiedzieć się, co. Niewiele myśląc, poszła za Coltrainem.

Ten zaś nieświadomy, że jest obserwowany, ruszył w ślad za Lou, choć sam nie do końca rozumiał, dlaczego i po co to robi. Nie potrafił zapomnieć o tym, jak ją całował, wciąż czuł smak jej ust. Był

pewien, że z nią dzieje się to samo. Nie pozwoli, żeby odjechała, dopóki on nie dowie się...

Lou zbliżała się do samochodu, gdy usłyszała za sobą kroki. Doskonale wiedziała, kto za nią idzie, gdyż codziennie słyszała je w korytarzu przychodni. Na wszelki wypadek przyspieszyła, ale to na niewiele się zdało. Coltrain dopadł jej w chwili, gdy stanęła obok swojego forda.

Sięgnął przez jej ramię i chwycił za rękę, w której trzymała kluczyki. Zmusił ją, żeby się odwróciła, po czym przyparł ją do bocznych drzwi. Poczowała, jak przenika ją ciepło bijące od jego ciała. Zdezorientowana wpatrywała się w jego mroczną twarz, jednak w ciemności nie zdołała nic z niej wyczytać.

- Jeszcze nie mam dość - mruknął szorstko, szukając jej ust. - Chcę więcej.

Zaczął ją całować, splatając palce z jej palcami. Przyłgął biodrami do jej bioder i poruszył nimi zmysłowo. Jego niecierpliwe usta zmusiły ją, by rozchyliła wargi. Zrobiła to, lecz natychmiast zeszywniała ze strachu.

- Nie umiesz się całować? - zdziwił się. - Nie zaciskaj ust, otwórz je i rób to, co ja. Właśnie tak, kochanie.

Poddała się, bezradna wobec tego, co się z nią dzieje. Kurczowo ścisnęła jego rękę, czując na plecach miły dreszcz. Doświadczenie, pozornie nowe i niewiarygodnie intymne, było w dziwny sposób... znajome! Coltrain coraz mocniej napierał na nią biodrami, czuła więc, jak bardzo jest podniecony. Jego usta stawały się coraz bardziej

natarczywe. W pewnej chwili puścił jej dłoń i palcami zaczął lekko dotykać warg. W jego pieścizocie była czułość, magia i żar, który rozpalał jej ciało. Naraz, w przerwie między pocałunkami chwycił zębami jej wargę i delikatnie ugryzł. Lekki ból otrzeźwił ją na tyle, że pojęła, co się dzieje. Poczwała w ustach nieprzyjemny smak whiskey i to podziałało na nią jak kubeł zimnej wody. W jej głowie zrodziło się podejrzenie, że Coltrain za dużo wypił i w alkoholowym amoku zapomniał, kim ona jest. Czyżby myślał, że całuje się z Nickie? Pewnie tak, pomyślała zszokowana, pojmując jednocześnie, że on i ta dziewczyna są kochankami. Tylko kochanek mógł bowiem zapomnieć się do tego stopnia, by nie bacząc na miejsce i okoliczności, zainicjować takie śmiałe pieścizoty.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Pocałunki Coltraina sprawiały jej przyjemność, lecz bijący od niego zapach alkoholu przywoływał nieznośne wspomnienia innego mężczyzny, który zbyt często zaglądał do kieliszka; wspomnienia, w których nie było pocałunków, a jedynie fizyczny ból i paniczny lęk. Położyła dłonie na jego piersi i z całej siły go odepchnęła.

- Nie... - jęknęła, próbując uwolnić się od jego natarczywych ust.

On jednak zachowywał się tak, jakby wcale jej nie słyszał. Zamiast ją puścić, całował ją jeszcze mocniej, mruczając przy tym gardłowo, żeby się nie opierała.

- Przestań się wyrywać. - Jego gorący szept parzył jej skórę. - Rozchyl usta!

Słyszając, czego od niej się domaga, wpadła w panikę. Szarpnęła się mocniej i w końcu udało jej się odwrócić głowę. Przez chwilę łapała powietrze z takim trudem, jakby przebiegła maraton.

- Jebediah... nie! - szepnęła gorączkowo.

Jej przerażony głos przedarł się przez alkoholowe zamroczenie. Coltrain odzyskał przytomność umysłu. Znieruchomiał z ustami przy jej policzku, lecz nadal nie wypuszczał jej z ramion. Przygniatał ją całym ciężarem swego ciała, które czuła każdą komórką, tak jak czuła szalone bicie jego serca.

Wreszcie dotarło do niego, co robi. I z kim.

- O Boże... - wyszeptał, zaciskając palce na jej ramionach, po chwili jednak zrezygnowany opuścił ręce. Kiedy bardzo powoli odsuwał się od niej, przebiegł go lekki dreszcz. Na wszelki wypadek

oparł się o drzwi samochodu. Oddech wciąż miał nierówny, ale z wolna odzyskiwał panowanie nad sobą. Lou zorientowała się, że już nic jej nie grozi. Dopóki jednak Coltrain był blisko, nie czuła się bezpiecznie.

- Nigdy dotąd nie zwracałaś się do mnie po imieniu - wykrztusił, odsuwając się jeszcze o krok. - Nawet nie sądziłem, że je znasz.

- Jak to? Figuruje na mojej umowie o pracę - odparła rwącym się głosem.

Przestał opierać się o samochód i zaczerpnąwszy głęboko powietrza, wyprostował się.

- Wypiłem dwa duże drinki - usprawiedliwiał się. - Rzadko piję, więc trochę zaszumiało mi w głowie.

Zdaje się, że chciał ją przeprosić. Nie spodziewała się tego po nim. Nie wyglądał na człowieka, który umie przyznać się do błędu. A może źle go oceniła? W końcu do dziś też nigdy by nie pomyślała, że może się upić i rzucić na kobietę. Do tego na nią.

Powoli wracał jej normalny oddech. Gdy nieco ochłonęła, poczuła nieprzyjemne pieczenie podrażnionych ust. Wciąż nie stała pewnie na drżących nogach, więc teraz ona oparła się o samochód. Od razu poczuła nieprzyjemny chłód karoserii, który wcale jej nie przeszkadzał, dopóki całował ją Coltrain. Końcem języka ostrożnie przesunęła po spękanych wargach. Wciąż miała na nich jego smak.

Po chwili kolana przestały jej drżeć, więc odsunęła się od auta. Dopiero teraz, kiedy Coltrain stanął kilka kroków od niej, ogarnęło ją nieprzyjemne skrępowanie. Nadal była roztrzęsiona, zaczęła więc się

martwić, jak w takim stanie dojedzie do domu. Zaniepokojona spojrzała na Coltraina. Skoro z nią jest źle, to jak on sobie poradzi? Było oczywiste, że w tym stanie zupełnie nie nadaje się do prowadzenia samochodu.

- Chyba nie powinieneś siadać za kierownicą - powiedziała ostrożnie.

W nikłym świetle padającym z budynku szpitala dostrzegła jego sardoniczny uśmiech.

- Martwisz się o mnie? - zadrwił.

- Jak o każdego, kto za dużo wypił - odparła, żałując, że w ogóle poruszyła ten temat.

- Nie bój się, nie skompromituję cię. Nickie nie pije, więc mnie odwiezie.

Nickie. A jakże! Nie tylko go odwiezie, ale również zostanie na noc, żeby leczyć go z kaca. Bóg jeden wie, do czego może między nimi dojść. Lou zdawała sobie sprawę, że nie ma prawa się wtrącać. Bo niby dlaczego miałyby je mieć? Coltrain za dużo wypił, zaczął ją całować, a ona się nie broniła. A teraz jest jej głupio i wstyd.

- Pojadę już - powiedziała skrepowana.

- Jedź ostrożnie.

Schyliła się po kluczyki, które sama nie wiedząc kiedy, upuściła na ziemię, i otworzywszy drzwi, wsiadła do środka. Nie od razu udało jej się trafić do stacyjki, w końcu jednak uruchomiła silnik. Coltrain odsunął się na bok. Stał z rękami w kieszeniach, lekko się chwiejąc. Widać było, że jeszcze nie wytrzeźwiał.

Lou zawahała się. Nie była pewną czy może go tak zostawić. Jednak już po chwili okazało się, że jej troska jest zbędną ze szpitala bowiem wyszła Nickie i, rozejrzawszy się na wszystkie strony, zaczęła go wołać. Coltrain odwrócił się w jej stronę i uśmiechnięty pomachał jej ręką. To wystarczyło, by Lou odzyskała zdrowy rozsądek. Skinęła im na pożegnanie i natychmiast ruszyła z miejsca. We wstecznym lusterku widziała, jak trzymając się za ręce, wchodzi do budynku.

Interludium skończone, pomyślała ze smutkiem. Podejrzewała, że Coltrain, idąc u boku Nickie, zachodzi z głowę, jak mógł się tak strasznie pomylić.

Była bliska prawdy. Coltrain rzeczywiście nadal był w szoku. W głowie miał zamęt. Gdyby ktoś mu powiedział, że pocałunek może być tak porywający i podniecający, nigdy by w to nie uwierzył. A jednak Lou Blakely miała w sobie to coś, co sprawia, że uginają się pod nim kolana. Nie potrafił wytłumaczyć swojej gwałtownej reakcji. Nie rozumiał, dlaczego ją całował, choć ona wcale tego nie chciała. Bał się myśleć, co by się stało, gdyby go w porę nie odepchnęła.

Kiedy wszedł z Nickie do jasno oświetlonego holu, dziewczyna skrzywiła się z niesmakiem:

- Wszędzie masz jej szminkę! - Jej oskarżycielski ton pomógł mu otrząsnąć się z posępnych myśli. Spojrzał na nią i pomyślał, że jest bardzo ładna. I nieskomplikowana. Poza tym nie ma wobec niego żadnych oczekiwań, bo od razu uprzedził ją, że nie interesują go stałe

związki. Przypomniał sobie tę rozmowę i poczuł się spokojniejszy. Po chwili, wyraźnie odprężony, uśmiechnął się do niej i powiedział:

- To mi ją wytrzyj.

- Może spróbujesz mojej pomadki? - zapytała kokieteryjnie, ocierając mu twarz jego własną chusteczką.

- Nie dzisiaj - odparł, dając jej lekkiego prztyczka w nos. - Jedźmy już, robi się późno.

- Ja prowadzę - zaznaczyła.

- Tak jest.

Nickie odetchnęła z ulgą. Miała przynajmniej tę satysfakcję, że to ona, a nie Lou Blakely, odwozi go do domu. Nie zamierzała łatwo zrezygnować. Nigdy dotąd nie trafiła jej się lepsza partia. W końcu nie co dzień spotka się bogatego chirurga, który na dodatek jest kawalerem.

Przez całą drogę do domu Lou rozpamiętywała minione zdarzenia. Po gwałtownych pocałunkach Coltraina nadal piekły ją usta. Nie pojmowała, jakim cudem człowiek, który do niedawna na każdym kroku okazywał jej wrogość, stał się nagle tak roznamiętniony, że pobiegł za nią na parking i niemalże zniewolił na masce samochodu. Bynajmniej nie czuła się z tego powodu poszkodowana. Wręcz przeciwnie, ten wieczór był dla niej niezwykle przeżyciem, wiedziała jednak, że nie wolno jej tracić zdrowego rozsądku ani zapominać, że to, co się stało, było jednorazowym incydentem. Do którego w ogóle by nie doszło, gdyby Coltrain był trzeźwy.

W poniedziałek nie będzie o niczym pamiętał, a jeśli nawet, będzie zachowywał się tak, jakby nic między nimi nie zaszło. Chciałaby mieć równie krótką pamięć! Niestety, po tym, co się stało, czuła się jeszcze bardziej w nim zakochaną on zaś nadal był dla niej nieosiągalny. Domyślała się, że będzie jej unikał, nie chcąc, by niczym natrętny wyrzut sumienia przypominała mu o tym, że się upił i kompletnie stracił głowę.

Następny dzień upłynął jej na zwykłych domowych czynnościach. Jedyne różnice polegała na tym, że przyjęła o wiele więcej telefonicznych zgłoszeń od pacjentów. Okazało się bowiem, że doktor Coltrain zostawił na szpitalnej automatycznej sekretarce wiadomość, iż do poniedziałku jest nieobecny, więc w sprawach pilnych należy kontaktować się z doktor Blakely. Jak miło, że mnie o tym uprzedził, pomyślała z przekąsem, zaraz jednak przyszło jej do głowy, że pewnie po tym, co się stało, nie miał ochoty z nią rozmawiać. Jeśli bowiem pamiętał o całym zdarzeniu, musiał czuć się nie mniej zawstydzony niż ona. Nic dziwnego, że chciał jak najszybciej zapomnieć o całej sprawie.

Podczas obchodu, gdy odwiedziła zarówno swoich, jak i jego pacjentów, zorientowała się, że wzbudza spore zainteresowanie wśród personelu. Domyślała się, że ludzie wciąż rozpamiętują ich namiętny pocałunek pod jemiolą i podejrzewają, że coś ich łączy.

- Jak leci? - zagadnął ją Drew w niedzielne popołudnie. - Podobno wiele straciłem, nie widząc waszego filmowego pocałunku na imprezie gwiazdkowej - dodał z szelmowskim uśmiechem.

Lou zaczerwieniła się po same uszy.

- Całowało się mnóstwo par - burknęła.

- Ale ponoć żadna tak namiętnie jak wy. Podobno Coltrain poszedł za tobą na parking i zaczął się do ciebie dobierać - zachichotał.

- Kto ci... ?

- Nickie - oznajmił, potwierdzając jej najgorsze obawy. - Podkochuje się w Coltrainie, więc go szpiegowała i widziała wszystko. Teraz gada o tym na prawo i lewo, chcąc w ten sposób zniechęcić go do ciebie. Wie, że ludzie będą o was mówić, zwłaszcza że do tej pory nie okazywaliście sobie za wiele sympatii.

- Boże, kiedy Coltrain wróci, zorientuje się, że jest na ustach całego szpitala - zmartwiła się. - Co mam robić?

- Obawiam się, że nic. Co się stało, już się nie odstanie.

- To twoja opinia - stwierdziła mrużąc groźnie oczy, po czym obróciła się na pięcie i poszła szukać Nickie. Znalazła ją w jednej z sal i spokojnie zaczekała, aż dziewczyną wyraźnie podenerwowana jej obecnością, skończy swoje zajęcia. Potem wywołała ją na korytarz i spojrzawszy twardo w oczy, powiedziała surowo:

- Doszły mnie słuchy, że rozpuszczasz plotki o mnie i doktorze Coltrainie. Dobrze ci radzę, uspokój się, póki nie jest za późno.

Nickie mieniła się na twarzy.

- Pani doktor, naprawdę... ja... Ja tylko żartowałam!

Lou obrzuciła ją chłodnym spojrzeniem.

- Mnie te żarty jakoś nie śmieszą. Jestem pewna, że kiedy doktor

Coltrain o wszystkim się dowie, też nie będzie zachwycony. Zadbam o to, żeby dotarło do niego, skąd się wzięły te, jak mówisz, żarty.

- Niech pani tego nie robi! - zawołała Nickie. - Bardzo mi na nim zależy.

- Wątpię - mruknęła Lou. - Gdyby ci na nim naprawdę zależało, oszczędziłabyś mu takich przykrości.

Dziewczyna splotła dłonie w błaganym geście.

- Przepraszam. - Westchnęła głośno. - To wszystko z zazdrości - wyznała nie patrząc jej w oczy. - Wczoraj, kiedy go odwiozłam, nawet mnie nie pocałował na dobranoc. A panią całował, chociaż wszyscy wiedzą, że się nie lubicie.

- Nie zapominaj, że był pod wpływem alkoholu - powiedziała cicho. - Poza tym nikt przy zdrowych zmysłach nie traktuje poważnie pocałunków pod jemiolą.

- Wiem - potaknęła Nickie, nie wyglądała jednak na przekonaną. - Jeszcze raz panią przepraszam. I proszę, żeby pani nie mówiła o niczym doktorowi, dobrze? - dodała z niepokojem. - Jeśli się dowie, że to ja, na pewno mnie znienawidzi. A mnie naprawdę na nim zależy!

- Nic mu nie powiem - obiecała. - Ale przestań mleć ozorem.

- Oczywiście, pani doktor! - Dziewczyna się rozpromieniła. Kiedy po chwili ruszyła korytarzem, znowu była istotą młodą i optymistyczną. Lou poczuła się jak staruszka.

W poniedziałek rano stanęła twarzą w twarz ze swoim rozwścieczonym partnerem, gdy ten pojawił się w drzwiach gabinetu

z groźną miną i pałającym wzrokiem.

- Co znowu źle zrobiłam? - zapytała, nim zdążył otworzyć usta. Cisnęła torbę na biurko, dając tym samym znak, że jest gotowa do kolejnej bitwy.

- Nie udawaj, że nie wiesz.

Lou skrzyżowała ręce na piersiach i oparła się o krawędź biurka.

- Chodzi o plotki, od których trzęsie się cały szpital, tak?

Zaskoczony uniósł brew, lecz jego oczy nadal ciskały błyskawice.

- Ty je rozpuszczasz?

- Oczywiście, że ja! - zawołała z furją. - Wprost wychodzę z siebie, żeby jak najszybciej opowiedzieć całemu personelowi, jak to rzuciłeś mnie na maskę samochodu i zacząłeś się do mnie dobierać!

Brenda, która właśnie wchodziła do gabinetu, stanęła w drzwiach jak wryta. Ujrzawszy ich gniewne spojrzenia, odwróciła się i czym prędzej zniknęła im z oczu.

- Mogłabyś nie podnosić głosu? - zdenerwował się.

- Mogłabym. A ty mógłbyś darować sobie te idiotyczne oskarżenia!

- Byłem pijany! - Teraz to on mówił o wiele za głośno.

- Właśnie! Najlepiej idź i powiedz to ludziom, którzy siedzą w poczekalni. Zobaczymy, który z naszych pacjentów najszybciej dobiegnie do samochodu - złościła się.

Z furją zamknął drzwi gabinetu, po czym całym ciężarem o nie się oparł.

- Od kogo wyszły te rewelacje? - zapytał.

- I właśnie o to chodzi - ironizowała. - Najpierw pytaj, potem wskazuj winnych. Mogę powiedzieć ci tylko tyle, że wbrew twoim przypuszczeniom plotki nie wyszły ode mnie. Nie zależy mi na roli bohaterki szpitalnych sensacji.

- A może jednak to zrobiłaś? Na przykład po to, żeby zmusić mnie do jakiejś reakcji? - zapytał podchwytliwie. - Może liczyłaś, że po czymś takim nie pozostanie mi nic innego, jak ogłosić nasze zaręczyny.

Oczy zrobiły się jej jak spodki.

- Co ty bredzisz?! Uspokój się, dopiero co jadłam śniadanie!

Nerwowo zacisnął zęby.

- Przepraszam... ? - wycedził.

- Słusznie, bo jest za co - podchwyciła. - Miałabym wyjść za ciebie za mąż? Chyba wolałabym skoczyć do rzeki pełnej aligatorów!

Zaniemówił. Szukał w myślach ciętej riposty, ale przychodziły mu do głowy same idiotyczne pomysły. Uratował go dzwonek intercomu. Lou pochyliła się nad biurkiem i nacisnęła guzik.

- Słucham?

- Co z pacjentami? Zaczynają się niecierpliwić. - Brenda nie kryła zaniepokojenia.

- To on jest niecierpliwy! - zawołała Lou bez zastanowienia.

- Co takiego?

- Przepraszam, o czym mówiłaś, Brendo?

- O pacjentach!

- A, tak, oczywiście. Poproś pierwszą osobę. Doktor Coltrain już wychodzi.

- Wcale nie - zaprotestował, kiedy przerwała połączenie. - Wrócimy do tej rozmowy po pracy.

- Po pracy? - zdziwiła się.

- Owszem. Tylko nie licz na powtórkę piątkowego wieczoru - zakpił. - Dzisiaj jestem trzeźwy.

Posłała mu mordercze spojrzenie, a potem mocno zacisnęła wargi. On jednak tego nie widział, bo już był za drzwiami.

Kiedy dużo później Lou wspomniała ten dzień, nie mogła się nadziwić, jakim cudem przyjęła wszystkich pacjentów, nie okazując im wzburzenia. Była wściekła na Coltraina za bezsensowne oskarżenia i niezadowolona, że Brenda stała się mimowolnym świadkiem ich kłótni. Teraz już nie tylko przychodnia, ale dosłownie cały szpital będzie huczał od plotek o ich domniemanym romansie. Którego nie ma! Owszem, Lou jest w nim beznadziejnie zakochana, ale nie ślepa. Widziała wyraźnie, że Coltrain nie odwzajemnia jej uczucia. Niewykluczone, że pociąga go fizycznie, lecz jeśli on żywi wobec niej jakiegokolwiek uczucie, to tylko i wyłącznie nienawiść. I nic tego nie zmieni. Nawet najbardziej namiętny pocałunek.

Jej ostatnim pacjentem był pan Bailey. Lou najpierw dokładnie wsłuchiwała się w mocne, równe bicie jego serc, a potem osłuchiwała płuca, by na koniec stwierdzić, że po zapaleniu nie ma ani śladu. Gdy Brenda pomagała starszemu panu włożyć koszulę, ten

niespodziewanie zapytał:

- Czy to prawdą co mówią o pani doktor i doktorze Coltrainie? Podobno całowaliście się pod jemiolą aż iskry leciały. Powiedz no, kochaneczko, usłyszemy niedługo weselne dzwony?

Kiedy parę minut później pacjent już miał wychodzić z gabinetu, zwierzył się Brendzie, że zupełnie nie rozumie, dlaczego pani doktor tak głośno krzyczała. Pielęgniarka pospiesznie wyjaśniła, że Lou pewnie zobaczyła mysz.

Coltrain odczekał, aż cały personel rozejdzie się do domu, po czym ustawił się przy wyjściu. Wcześniej pozałatwiał wszystkie sprawy, tak by nie musiał opuszczać tego posterunku. Podejrzewał, że Lou zechce mu się wymknąć.

Ona jednak nie miała zamiaru stosować żadnych uników. Wychodząc z gabinetu, od razu go dostrzegła, gdy w eleganckim granatowym garniturze przechadzał się niedbale w pobliżu drzwi. Wpadające przez szybki promienie słońca wplątały się w jego włosy, podkreślając ich płomienny kolor, który ciekawie kontrastował z chłodnym błękitem oczu. On też od razu ją zauważył i nie kryjąc zainteresowania, omiótł aprobującym spojrzeniem jej prosty szary kostium i zgrabne długie nogi.

- Ładnie ci w tym kolorze - zauważył.

- Nie musisz prawić mi komplementów. Mów, co masz mi do powiedzenia, i jedźmy każde w swoją stronę.

- W porządku. - Zerknął łakomie na jej pełne usta. - Kto rozpuścił te plotki?

- Obiecałam, że nie powiem - mruknęła, bawiąc się suwakiem torby.

- Nickie! - domyślił się od razu. Widząc jej zaskoczenie, tylko pokiwał głową.

- Daruj jej - poprosiła. - Jest młoda i bardzo tobą zauroczona.

- Nie taka znowu młoda. - Skrzywił się wymownie.

Nie zdążyła ukryć gniewnego błysku w oczach. Spuściła wzrok i zaczęła przetrząsać zawartość torby w poszukiwaniu kluczyków.

- Nie przejmuj się - rzuciła niedbale - żywot plotki jest krótki. Jeszcze dzień, dwa i ludzie wezmą na języki kogoś innego.

- Wątpię. Od czasu niespodziewanych zaręczyn Teda Regana i Coreen Tarleton nie wydarzyło się nic równie pikantnego.

- Daj spokój, to zupełnie inna historia - powiedziała z przekonaniem. - Oni się kochali, a my... Przecież wszyscy wiedzą, co do siebie czujemy.

- A co czujemy, Lou? - zapytał cicho, obserwując, jak zmienia się wyraz jej twarzy.

- Wrogość - odparła bez zastanowienia.

- Tak sądzisz? - Nie powiedział nic więcej i tylko patrzył na nią wyczekująco. Ciszą która zapadła, była trudna do zniesienia. - Chodź, Lou.

Poczuła, jak jej serce przyspiesza. W pierwszej chwili pomyślała, że Coltrain daje jej do zrozumienia, iż rozmowa jest skończona i może już sobie pójść. Wystarczyło jednak, że spojrzała mu w twarz, i natychmiast pojęła, że ma zgoła odmienne intencje. W

jego oczach, wyjątkowo jasnych i błyszczących, czaiła się kusząca obietnica.

- Chodź, tchórze. - Wyciągnął do niej rękę. - Nic ci nie zrobię.

- Jesteś trzeźwy - przypomniała mu.

- Jak świnia - zgodził się. - Zobaczmy więc, jak to jest, kiedy wiem, co robię.

Miała wrażenie, że na ułamek sekundy jej serce stanęło. Potem znów zabiło, a po chwili waliło jak oszalałe. Zawahała się. On to spostrzegł i natychmiast wykorzystał. Śmiejąc się cicho, ruszył w jej stronę. Ona zaś, odczytując mowę jego ciała, domyśliła się, co się za moment stanie.

- Nie rób tego! - zawołała, wyciągając dłoń w obronnym geście.

Coltrain niewiele sobie z tego robił. W okamgnieniu chwycił ją za rękę i, przyciągnąwszy do siebie, zamknął w mocnym uścisku.

- Nie mogę, ale muszę - mruknął. - Muszę wiedzieć! - dodał z ustami przy jej ustach.

Nie zdążyła już zapytać, co go tak interesuje. Ledwie bowiem musnął wargami jej usta, kompletnie straciła głowę. Tym razem nawet nie próbowała się wyrywać. Wręcz przeciwnie, Ignęła do niego całym spragnionym miłości ciałem.

Po chwili trochę oprzytomniała i próbowała coś powiedzieć, on jednak jej na to nie pozwolił. Nie przerywając pocałunku, uniósł ją lekko i przytulił do siebie tak mocno, że przywarła do niego całym ciałem. Dopiero wtedy naprawdę się przestraszyła. Nieprzyzwyczajona do takiej bliskości z mężczyzną, zaczęła się

szarpać.

Coltrain od razu przypomniał sobie, że Lou była równie przerażona, gdy całował ją po bożonarodzeniowej imprezie. Odchylił nieco głowę i zagładając jej w oczy, zażartował:

- Chyba nie jesteś dziewicą?!

Pomyślała, że w jego ustach brzmi to jak zarzut.

- No, dalej, drwij ze mnie! - Zawstydzona odwróciła głowę, by na niego nie patrzeć.

- Jezu! - Zwolnił uścisk, dzięki czemu nie musiała już wspinać się na palce, nadal jednak trzymał ją za ramiona. - Kobieto, ile ty masz lat? Trzydzieści?

- Dwadzieścia osiem - sprostowała, wyraźnie skrępowana. - Nie patrz na mnie tak, jakbyś zobaczył ducha. - Skrzywiła się, nerwowo poprawiając potargane włosy. - Kto jak kto, ale ty powinienesz wiedzieć, że na tym świecie żyją jeszcze ludzie, którzy kierują się pewnymi zasadami. Jesteś lekarzem, więc takie pojęcia jak moralność czy etyka nie powinny być ci obce...

- Myślałem, że dziewice są tylko w bajkach - przyznał. - A niech to jasna cholera!

- Czemu pan tak się denerwuje, doktorze? - zakpiła. - Czyżby miał pan nadzieję, że zapewnię panu rozrywkę między kolejnymi pacjentami?

Coltrain ściągnął wargi. Zniecierpliwiony wsunął ręce w kieszenie spodni. Drażniła go gwałtowna reakcja własnego ciała, którą boleśnie odczuwał. Bez słowa podszedł do drzwi i otworzył je jednym

silnym szarpnięciem. Przez cały weekend wyobrażał sobie, jak po pracy zaprasza Lou do siebie, a potem kocha się z nią na ogromnym łożu. Tłumaczył sobie, że musi ją uwieść, bo przecież ona i tak niebawem odejdzie, a on zwariuje, jeśli nie zaspokoi tego pożądanego. Wszystko wydawało się takie proste. Lou go pragnie i on dobrze o tym wie. Ludzie i tak już o nich gadają. W dodatku od pierwszego stycznia jej tu już nie będzie.

Aż tu nagle pojawiły się problemy, których w ogóle nie brał pod uwagę. Lou dobiegała trzydziestki, a mimo to podczas zbliżenia zachowywała się jak płochliwa nastolatka. Nie trzeba było psychologa, by zorientować się, że coś jest z nią nie tak. Kiedy sprowokował ją aluzją na temat jej dziewictwa, potraktowała jego słowa poważnie i wyznała mu prawdę, której wcale nie chciał usłyszeć. Z rozbijającą szczerością przyznała się, że wciąż jest niewinna. I co on ma zrobić w tej sytuacji? Przecież nie może jej uwieść. Z drugiej strony, co ma zrobić z tym bardzo niewygodnym, a zarazem bardzo widocznym pożądaniem?

Lou obserwowała go ukradkiem, złościąc się, że nie miała dość sił, by nad sobą zapanować. Byłoby lepiej, gdyby Coltrain nie wiedział, jak na nią działa.

- Gdyby na twoim miejscu był inny mężczyzną zareagowałabym tak samo - oznajmiła purpurowa jak piwonia. - Inny doświadczony facet.

- W porządku - powiedział łagodnie. Domyślał się, że Lou szarżuje, by ukryć zażenowanie. - Oboje jesteśmy tylko ludźmi. Nie

warto robić sobie wyrzutów z powodu jednego pocałunku.

Zaczerwieniła się jeszcze mocniej.

- Tylko sobie nie myśl, że zmieniałam decyzję. Odchodzę po Nowym Roku - przypomniała mu.

- Wiem.

- I nie dam się uwieść!

- Nawet nie będę próbował - obiecał. - Nie sypiam z dziewczycami.

Zagryzła wargi i skrzywiła się, czując na nich smak jego pocałunków.

- Dlaczego? - zapytał półgłosem. Rzuciła mu niechętne spojrzenie.

- Dlaczego? - powtórzył cierpliwie.

- Dlatego, że nie chcę skończyć jak moja matka! - Nie mogła znieść jego badawczego spojrzenia.

Nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

- Nie chcesz skończyć jak twoja matka? Nie rozumiem...

Nerwowo potrząsnęła głową.

- Nie musisz. To moje prywatne sprawy. Będziemy współnikami tylko do końca miesiąca. Potem przestanie cię obchodzić, co wydarzyło się w moim życiu.

Znieruchomiał. Lou sprawiała wrażenie osoby skrzywdzonej, głęboko czymś dotkniętej.

- Może powinnaś pomyśleć o terapii - zasugerował delikatnie.

- Nie potrzebuję żadnej terapii!

- Powiedz mi, jak doszło do złamania nadgarstka. - Ton jego

głosu stał się nagle bardzo rzeczowy, lecz Lou natychmiast się spięła.

- Laik niczego by nie zauważył, bo ręka ładnie się zrosła. Ale ja jestem chirurgiem, więc z łatwością rozpoznam każde złamanie. Poza tym widzę ślady po szwach, choć ten, kto je zakładał, wykonał doskonałą robotę. Jak to się stało?

Zrobiło jej się słabo. Nie miała ochoty o tym rozmawiać. Zwłaszcza z nim. Gdyby dowiedział się, jak było naprawdę, jeszcze bardziej znienawidziłby jej ojca. Choć Bogiem a prawdą sama nie wiedziała, dlaczego miałyby chronić tego człowieka.

Zacisnęła palce wokół blizny, tak jakby próbowała ją ukryć.

- To stary uraz - powiedziała wymijająco.

- Jaki uraz? Jak do niego doszło?

Roześmiała się z przymusem.

- Nie jestem twoją pacjentką.

Obserwował ją, przesypując w kieszeni drobne monety. Kolejny raz dochodził do wniosku, że w ogóle jej nie zna. Przez rok wspólnej praktyki byli tak pochłonięci wojną podjazdową, że ani razu nie rozmawiali o sprawach prywatnych. Poza szpitalem z trudem tolerowali swoją obecność, a jeśli już gdzieś się spotkali, poruszali wyłącznie tematy zawodowe. W efekcie dopiero teraz zaczynał dostrzegać w niej człowieka. Obraz, który się wyłaniał z fragmentów różnych informacji, nie był zbyt budujący. Miał przed sobą kobietę skrzywdzoną; kobietę, która straciła zaufanie do ludzi, więc odgrodziła się od nich grubym murem i uparcie trwała w tym zamknięciu jak więzień w ciasnej celi. Intrygowało go, czy

kiedykolwiek próbowała się uwolnić. Jednocześnie zastanawiał się, dlaczego tak bardzo go to interesuje.

- Czy z Morrisem potrafisz o tym rozmawiać? - zapytał niespodziewanie.

Zawahała się, jednak po chwili pokręciła głową. Na wszelki wypadek jeszcze ciaśniej opłótła palce wokół miejsca pęknięcia.

- Zostawmy ten temat. Naprawdę nie ma o czym mówić - powiedziała cicho.

Wyjął rękę z kieszeni i ostrożnie dotknął jej uszkodzonego nadgarstka. Był pewien, że Lou natychmiast się wyrwie, mimo to zaryzykował. Przysunął się bliżej, położył jej dłoń na swojej piersi i nakrył swoją dłonią.

- Mnie możesz wszystko powiedzieć - zapewnił z powagą. - Potrafię dochować tajemnicy. Każde słowo, które tu padnie, zostanie wyłącznie między nami. Jeśli kiedyś poczujesz, że chciałabyś o tym opowiedzieć, chętnie posłucham.

Jeszcze nigdy na to się nie zdobyła. Jej matka o wszystkim wiedziała, ale uparcie broniła męża. Co więcej, wołała wierzyć, że Lou wysłała tę historię z palca że to nigdy nie miało miejsca. Nie było słabości, której nie wybaczyłaby mężowi. Cierpliwie znosiła jego zdrady, pijaństwo, uzależnienie od narkotyków, narastającą brutalność, trudny do zniesienia sarkazm. Robiła to w imię miłości, uparcie ignorując fakt, że jej małżeństwo praktycznie nie istnieje, a córka coraz bardziej oddala się i zamyka w sobie. Jedną z jej przyjaciółek nazwała tę przypadłość „obsesyjną miłością”, ślepią,

głupią miłością, która nie dopuszcza do swojej ofiary myśli, że ukochana osoba może mieć jakieś wady.

- Moja matka była emocjonalnie ułomna. - Lou głośno myślała. - Kochała go tak obłąkańczą miłością, że nie pozwalała powiedzieć o nim złego słowa. Dla niej był chodzącym ideałem... - Zrobiła pauzę, przypomniała sobie bowiem, gdzie jest. Gdy po chwili podniosła głowę, w jej oczach wciąż był ból.

- Kto ci złamał rękę? - Coltrain nie dawał za wygraną.

- Pił, a ja chciałam mu wyrwać butelkę, bo uderzył matkę - wspominała na głos - ale on mnie tą butelką uderzył w rękę. I nadgarstek pękł. - Skrzywiła się, od nowa przeżywając tamten ból. - Potem, kiedy mnie operowali, opowiadał lekarzom, że wpadłam na oszklone drzwi, bo się potknęłam. Wszyscy mu uwierzyli, nawet matka. Mówiłam jej, jak było naprawdę, ale uznała, że kłamię.

- On? Kto to był? Kto ci to zrobił?

Spojrzała na niego nieufnie.

- Jak to kto... ? Mój ojciec.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Coltrain nie był zaskoczony tą wiadomością. Zbyt dobrze znał ojca Lou, by dziwić się takim rewelacjom.

- To dlatego w piątek wieczorem nie mogłaś znieść zapachu whiskey - domyślił się.

Potaknęła, nie patrząc mu w oczy.

- Pod koniec życia ojciec był już zwykłym pijakiem. Na dodatek uzależnionym od narkotyków. Musiał zrezygnować z wykonywania zawodu, bo raz o mały włos nie zabił pacjenta. Dyrekcja szpitala zatuszowała sprawę. Kazali mu przejść na emeryturę, ale mianowali go konsultantem, bo był naprawdę świetnym chirurgiem. Sam zresztą o tym wiesz - stwierdziła. - Ojcem był tragicznym, ale fachowcem doskonałym. Chciałam pójść w jego ślady, zostać chirurgiem. Być taka jak on. - Wzdrygnęła się. - Kiedy zdarzył się ten wypadek z ręką, byłam na pierwszym roku studiów. Straciłam semestr. Potem okazało się, że po tej kontuzji nigdy nie odzyskam pełnej sprawności. Kiedy pojęłam, że nigdy nie będę mogła operować, zdecydowałam, że zostanę internistą.

- Wielka szkoda. - Ze zrozumieniem pokiwał głową. Dobrze wiedział, jak to jest, kiedy człowiek pali się do tego zawodu. Kochał swoją pracę i nie wyobrażał sobie, że mógłby robić coś innego.

Lou uśmiechnęła się smutno.

- Mimo to zostałam lekarzem - stwierdziła - więc nie jest źle. Praktyka lekarza rodzinnego daje mi sporo satysfakcji. Wiele się nauczyłam podczas tego roku w Jacobsville. Cieszę się, że mogłam tu

pracować.

- Ja też się cieszę - przyznał, a widząc jej zdumienie, zapytał: - Jesteś zaskoczona? Nieraz pewnie słyszałaś, co o mnie mówią. Od lat mam opinię czarnej owcy. Prawdę mówiąc, gdyby nie stypendium, o które wystarał się dla mnie jeden z nauczycieli, wcześniej czy później skończyłbym w więzieniu. Miałem trudne dzieciństwo, jako nastolatek buntowałem się przeciw wszelkim autorytetom. Miewałem kłopoty z prawem.

- Ty? - zdumiała się.

Skinął głową.

- Pozory mylą, prawda? Dziś wiem, że byłem wyjątkowo niedobrym dzieckiem. Na szczęście zainteresowałem się medycyną. Zdaje się, że po prostu miałem do tego talent. Spotkałem na swojej drodze ludzi, którzy we mnie uwierzyli i postanowili mi pomóc. Dzięki temu jako pierwszy i jedyny w naszej rodzinie wyrwałem się z biedy. Wiedziałaś o tym?

Zaprzeczyła.

- Niewiele o tobie wiem. Nie znam twojej sytuacji rodzinnej. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy wypytywać ludzi o twoje prywatne sprawy.

- Domyślam się. Widzę, jak bardzo jesteś skryta. Wolisz nie pokazywać, co czujesz. Jeśli trzeba, będziesz twardo walczyła o swoje, ale nikomu nie pozwolisz podejść do siebie zbyt blisko. Zgadłem?

- Nadmierna ufność może zostać wykorzystana przeciwko nam.

- Domyślam się, że to ojciec dał ci taką życiową lekcję.

Skrzyżowała ręce na piersiach.

- Chcę już wracać do domu - powiedziała.

- Zapraszam cię do siebie - oznajmił, a widząc jej niepewną minę, skrzywił się i powiedział: - O co ty mnie podejrzewasz?! Wstydziałabyś się myśleć o takich rzeczach. Przecież już powiedziałem, że cię nie uwiodę. Od dziś jesteś na liście gatunków objętych ochroną. No, nie daj się prosić. Obiecuję, że zrobię coś dobrego do jedzenia. Co powiesz na chili i placki kukurydziane? Na deser proponuję mocną kawę i świąteczny koncert w telewizji. Lubisz operę?

- Uwielbiam! - Rozpromieniła się.

- Pavarotti? - zapytał z nadzieją.

- I Placido Domingo! - dodała entuzjastycznie, zaraz jednak spoważniała. - Znowu będą plotki...

- Co z tego, skoro i tak już są. Nie warto się tym przejmować. Jesteśmy dorośli, nie mamy żadnych zobowiązań. Nikogo nie powinno obchodzić, jak spędzamy wolny czas.

- I tu się mylisz. Mieszkańcy Jacobsville traktują nas jak własność publiczną. Nie słyszałeś, co mówił pan Bailey?

- Słyszałem tylko, jak wrzeszczałaś.

- Przesadziłam - mruknęła niechętnie. Chwycił ją za rękę, tę zdrową, i pociągnął w stronę wyjścia.

- Doktorze Coltrain! - oburzyła się.

- Wiesz, jak mam na imię.

- Wiem.

- Dla przyjaciół jestem „Rudym” - powiedział miękko.

- Nie jesteśmy przyjaciółmi.

- Ale będziemy. Co prawda o cały rok za późno, ale lepsze to niż nic - mówił, prowadząc ją w stronę swojego samochodu.

- Pojadę za tobą - broniła się.

- Daj spokój, moje auto jest dużo wygodniejsze. Wieczorem odwiozę cię do domu, a rano po ciebie przyjadę i podrzucę do przychodni. Zamknęłaś samochód?

- Tak, ale...

- Lou, nie kłóć się ze mną. Jestem zmęczony. Oboje mamy za sobą długi dzień, a jeszcze czeka nas obchód w szpitalu.

My. Po raz pierwszy użył liczby mnogiej, nie mając nawet pojęcia jak wielki sprawia jej ból, robiąc to akurat wtedy, gdy zostało im mniej niż dwa tygodnie wspólnej pracy. Co prawda twierdził, że podarł jej wymówienie, ale rozsądek podpowiadał jej, że i tak musi odejść. Coltrain zaproponował jej, by zostali przyjaciółmi. Tylko że dla niej ta przyjaźń byłaby torturą. Nie zniosłaby codziennych spotkań z nim, wiedząc, że nie może liczyć na nic więcej. Jak na złość nawet nie mogła wdać się z nim w romans. Co więc jej pozostało?

Spojrzał na nią z ukosa i widząc jej pochmurną minę, powiedział:

- Nie martw się. Przecież obiecałem, że cię nie uwiodę.

- Pamiętam.

- Chyba że mnie o to poprosisz - zażartował, po czym w

przyplýwie dobrego humoru dodał konspiracyjnym szeptem: - Jestem lekarzem. Wiem, jak uniknąć niechcianej ciąży.

- Spadaj! - Z wściekłością wyrwała rękę z jego dłoni. Rozbawiła go tą wojowniczą postawą.

- Nieładnie, pani doktor! Co za maniery - rzucił kpiąc. - Lubię, kiedy puszczają ci nerwy. Czy twoja rodzina nie pochodzi przypadkiem z Irlandii?

- Dziadek był Irlandczykiem - burknęła, odgarniając niesforne pasma włosów. - Nie życzę sobie takich żartów!

- W porządku. Już więcej nie będę - obiecał, otwierając przed nią drzwi samochodu.

Usiadła w miękkim fotelu, rozkoszując się luksusowym zapachem skórzanej tapicerki. Coltrain uruchomił silnik i spokojnie ruszył z miejsca. Zapadał zmrok, gdy w ciszy jechali przez senną wiejską okolicę, mijając farmy, które na tle granatowego nieba wyglądały jak dekoracje wycięte z czarnego kartonu.

- Nic nie mówisz - zauważył, zajeżdżając przed dom w stylu hiszpańskim.

- Dobrze mi - odparła bez zastanowienia.

Teraz on przycichł. Pomógł jej wysiąść, a potem ramię w ramię ruszyli w stronę dużego frontowego ganku, na którym stała wygodna huśtawka.

- Wyobrażam sobie, że wiosną jest tu jak w raju. Nic tylko siedzieć i cały się dzień się huścić. - Westchnęła.

- Nigdy bym nie sądził, że lubisz takie wiejskie przyjemności -

powiedział zaskoczony.

- Bardzo lubię. Tak samo jak spacery po lesie, konne przejażdżki, grę w bejsbol. Dziwisz się? Austin nie jest betonową dżunglą. Sporo moich znajomych ma domy za miastem. Właśnie tam nauczyłam się jeździć konno i strzelać.

Uśmiechnął się do siebie. Miał ją za typową dziewczynę z miasta. Swoją drogą nie przyglądał jej się zbyt dokładnie ani nie zastanawiał, co lubi, a czego nie. Doszedł do wniosku, że nie warto. Wykapana córeczka tatusia, tak o niej myślał. Tymczasem okazało się, że Lou w niczym nie przypomina Fieldinga Blakely'ego. Jest zupełnie inna. Po prostu wyjątkowa.

Otworzył drzwi i puścił ją przodem. Od razu spostrzegła dużą kolekcję hiszpańskiej ceramiki zgromadzoną we wnętrzu, w którym dominowały spokojne beże i brązy, stanowiące doskonałe tło dla ciemnych mebli. Harmonijnie dobrane kolory i przedmioty zdradzały rękę zawodowego dekoratora, który prawdopodobnie pomagał w urządzaniu domu.

- Tam, gdzie się wychowałem, siadaliśmy na skrzynkach po pomarańczach i jedliśmy na wyszczerbionych talerzach - powiedział, w zamyśleniu dotykając statuetki z brązu przedstawiającej jeźdźca na rozpędzonym koniu. - Tutaj czuję się dużo lepiej.

- Domyślam się - rzekła z uśmiechem. - Ale skrzynki po pomarańczach i wyszczerbione kubki też mogą mieć swój urok, zwłaszcza kiedy spędza się czas w miłym gronie. Nie znoszę wielkich przyjęć, na których serwują wymyślne dania i trzeba przestrzegać

zasad etykiety.

Coltrain poczuł się zbity z tropu. To niemożliwe, żeby byli aż tak do siebie podobni!

- Lubisz zaskakiwać, co? - powiedział, marszcząc brwi. - A może zajrzałaś do moich akt personalnych i teraz opowiadasz mi to, co chcę usłyszeć? - zapytał podejrzliwym tonem.

Spojrzała na niego z autentycznym zdumieniem. Tak wielkim, iż ani przez moment nie myślała, że może być udawane.

- Wiedziałam, że popełniam błąd - stwierdziła głucho. - Chcę wracać do siebie...

Delikatnie wziął ją za rękę.

- Lou, zaczekaj. Nie ufam kobietom, więc na wszelki wypadek przyjmuję postawę obronną. Zrozum, nigdy nie wiem...

- Rozumiem - odparła szybko. - Nie musisz mi tego tłumaczyć.

- A na dodatek umiesz czytać w moich myślach.

Odsunęła się od niego. Chyba faktycznie potrafi to robić, bo często odgadywała, co powie.

On również zdawał sobie z tego sprawę.

- Kiedyś byłem wściekły, gdy podawałaś mi kartę pacjenta, zanim zdążyłem o nią poprosić.

- Nie robię tego celowo - broniła się.

- Wiem. Czy nie odnosisz wrażenia, że jak na ludzi, którzy tak niewiele ze sobą rozmawiali, sporo o sobie wiemy? Domyślamy się rzeczy, o których nie powinniśmy mieć pojęcia. W ogóle nie musimy o nich mówić.

- I lepiej, żebyśmy nie mówili - zastrzegła. Krępowało ją jego przenikliwe spojrzenie. - Nigdy - dodała z mocą.

- Nie wierzę w żadne „a potem żyli długo i szczęśliwie”. To straszny banał. Choć przyznam, że raz dałem się nabrać. Jednak twój ojciec szybko pozbawił mnie złudzeń. Ta dziewczyna trzymała mnie na dystans, nie pozwalała dotknąć się nawet placem. W tym samym czasie regularnie sypiała z twoim ojcem. Kiedy zaszła w ciążę, nic mi o tym nie powiedziała. Nadal zamierzała za mnie wyjść. - Westchnął ciężko. - Po tym wszystkim straciłem zaufanie do kobiet. A twojego ojca znienawidziłem tak bardzo, że byłem gotów go zabić. Kiedy dowiedziałem się, kim jesteś... - Zniecierpliwiony machnął ręką. - Sama zresztą wiesz. Byłem wściekły na Morrisa, że mnie nie uprzedził.

- Ja też o niczym nie wiedziałam.

- Wiem. Kiedy szok minął, szybko przekonałem się, że zatrudniając cię, nie mogłem podjąć lepszej decyzji. Nie narzekałaś, że praca jest ciężka i praktycznie nigdy się nie kończy. Dokładałem ci obowiązków, a ty wypełniałaś je bez szemrania. Początkowo robiłem to celowo. Myślałem, że jeśli zawałę cię robotą, sama odejdziesz. Ty jednak pracowałaś coraz lepiej. Wtedy zrozumiałem, że zrobiłem świetny interes. Co oczywiście nie znaczy, że zacząłem cię wtedy lubić - zaznaczył z ironią.

- Zauważyłam - powiedziała z przekąsem.

- Ale umiałaś się postawić - stwierdził z uznaniem. - Większość ludzi kładzie uszy po sobie. Najpierw nic nie mówią, a potem idą do

domu i wściekają się, że nie zareagowali w taki czy inny sposób. Ty zawsze umiesz znaleźć ripostę. Jesteś trudnym przeciwnikiem. Nie przypominam sobie, żeby choć raz udało mi się z tobą wygrać.

- Odkąd pamiętam, musiałam o wszystko walczyć - odparła. - Mój ojciec był tak samo niecierpliwy i popędliwy jak ty.

- O, przepraszam! Ja się nie upijam ani nie krzywdzę kobiet - obruszył się.

- Źle mnie zrozumiałeś - sprostowała. - Chciałam powiedzieć, że masz bardzo silną osobowość. Jesteś wymagający, zmuszasz ludzi, by robili, co chcesz. Nigdy się nie poddajesz ani nie ustępujesz. Ojciec był taki sam. Jeśli uznał, że to on ma rację, gotów był rzucić wyzwanie całemu światu. Niestety polegało na tym, że równie zaciekle bronił swoich racji, nawet gdy był w błędzie. W ostatnich latach życia dużo pił, ale za nic nie chciał się przyznać, że ma z tym problem. Matka też wolała przymykać oczy. Czasem myślę, że była jego niewolnicą - powiedziała z goryczą. - Gdyby pan i władca kazał jej się mnie pozbyć, zrobiłaby to bez wahania.

- Chcesz powiedzieć, że cię nie kochała?

- Kto ją wie? Na pewno ojca kochała bardziej. Tak bardzo, że gotowa była dla niego kłamać. A nawet umrzeć. - Jej zwykle pogodna twarz przybrała zacięty wyraz. - Wsiadła z nim do samolotu, choć dobrze wiedziała, że tego dnia nie powinien latać. Może przeczuwała, że ojciec zginie, i chciała być z nim do końca. Jestem pewna, że nawet gdyby wiedziała, iż lot skończy się katastrofą, i tak by za nim poszła. Tak mocno go kochała.

- Mówisz tak, jakbyś nie potrafiła sobie wyobrazić takiego uczucia.

- Rzeczywiście nie potrafię - przyznała - ale wiem, że nie chciałabym przeżyć takiej obsesyjnej miłości. Nie chcę kochać ani być kochana w taki sposób.

- Więc czego pragniesz? - zapytał Coltrain. - Życia w samotności?

- A ty nie? Mam wrażenie, że właśnie do tego dążysz - stwierdziła chłodno.

Wzruszył ramionami.

- Może masz rację - zgodził się po chwili. Spojrzał na nią przelotnie, a potem skupił spojrzenie na czymś innym. - Umiesz gotować? - zapytał, zmieniając zniemacka temat. Swym zwyczajem nie czekał, aż mu odpowie, tylko wszedł do kuchni, która jak wszystko w tym domu była obszerna i doskonale wyposażona we wszelkie możliwe urządzenia.

- Oczywiście, że umiem - obruszyła się.

- A chili umiesz zrobić?

- Cóż...

- Ja za swoje umiejętności zdobyłem główną nagrodę w konkursie kulinarnym - pochwalił się. Zdjął marynarkę i ściągnął krawat. Rozpiął kołnierzyk i podwinąwszy rękawy koszuli, stanął przy kuchni. - Ja będę gotował, a ty zaparz kawę.

- Widzę, że jesteś ufny jak dziecko. - Uśmiechnęła się pod nosem, kiedy pokazywał jej, gdzie trzyma kawę i filtry do ekspresu.

- Uważam, że każdemu trzeba dać szansę. Ale tylko raz - zaznaczył. - Zauważyłem, że podobnie jak ja pijesz dużo kawy, zakładałam więc, że umiesz ją zaparzyć.

- Nieźle, nieźle - roześmiała się. - Ale uprzedzam, że lubię mocną.

- Ja też. Zrób prawdziwego szatana.

Chwilę później na niewielkim kuchennym stole stało smaczne, aromatyczne jedzenie. Lou nie przypominała sobie, kiedy jadła coś tak smakowitego.

- Twoje chili jest wyśmienite - pochwaliła go.

- Jestem dwukrotnym zwycięzcą konkursu na najlepsze chili w Jacobsville - przypomniał jej.

- Wierzę ci. Placki kukurydziane też są bez zarzutu.

- Cały sekret polega na tym, żeby smażyć je na żeliwnej patelni - wyznał. - Dzięki temu są chrupiące.

- Nie mam ani jednego żeliwnego naczynia - przypomniała sobie. - Będę musiała kupić.

Odsunął się od stołu i bawiąc się kubkiem, przyglądał jej się uważnie.

- Nie tylko ja jestem temu winien - oznajmił niespodziewanie.

- Czemu?

- Naszym konfliktem - wyjaśnił. - Ty również szukałaś zaczepki.

Wzruszyła ramionami.

- Cóż, to typowy przypadek obrony przez atak. W ten sposób instynktownie odstraszaamy ludzi, którzy nas nie lubią.

- Możliwe. - Dopił kawę i spojrzął na zegarek. - Wstawię naczynia do zmywarki, a potem pojedziemy do szpitala na obchód. Może uda nam się wrócić, zanim zacznie się koncert.

- Ale ja nie mam tu samochodu - przypomniała mu.

- Wiem. Mówiłem ci, że pojedziemy razem.

- No, tak. Na pewno zamkniemy usta plotkarzom - zadrwiła.

- Do diabła z plotkarzami.

- I kto to mówi?

- Ty płuczesz naczynia, ja ustawiam je w zmywarce. - Uciął dyskusję.

Kiedy skończyli, ponownie włożył krawat i marynarkę.

- Chodźmy. Chcę to mieć jak najszybciej za sobą - powiedział.

Po szpitalnych korytarzach jak zwykle kręciło się mnóstwo ludzi. Dlatego wiele osób od razu zauważyło, że doktor Blakely i doktor Coltrain przyszli razem. Lou starała się ignorować ciekawskie spojrzenia, gdy wędrując od sali do sali, przystawała przy każdym z pacjentów, by chwilę z nim porozmawiać i uzupełnić zapiski w jego karcie.

Kiedy skończyła, okazało się, że Coltrain gdzieś przepadł. Wyjrzała przez okno; jego samochód stał tam, gdzie zawsze. Postanowiła więc sprawdzić, czy nie ma go w pokoju lekarskim. Ledwie wyszła na korytarz, ujrzała go w głębi. Niestety, nie był sam. Był z olśniewającej urody blondynką ubraną w elegancką i potwornie drogą sukienkę, na jaką Lou na pewno nie mogła sobie pozwolić.

Kiedy Coltrain ją zauważył, wyraźnie spochmurniał, ale ruszył w jej stronę. Szedł z rękami wbitymi głęboko w kieszenie fartucha, blondynka zaś sunęła obok, uczepiona oburącz jego ramienia.

- To moja koleżanka, z którą wspólnie prowadzimy praktykę - przedstawił ją. - Lou, to jest Dana Lester, znajoma... z dawnych lat - dokończył.

- I była narzeczona - uściśliła jego towarzyszką.

- Miło mi panią poznać. Właśnie objęłam stanowisko przełożonej pielęgniarek, więc pewnie będziemy często się spotykały - szczebiotała.

- Jest pani pielęgniarką? - zapytała Lou uprzejmie, czując, że w środku coś się w niej zapada.

- Dyplomowaną - odparła z dumą blondynka. - Przez ostatnie lata pracowałam w Houston. Któregoś dnia przeczytałam w gazecie ogłoszenie o pracy w tutejszym szpitalu i postanowiłam wysłać swoje cv. Spodobało się, i oto jestem! To cudowne uczucie, wracać w rodzinne strony. Pochodzę z Jacobsville.

- Doprawdy? - Lou zdobyła się na bardzo sztuczny uśmiech.

- Skarbie - kobieta zwróciła się do Coltraina - nie powiedziałeś mi, jak pani doktor się nazywa.

- Blakely - odparł Coltrain sucho. - Doktor Louise Blakely.

- Blakely... - powtórzyła Dana z namysłem. - Znam to nazwisko... - Ledwie to powiedziała, z jej twarzy odpłynęła cała krew.

- Nie - pokręciła głową - to niemożliwe. To byłby naprawdę niesamowity zbieg okoliczności...

- Jestem córką - zaczęła Lou lodowatym tonem - doktora Fieldinga Blakely'ego. Rozumiem, że pani go... znała - zakończyła, kładąc nacisk na ostatnie słowo.

Twarz Dany wciąż była kredowobiała.

- Wybacz, skarbie, muszę uciekać - zawołała, puszcżając ramię Coltraina. - Mam mnóstwo spraw do załatwienia. Niedługo się spotkamy. Chciałabym, żebyś wpadł do mnie na kolację - trajkotała.

Jak można się było spodziewać, do Lou nie odezwała się słowem.

Lou odprowadziła ją zimnym, niechętnym spojrzeniem.

- Nie chciałeś jej powiedzieć, jak się nazywam - powiedziała z lekkim wyrzutem.

- Nie ma sensu grzebać się w przeszłości. - Z wyrazu jego twarzy nie dało się niczego wyczytać.

- Wiedziałeś, że będzie tu pracowała?

Zacisnął zęby.

- Wiedziałem, że kogoś szukają, bo mamy wakat, ale nie miałem pojęcia, że ją przyjęli. Gdyby nasza administratorka, Selby Wills, nie odeszła na emeryturę, nie dostałaby tej posady.

- Ładna - zauważyła Lou, udając, że szuka czegoś w kieszeniach fartucha.

- Na dodatek blondynka - dorzucił Coltrain. - Czy nie to miałaś na myśli?

Podniosła głowę.

- Jak Jane Parker - stwierdziła.

- Od niedawna Jane Burke - sprostował ponuro. - Lubię blondynki - oznajmił takim tonem, jakby chciał ją sprowokować na następnego komentarza.

- Podobno woli je większość facetów. - Obojętnie wzruszyła ramionami. - Nie oczekuj ode mnie, że powitam kochankę ojca z otwartymi ramionami. Matka niemało wycierpiała przez takie jak ona. Na szczęście w ostatnich latach życia ojciec trochę się ustatkował.

- To wszystko wydarzyło się dawno temu - powiedział cicho Coltrain. - Skoro ja potrafię wznieść się ponad nienawiść do twojego ojca, ty przynajmniej spróbuj tolerować jej obecność.

- Uważasz, że to takie proste?

- To, co wydarzyło się między nimi, nie miało związku z twoim życiem - tłumaczył spokojnie.

- Co takiego?! - oburzyła się. - Ojciec zdradzał matkę z tą kobietą, a ty mi mówisz, że nie miało to ze mną żadnego związku?

Coltrain nie miał zamiaru dyskutować. Z rękami w kieszeniach i obojętną miną wskazał głową sale chorych.

- To już koniec? - zapytał.

- O tak. To już koniec - potaknęła gorliwie. - Jeśli możesz, podwieź mnie na parking przed przychodnią. Chcę wrócić do domu. Telewizję pooglądamy innym razem.

Wahał się, ale tylko przez chwilę. Nieugięty wyraz jej twarzy powiedział mu wszystko, co chciał wiedzieć. Na przykład to, że nie ma sensu spierać się z nią ani do niczego jej namawiać.

- W porządku - powiedział ugodowo. - Chodźmy - dodał,

wskazując drzwi.

- Dziękuję za pyszną kolację - rzekła, kiedy podwiózł ją na miejsce.

- Nie ma za co.

Wysiadła i otworzyła swój samochód. Coltrain nie odjeżdżał. Zaczekał, aż usiądzie za kierownicą i pierwsza ruszy w stronę miasta.

Niespodziewany powrót Dany Lester wywołał nową falę plotek. Wielu mieszkańców Jacobsville wciąż pamiętało głośny skandal sprzed lat. Lou starała się nie słuchać żadnych opowieści, skupiając się na tym, by przetrwać te trudne dla niej dni. Nie było jej łatwo, gdyż nowa przełożona pielęgniarek wyraźnie jej unikała, a Coltrain prawie przestał się do niej odzywać.

W pewnym sensie cieszyła się, że dzień wygaśnięcia kontraktu jest już bliski. Sytuacja w pracy, i tak już bardzo napięta, z każdym dniem stawała się coraz bardziej nie do zniesienia. Lou nie potrafiła odgadnąć, czy rezerwa Dany wynika z zazdrości, czy raczej ze strachu. Pojawienie się byłej narzeczonej Coltraina miało tę dobrą stronę, że przykuło uwagę plotkarzy. Przestali więc zajmować się jego domniemanym romanssem z Lou, dzięki czemu miała wreszcie święty spokój i mogła obserwować, jak Dana ugania się za nim po szpitalnych korytarzach, a od czasu do czasu pozwala sobie nawet zadzwonić do jego gabinetu.

Wieczór spędzony w domu Coltraina miał być początkiem ich przyjaźni. I może tak by się stało, gdyby nie powrót Dany, który

zdusił wszystko w zarodku. Odkąd zjawiała się w szpitalu, Coltrain wrócił do dawnych przyzwyczajęń. Z każdym dniem coraz bardziej oddalał się od Lou. Rozmawiał z nią tylko wtedy, kiedy musiał, i to wyłącznie o sprawach służbowych. Ponieważ wyraźnie jej unikał, nie pozostało jej nic innego, jak robić to samo.

Brenda i recepcjonistka miały wrażenie, że siedzą na wulkanie. Coltrain był bardzo rozdrażniony; za każdym razem, kiedy wpadał w gniew, Lou odpłacała mu nie mniejszą irytacją.

- Słyszałam, że Dana i Nickie o mało nie pobiły się o to, która zanieśie doktorowi karty pacjentów - powiedziała któregoś dnia Brenda.

- Szkoda, że nikt nie miał kamery, żeby to sfilmować. - Lou uśmiechnęła się sponad kubka z kawą.

Pielęgniarka zmarszczyła brwi.

- Myślałam, że... Wydawało mi się, że ostatnio pani i pan doktor macie ze sobą lepszy kontakt.

- To było chwilowe zawieszenie broni - wyjaśniła Lou. - Nic się nie zmieniło, Brendo. Tak jak postanowiłam, pracuję tylko do końca roku. Jediną nowością jest powrót byłej narzeczonej doktora.

- Była prawdziwą zmorą tego szpitala. - Brenda skrzywiła się z niesmakiem. - Opowiadała mi o niej jedna ze starszych pielęgniarek. Czy pani wie, że kiedy rozeszła się wieść, że Dana Lester będzie naszą przełożoną, dwie dziewczyny chciały natychmiast odejść z pracy? Jedna z pielęgniarek, która pracowała z nią w Houston, ma krewnych w Jacobsville. Ci krewni podobno mówili, że Dana przyszła

do nas, bo domyśliła się, że chcą ją wywalić z Houston. Na papierze jej referencje wyglądają wspaniale, ale tak naprawdę jest marną administratorką. Poza tym lubi się bawić w różne układy. Sama się pani przekona, co tu się będzie wkrótce działo.

- Szczerze mówiąc, mało mnie to obchodzi.

- Naprawdę? - Brenda nie wyglądała na przekonaną. - Ludzie mówią, że ona tu przyszła, żeby wybadać grunt. Podobno chce sprawdzić, czy Rudy już jej wybaczył i czy nie zechciałby spróbować z nią jeszcze raz.

- Ma facet szczęście - odparła lekko Lou. - Dana to piękna kobieta.

- Jaka tam piękna?! Wstrętna modliszka - gorączkowała się Brenda. - Wyciśnie z naszego doktora ostatnie soki.

- Nie przesadzaj, Brendo. Doktor Coltrain to duży chłopiec, nie da sobie zrobić krzywdy.

- Żaden mężczyzna nie przejdzie obojętnie obok pięknej twarzy i zgrabnych nóg. A kiedy atrakcyjna kobieta patrzy w niego jak w obraz, to już biedak przepadł z kretesem. Założę się, że będziemy tu mieli niezłą awanturę.

- Na szczęście ja już tego nie zobaczę - przypomniała jej Lou. I po raz pierwszy naprawdę ucieszyła się, że odchodzi. Nickie i Dana na pewno będą zaciekle rywalizowały o względy Coltraina. Niech wygra najlepsza, pomyślała ze smutkiem. Jak dobrze, że nie będzie musiała oglądać tej zenującej potyczki. Od początku wiedziała, że to nie jest mężczyzna dla niej. Im szybciej pogodzi się z tą porażką, tym lepiej.

Odejdzie z godnością. Dopóki jeszcze może.

Kiedy wracała do gabinetu, usłyszała znajomy, głęboki głos dobiegający z jednej z sal. Ciekawe, jak to będzie, kiedy jej pobyt w Jacobsville stanie się już tylko niedobrym wspomnieniem. Jak będzie żyła nie słysząc codziennie tego głosu?

Drew Morris zaproponował, żeby zjedli razem lunch. Z radością przyjęła zaproszenie, czuła bowiem, że zmiana otoczenia dobrze jej zrobi. Pech chciał, że wybrana przez Morrisa restauracja, zresztą najlepsza w całym Jacobsville, gościła tego popołudnia dwie osoby, których Lou akurat nie chciała spotkać: przy jednym ze stolików siedzieli razem Coltrain i Dana.

- Lou, przepraszam cię - Drew poczuł się winny. - Nie miałem pojęcia, że oni tu będą. Gdybym wiedział, poszlibyśmy gdzie indziej.

- Daj spokój, nie ma o czym mówić. Przecież i tak muszę na nich codziennie patrzeć w szpitalu.

- Domyślam się, że patrzeć to w tym przypadku bardzo trafne słowo. - Uśmiechnął się. - Podobno oboje cię unikają.

- Bóg jeden raczy wiedzieć, dlaczego - przyznała. - Kiedy chcę ją o coś zapytać, zawsze jest akurat tam, gdzie mnie nie ma. On rozmawia ze mną tylko i wyłącznie o pracy. Wiesz, Drew, cieszę się, że odchodzę. Nie bierz tego do siebie, ale żałuję, że przyjąłem tę posadę.

- Przykro mi, że wpakowałem cię w taki bigos. Myślałem, że sprawy ułożą się zupełnie inaczej.

- Czyli jak?

Nim odpowiedział, upił łyk wody.

- Będę z tobą szczery: miałem nadzieję, że Rudy znajdzie w tobie to, czego nie znalazł dotąd w żadnej kobiecie. Jesteś niezwykłą osobą, Lou. On również, jak sama wiesz, ma nietuzinkową osobowość. Wydawało mi się, że będziecie do siebie pasowali.

- Wybacz porównanie, ale chyba jak pięść do nosa! - powiedziała, świadomie ignorując wszystkie podobieństwa, które z Coltrainem w sobie odkryli. - Nie wytrzymujemy ze sobą dłużej niż pięć minut.

- Przecież wiem - westchnął. Nagle wyraźnie się ożywił. - No, teraz to się dopiero zacznij! - szepnął.

Lou podążyła za jego spojrzeniem. Do restauracji właśnie weszła wzburzona Nickie. Wystrojona w obcisłą sukienkę, która ledwie zakrywała jej pupę, ciągnęła za sobą speszonego stażystę, z którym usiadła przy stoliku sąsiadującym ze stolikiem Coltraina i Dany.

- Obawiam się, że to ryzykowne zagranie - mruknęła Lou, obserwując groźny błysk w oczach swojego współnika. - Na pewno to mu się nie spodoba. I nie dopuści do żadnej sceny. Za chwilę wstanie i wyjdzie.

Kiedy Coltrain zachował się dokładnie tak, jak przewidziała Lou, i wyszedł, zostawiając osłupiałą Danę, Drew z uznaniem zagwizdał przez zęby.

- Dobrze go znasz - powiedział, patrząc na nią znacząco.

- Ja wiem, czy dobrze? Po prostu znam - odparła. - Kiedyś stwierdził, że czytam w jego myślach. Co w pewnym sensie może być

prawdą.

- Czy wiesz, jak niezwykle rzadko zdarza się taki rodzaj telepatii? - zdumiał się Drew.

- Nie mam pojęcia. - Wzruszyła ramionami. - Wiem też, że on również czyta w mojej głowie jak w otwartej książce. Żal mi go, choć wcale na to nie zasłużył. Pomyśl tylko, co za straszny pech, spotkać aż dwie zakochane kobiety w jednej restauracji.

Drew darował sobie uwagę, że nie dwie, tylko trzy. Przemilczał również fakt, że odkąd on i Lou przyszli do restauracji, Coltrain co chwila zerkał w ich stronę. Z tych trzech kobiet, które do niego wzdychały, tylko jedna Lou nie próbowała za wszelką cenę go usidlić.

- Coltrain płaci rachunek - relacjonował Drew - a teraz wraca po Danę. Dobrze, że zdążyli zjeść deser. Biedna Nickie. Dostała dziś nauczkę.

- Mówiłam jej, że jest zbyt natarczywa - stwierdziła. - Szkoda, jest taka młoda. Pewnie jeszcze nie wie, że ścigając faceta jak łowną zwierzynę, można go tylko zniechęcić.

- Znam kobiety, które nigdy nikogo nie ścigają - zauważył.

Spojrzała na niego i natychmiast dostrzegła figlarny błysk w jego oczach. Miał taką minę, że nie mogła się nie roześmiać.

- Kochany jesteś!

- Wiem. Żona mi to zawsze mówiła. Co zamierzasz zrobić?

- Zależy, o co pytasz?

- O Coltraina.

- Nic. Po świętach wyjeżdżam do Austin.

Drew ściągnął usta i podniósł filiżankę.

- Wiesz co, Lou - powiedział w zamyśleniu - coś mi się zdaje, że stąd nie wyjedziesz.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W sobotę rano obudził ją dziwny hałas: ktoś natrętnie dobijał się do drzwi. Zaspana zarzuciła na siebie blad różowy szlafrok z satyny i nie zważając na potargane włosy, poszła otworzyć.

Tam dopiero przeżyła prawdziwy szok. Pod jej drzwiami stał Coltrain. Był ubrany w dżinsy, wysokie kowbojskie buty, spłowiałą bawełnianą koszulę i kurtkę na ciepłej podpince. W dłoni trzymał podniszczony kowbojski kapelusz.

- A tobie co się stało? Występujesz w kolejnych odcinkach „Doktor Quinn”? - zapytała, przecierając zdumione oczy.

- Bardzo śmieszne - burknął ponuro. - Muszę z tobą porozmawiać.

Walcząc z sennością, otworzyła szerzej drzwi.

- Wejdz - powiedziała, ziewając ukradkiem, i poszła do kuchni. Właściwie powinna najpierw się ubrać, uznała jednak, że szlafrok jest wystarczająco szczelną osłoną. Poza tym Coltrain jako lekarz widział w życiu nie takie rzeczy. No i uganiają się za nim dwie śliczne kobiety, więc co może go obchodzić ona, w szlafroku czy bez.

- Zjesz grzanekę? - zapytała.

- A jakie robisz? Zwykle czy z cynamonem?

- Jakie tylko sobie zażyczysz.

Postawiła na stole masło i cynamon, a kiedy kawa była już gotową z tosterą wyskoczył przyrumieniony tost.

Coltrain obserwował jej krzątanie ze swego miejsca w kącie. Oparłszy nogę o krzesło stojące pod ścianą, kiwał się lekko. Widoczny

brak humoru w niczym nie zaszkodził jego męskiej urodzie. Kiedy zginał i prostował nogę, pod materiałem pojawiał się ładny zarys mocnych mięśni ud. Był dobrze zbudowany, ale nie miał przesadnej muskulatury. Lou zerknęła na niego ukradkiem. Uznała, że w spranej koszuli i z włosami w nieładzie wygląda zupełnie inaczej niż w oficjalnym garniturze, w którym go zawsze widywała. Więc taki jest, kiedy nie pracuje? Ucieszyła się, że jeszcze przed wyjazdem z Jacobsville może podejrzeć jego ściśle strzeżoną prywatność.

- Proszę bardzo - podała mu talerz. Na nieskazitelnie białym obrusie postawiła tosty i przyprawy, po czym naląła kawy do dwóch kubków.

- Świąteczny koncert był naprawdę dobry - powiedział Coltrain.

- Tak? To fajnie. Poszłam od razu spać.

- To nie ja ściągnąłem Donę do Jacobsville - oznajmił bez zbędnych wstępów. - To tak na wypadek, gdybyś miała wątpliwości.

- To nie moja sprawa.

- Wiem - westchnął. Upił łyk kawy i skubnął grzanekę, ale widać było, że intensywnie o czymś myśli. - To, co wyprawiają Nickie i Daną staje się żenujące - wyrzucił z siebie.

- Skoro irytuje cię, że dwie atrakcyjne kobiety rywalizują o twoje względy, to chyba rzeczywiście masz problem - skwitowała.

- Irytacja to nie jest właściwe słowo. Czuję się jak jakiś beznadziejny kawaler miesiąca - skrzywił się zde gustowany.

Wybuchnęła śmiechem.

- Ojej, bardzo cię przepraszam! - wykrztusiła, widząc jego

mordercze spojrzenie. - Powiedziałeś to w taki śmieszny sposób...

- To wcale nie był żart - burknął. Chwilę siedział nastroszony i w milczeniu pił kawę.

- Rozumiem, że sprawa jest poważna - odezwała się Lou pojednawczym tonem. - Zwłaszcza że wpływa na atmosferę w pracy. Pewnie niełatwo ci pracować z nimi dwoma.

- Słyszałem, że masz podobny problem.

- Można tak to nazwać - przyznała. - Kiedy któraś z nich jest mi potrzebną nie mogę znaleźć ani Dany, ani Nickie. Mam wrażenie, że chowają się przede mną.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że dalej tak być nie może?

- Oczywiście. Pocieszam się, że kiedy odejdę, wszystko wróci do normy.

Jeszcze bardziej spochmurniał.

- Co to znaczy, kiedy odejdiesz? I co to komu pomoże? Zresztą nie ma sensu tego roztrząsać. Przecież uzgodniliśmy już, że zostajesz.

- Nic podobnego! - zaprotestowała. - Dałam ci swoje wypowiedzenie. Twoja sprawa co z nim zrobiłeś. Dla mnie jest ono nadal wiążące.

Zamyślony wpatrywał się w zawartość kubka.

- Nie sądziłem, że mówisz to poważnie - przyznał.

- A to ciekawe... - Uśmiechnęła się ironicznie. - Ma pan bardzo selektywną pamięć, doktorze Coltrain. Ja do dziś pamiętam każde słowo, które padło podczas twojej rozmowy telefonicznej z Morrisem. A ty co? Zapomniałeś już, jak to było?

- Skąd miałem wiedzieć, że podsłuchujesz?!

- I myślisz, że to załatwia sprawę? - zapytała z udawaną powagą.
Znużony przegarnął palcami włosy.

- To był naprawdę paskudny dzień - odparł. - Mówiłem ci już, że wykryłem wtedy białaczkę u cudnego czteroletniego chłopca. Poza tym dostałem wtedy list od ojca. Jak zwykle z prośbą o pożyczkę.

Lou poprawiła się na krześle.

- Nie wiedziałam, że twoi rodzice jeszcze żyją.

- Mama zmarła dziesięć lat temu. Ojciec żyje, mieszka w Tucson. Pilnuje koni na pastwiskach, ale na swoje nieszczęście jest nałogowym hazardzistą. Kiedy przegra wszystkie pieniądze, odzywa się do mnie, żebym go poratował, bo nie ma na życie - opowiadał, nie kryjąc pogardy.

- Poza tym nie kontaktuje się z tobą? Chce tylko pieniędzy? - zapytała cicho.

- Zawsze tak było. - Spojrzał jej w oczy i uśmiechnął się z przymusem. - Jak myślisz, kto zmusił mnie do tego, żebym jako nastolatek włamywał się ludziom do domów? W świetle prawa byłem nieletni, więc nie groziło mi więzienie. Och, nigdy nie działaliśmy w rodzinnych stronach - mówił z goryczą. - Przecież tutaj wszyscy nas znali. Jeździliśmy do Houston. Ojciec namierzał domy, a ja odwalałem czarną robotę.

Lou aż zatkanęło.

- Powinni go za to aresztować!

- Aresztowali - odparł. - Przesiedział rok, a potem zwolnili go

warunkowo. Kiedy miałem trzynaście lat, trafiłem do rodziny zastępczej. Od tamtej pory rzadko widywałem ojca. Postanowiłem o wszystkim zapomnieć. On chyba też wolał nie pamiętać. Przypomniał sobie o mnie, dopiero kiedy dowiedział się, że nieźle zarabiam. Dziś mój stary nie ma żadnych oporów, żeby poprosić mnie o pożyczkę.

Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że Coltrain wychował się w takiej rodzinie. Pod pewnymi względami jego smutne dzieciństwo przypominało jej własne.

- Jaka szkoda, że nie można wybrać sobie rodziców - westchnęła.

- Amen - pokiwał głową. Oparł się wygodniej o ścianę i wrócił do przerwanej wątku. - Podczas tamtej nieszczęsnej rozmowy z Drew Morrisem byłem wściekły na cały świat. Jego telefon był ostatnim gwoździem do trumny. Nie mogłem pogodzić się z myślą, że jego lubisz, a przede mną uciekasz, jak przed trędowatym.

Nie sądziła, że to zauważył. Co za ironia losu! Poczul się odrzucony, choć w rzeczywistości jej zachowanie było obroną przed uczuciem, które w niej obudził.

- Kiedy rozpoczynaliśmy współpracę, zaznaczyłeś, iż oczekujesz, że nasze stosunki będą czysto służbowe - przypomniała.

- Zgadza się. Ale chyba nie mówiłem, że masz uciekać przede mną jak przed zadzumionym - dodał zgryźliwie. Dziwne, ale już się tym nie przejmował. Zdobył się nawet na lekki uśmiech. - Lou, gdyby można było cofnąć czas, to przysięgam, że oddałbym wszystko, by nigdy nie padły słowa, które usłyszałaś, gdy rozmawiałem z

Morrisem. Kiedy powiedziałaś, że nie chcesz już ze mną pracować, poczułem się upokorzony.

Słuchała go, skubiąc paznokiec.

- Myślałam, że będziesz z tego powodu zadowolony.

Taki dobór słów sprawił mu ogromną przyjemność. Doskonale wiedział, że nie jest jej obojętny. Początkowo coś podejrzewał, jednak dopiero po tym pamiętnym pocałunku nabrał pewności. Nie pozwoli, by odeszła, dopóki sam nie ustali, co do niej czuje. Tylko jak ją zatrzymać? Spojrzał na nią badawczo, szukając jakiejś wskazówki, którą miał nadzieję wyczytać z jej twarzy. Nagle wpadł mu go głowy zupełnie szalony pomysł.

- Gdybyśmy się na przykład zaręczyli - zastanawiał się głośno - Dana i Nickie dałyby za wygraną.

Kilka razy powtórzyła w myślach jego słowa, bawiąc się nimi jak dziecko szklanymi kulkami. Na dworze świeciło słońce. Był jasny grudniowy dzień. Świąteczne dekoracje w oknach i bombki na choince w pokoju chwytały słoneczne promienie i lśniły pięknym blaskiem.

- Słyszałaś, co powiedziałem? - zapytał, zaniepokojony jej długim milczeniem.

Z wrażenia dostała wypieków.

- To kiepski żart - stwierdziła, odwracając od niego wzrok.

Wstał, głośno szurając krzesłem, i nim zdążyła zrobić dwa kroki, zaszedł ją od tyłu, chwycił w talii i przyciągnął do siebie. Chcąc się uwolnić, chwyciła go za ręce i wtedy poczuła przyjemne ciepło jego

silnych dłoni. Jego oddech delikatnie przenikał jej włosy, szeroka pierś, o którą się opierała, wznosiła się i opadała miarowo.

- Przestańmy bawić się w ciuciubabkę - powiedział szorstko. - Zakochałaś się we mnie. Udajesz, że nie, ale oboje wiemy, że właśnie dlatego odchodzisz.

Głośno zachłysnęła się powietrzem. Znieruchomiała zmrożona jego słowami. Czowała, że powinna jakoś zareagować, powiedzieć coś, co pozwoliłoby jej zachować twarz. Jednak w głowie miała straszną pustkę. On zaś, podejrzewając, że będzie próbowała się wyrwać, chwycił ją jeszcze mocniej.

- Nie wpadaj w panikę - powiedział spokojnie. - Robienie uników niczego nie rozwiąże.

- Nie myślałam, że tak bardzo to widać... - szepnęła zdruzgotana.

- Nie martw się. Jakoś sobie z tym poradzimy - pocieszał ją, tuląc do siebie.

- Ty akurat nie musisz się tym przejmować - powiedziała ochryple. - Mam zamiar...

Nie pozwolił jej dokończyć. Obrócił ją w ramionach i zaczął całować. Tak jak przypuszczał, opierała się przez chwilę. Tym razem starał się być jeszcze bardziej czuły i delikatny. I nie pomylił się. Po chwili przestała się wyrwać. Jej opór topniał jak lód w ciepłych promieniach słońca.

Przytulił ją mocniej, choć trochę się bał, że ją przestraszy. Ona jednak wcale nie chciała uciekać. Wsunęła palce w jego włosy i garnęła się do niego, spragniona bliskości. W pewnej chwili

przemknęło jej przez myśl, że Coltrain całuje ją tak, jak całował Nickie na imprezie w szpitalu: gorąco, zmysłowo, namiętnie.

Nie zaprotestowała nawet wtedy, kiedy wsunął rękę pod szlafrok i zaczął pieścić jej piersi. Pod jego palcami dziko trzepotało jej serce. Nie spodziewała się tak obezwładniającej przyjemności. Chwilami wręcz traciła oddech. To, co się działo, było dla niej zupełnie nowe, i on dobrze o tym wiedział. Całując ją i delikatnie gładząc jej rozpaloną skórę, myślał o prawdziwej rozkoszy, którą mógłby jej dać.

Pochylił się i przylgnął wargami do jej szyi. Potem powędrował w dół, w stronę obojczyka i jeszcze niżej. Chłonąc delikatny, przyjemny zapach jej skóry, całował drobne, jędrne piersi. Przestraszona próbowała się bronić, jednak przyjemność, jaką czerpała z tej pieśczoły, była tak wielka, że szybko zapomniała o rozsądku i wstydzie. Rozluźniła się i poddała całkowicie. Gdyby jej nie obejmował, prawdopodobnie nie mogłaby utrzymać się na nogach. Drżącymi palcami obejmowała go za szyję, nie odpychała jednak, lecz tuliła do siebie coraz mocniej.

Coltrain obawiał się, że jeszcze chwila i nie zapanuje nad sobą. Wypełniająca go rozkosz była tak wielka, że aż bolesna. Przełamując wewnętrzny opór, przestał ją całować. Odsunął się na bezpieczną odległość, z której nie czuł kuszącego ciepła i zapachu jej ciała.

Na twarzy miał wypieki, a oczy lśniły mu dzikim blaskiem, gdy wpatrywał się w jej nieprzytomne źrenice. Ona zaś nie do końca wiedziała, co się z nią dzieje. Czuła na sobie jego zapach, miała nabrzmiałe wargi, a przez jej gardło nie mógł się precisnąć żaden

dźwięk.

Jak przez mgłę widziała, że Coltrain wyciąga ręce i ostrożnie rozsuwa poły jej szlafroka. Bardzo chciał zobaczyć jej piersi, które przed chwilą tak czule całował. Były takie piękne: kształtne, jędrne i zaróżowione jak pąk róży. Delikatnie obwiodł dłonią ich krągłą linię, z przyjemnością obserwując, jak Lou z rozkoszy mruży oczy.

- Gdybym zechciał - odezwał się głębokim, spokojnym głosem - mógłbym cię mieć tu i teraz, ot, choćby na kuchennym stole. I ty mi mówisz, że wyjeżdżasz za dwa tygodnie!

Oprzytomniała. Zatrzepotała powiekami jak wyrwana ze snu. Zdumioną spojrzała na rozchylony szlafrok i dłoń, która gładziła jej piersi. Coltrain próbuje ją uwieść! Ogląda ją... !

Spłoszona odskoczyła do tyłu. Nerwowo chwyciła poły szlafroka i po krótkiej szamotaninie zasłoniła piersi. Czerwona jak burak zaczęła się cofać, patrząc mu oskarżycielsko w oczy.

Coltrain nie ruszył się z miejsca. Jedyne oparł się o kuchenny blat. Nawet gdyby chciała, nie mogłaby nie zauważyć, jak bardzo jest podniecony. Speszyło ją to do tego stopnia, że wbrew sobie zaczerwieniła się jeszcze mocniej. Co ja wyprawiam? - pomyślała przerażona. Dlaczego mu na to pozwalam?

- Kipisz oburzeniem - zauważył. - Lubię, jak się czerwienisz, kiedy na ciebie patrzę.

- Wyjdź, proszę - wykrztusiła.

- Nie mógłbym - odparł uprzejmie. - Ubierz się w coś wygodnego, najlepiej włóż spodnie i buty do konnej jazdy. Zabieram

cię na przejażdżkę.

- Nigdzie z tobą nie pójdę!

- Chcesz pójść ze mną do łóżka - sprecyzował, uśmiechając się lekko. - Ja też mam na to wielką ochotę, ale osiodłałem już konie. Czekają na nas w stajni.

Poprawiła szlafrok, krzywiąc się, gdy delikatna satyna otarła się o jej podrażnione piersi.

- Boli? - zapytał miękko. - Przepraszam, trochę się zagalopowałem.

- Doktorze... ! - prychnęła, owijając się ciasniej różowym materiałem.

- Mów mi Rudy - poprawił ją - albo po imieniu, jeśli wolisz. Lou, dobrze ci radzę, idź się ubrać - mruknął, mierząc ją pałającym spojrzeniem. - Uprzedzam, że wciąż jestem strasznie napalony, a faceci bywają wtedy okropnie podstępni.

- Mam parę spraw do załatwienia...

- Albo jazda konna, albo... - rzucił złowrogo, robiąc krok w jej stronę.

Nie czekając, aż spełni tę groźbę, obróciła się na pięcie i pobiegła do sypialni. Nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Wcześniej Coltrain wspomniał o zaręczynach. Nie, to niemożliwe. Chyba zaczyna tracić rozum. Tak, to na pewno to. Perspektywa rychłego wyjazdu wpędziła ją w taki stres, że zaczęła mieć halucynacje.

Gdy ona się ubierała, Coltrain zebrał ze stołu naczynia, a kiedy wróciła do kuchni ubrana w wygodną kurtkę i uczesana w koński ogon przewiązany niebieską wstążką, uśmiechnął się i powiedział:

- Wyglądasz jak prawdziwa kowbojka.

Spojrzała na niego niepewnie, wciąż jeszcze mocno speszona niedawną chwilą zapomnienia. Jednak po nim nie było widać żadnego skrępowania. Postanowiła, że podobnie jak on, będzie zachowywała się tak, jakby nic się nie stało. Na początek zaryzykowała nieśmiały uśmiech.

- Dzięki za słowa uznania, ale nie wiem, czy nie chwalisz mnie trochę na wyrost. Uprzedzam, że bardzo dawno nie jeździłam konno.

- Poradzisz sobie. Będę miał na ciebie oko.

Kiedy wychodzili, przepuścił ją w drzwiach. Zaczekał aż zamknie dom, a potem zaprosił do swojego jaguara i zawiózł na ranczo.

Choć o tej porze roku drzewa nie miały już liści, las i tak był przepiękny. Konie szły stępą kołysząc się rytmicznie. Bijące od nich ciepło i miarowy ruch pomagały jej się nieco odprężyć, choć w obecności Coltraina było o to naprawdę trudno. Jadąc obok niego, przez cały czas myślała tylko o tym, że ma go na wyciągnięcie ręki i że on nawet na końskim grzbiecie prezentuje się wyjątkowo atrakcyjnie. W szarym stetsonie zsuniętym na czoło był tak zabójczo przystojny, że z wrażenia aż dostawała gęsiej skórki.

- Podoba ci się? - zagadnął ją przyjaźnie.

- Bardzo! Już zapomniałam, jakie to przyjemne.

- Czasem mam tej przyjemności aż za wiele - wyznał. - Wprawdzie ranczo nie jest duże, ale mam tu pięćdziesiąt sztuk rasowego bydła. Sam nie dałbym sobie ze wszystkim rady, więc zatrudniam dwóch pomocników.

- Dlaczego hodujesz bydło? - zainteresowała się.

- Sam nie wiem. Marzyłem o tym od dziecka. Dziadek miał starą krowę, która dawała mleko. Pamiętam, że próbowałem na niej jeździć.

- Roześmiał się. - Nikt by nie zliczył, ile razy spadłem.

- A babcia?

- Babcia? Wspaniale gotowała. - Rozpromienił się. - Jej ciasta były słynne w całym hrabstwie. Kiedy ojciec zszedł na złą drogę, dziadkowie się załamali. Najbardziej przeżywali to, że mnie demoralizował - mówił, kręcąc głową. - Kiedy dzieciak robi coś złego, wszyscy zwalają winę na tych, którzy go wychowywali. Moi dziadkowie byli bardzo porządnymi ludźmi. Tyle że bardzo biednymi. W tamtych czasach... Teraz zresztą też mamy wielu biedaków.

Lou dawno już zauważyła, że Coltrain wyjątkowo troszczy się o swoich mniej zamożnych pacjentów. Zawsze znajdował dla nich czas, udzielał im konsultacji, służył radą. Czasem podpowiadał, gdzie powinni szukać pomocy. Przed Bożym Narodzeniem pierwszy wspierał miejscowe organizacje dobroczynne, a czasem z własnych funduszy kupował prezenty dla dzieci z biednych rodzin. Był dobrym człowiekiem i, między innymi, za to go podziwiała.

- Chciałbyś mieć dzieci?

- Chciałbym mieć rodzinę - odparł wymijająco. - A ty? - spojrzał na nią pytająco.

Zmarszczyła czoło.

- Sama nie wiem. Boję się, że nie uda mi się pogodzić macierzyństwa i pracy. Wiem, że ludzie jakoś sobie z tym radzą, ale zawsze robią jedno kosztem drugiego. Dzieciom trzeba poświęcić mnóstwo czasu, tymczasem rodzice są tak zabiegani i zajęci zarabianiem pieniędzy, że nie mają kiedy ich wychowywać. To stąd bierze się spora część problemów społecznych. Z drugiej strony płatna opiekunka to straszny wydatek. Dlaczego przedszkola albo żłobki nie są bezpłatne? - zapytała z wyrzutem. - Skoro firmy chcą, żeby kobiety spędzały w pracy ponad pół dnia, powinny zatroszczyć się o to, by miały co zrobić z dziećmi. Wiem, że niektóre szpitale i duże korporacje utrzymują przedszkola dla dzieci pracowników. Dlaczego nie robią tego wszystkie większe firmy?

- Dobrze pytanie. Pracującym rodzicom na pewno byłoby lżej.

- Ja w każdym razie, jeśli będę miała dzieci, chciałabym zostać z nimi domu, dopóki trochę nie podrosną. Nie wiem tylko, czy będę mogła na tak długo zrezygnować z pracy...

Coltrain zatrzymał swojego konia, po czym chwycił wodze jej wierzchowca i odwrócił go tak, by móc spojrzeć Lou w oczy.

- To nie jest jedyna przeszkoda - stwierdził. - O co chodzi naprawdę?

Lou skuliła się, chowając twarz w kołnierzu kurtki.

- Byłam bardzo nieszczęśliwym dzieckiem - mruknęła. -

Nienawidziłam ojca, matki, swojego życia.

Coltrain w zamyśleniu ściągnął brwi.

- Myślisz, że dziecko mogłoby mnie znienawidzić? - zapytał.

- Chyba żartujesz! - Roześmiała się zaskoczona. - Dzieci cię uwielbiają. Chociaż są i takie, które uważają, że nie potrafisz założyć szwów oraz że ja robię to dużo lepiej.

- Dziękuję za szczerłość.

- Cały sekret to guma do żucia, którą im daję, kiedy jest już po wszystkim.

- No, ładnie. Zamienił stryjek siekierkę na kijek, czyli kilka szwów na kilka dziur w zębach.

- Daję im gumę bez cukru - zapewniła go, wyraźnie zadowolona z siebie.

- Udało ci się! - Popatrzył na nią ciepło.

Puścił wodze jej konia i pierwszy ruszył przez pastwiska, kierując się w stronę dużej obory, oddalonej o kilkaset jardów od domu. Po drodze opowiadał o swoim gospodarstwie, które systematycznie ulepszał i modernizował.

- Nie jest tak nowoczesne jak niektóre rancza, bo przy tej skali działalności nie ma takiej potrzeby - tłumaczył - ale wkładam w to dużo pracy. Muszę powiedzieć, że jestem zadowolony z wyników. Mam na przykład buhaja, o którym pisali w branżowych pismach.

- Pokażesz mi go?

- Naprawdę chcesz go zobaczyć?

- Jasne. Bardzo lubię zwierzęta. Długo nie mogłam się

zdecydować, czy chcę zostać lekarzem, czy weterynarzem.

- Co przesądziło o wyborze?

- Nie wiem. Ale nigdy nie żałowałam tej decyzji.

Gdy dojechali na miejsce, Coltrain zwinnie zeskoczył na ziemię. Pomógł jej zsiąść z konia, po czym przywiązał zwierzęta do ogrodzenia i pierwszy ruszył w stronę obory.

W środku było zaskakująco czysto. Przejście między stanowiskami dla zwierząt było wybrukowane, przegrody zaś obszerne i wysłane świeżą słomą. Krowy miały zdrową, lśniącą sierść i wyglądały na dobrze odżywione. A byk, którym chwalił się Coltrain, rzeczywiście był wspaniałym okazem.

- Przepiękny - zachwyciła się Lou, gdy stanęli obok jego boksu. Potężny, czerwono umaszczony buhaj musiał być dość potulny, bo na widok swojego pana podszedł do metalowej bramki i wyciągnął do niego łeb.

- Co słyhać, stary? - Coltrain pogładził go po lśniącym pysku. - Podjadłeś sobie?

- To rasa Santa Gertrudis, prawda? - zapytała Lou.

Dłoń Coltraina zastygła na różowych chrapach zwierzęcia.

- Skąd to wiesz? - zapytał zdumiony.

- Jednym z moich pacjentów jest Ted Regan. Kiedyś przyniósł ze sobą specjalistyczne pismo dla hodowców i wychodząc, zapomniał zabrać. Przejrzałam je i przy okazji sporo dowiedziałam się o rasach, umaszczeniu i wielu innych rzeczach. W naszej przychodni leczy się wielu ranczerów - zauważyła - więc warto wiedzieć to i owo na temat

bydła.

- Lou! - zawołał. - Jestem pod wrażeniem!

- Chyba pierwszy raz.

Roześmiał się. Oparł stopę o dolny pręt bramki i patrzył na nią z ciepłym błyskiem w oczach.

- Wyobraź sobie, że wcale nie pierwszy raz. Zaimponowałaś mi już w pierwszym tygodniu naszej współpracy - oznajmił.

- Niemożliwe!

- A jednak... - Sięgnął po pasmo jej włosów i owinął je wokół palca. - Prawdziwy z ciebie cud - powiedział, zaglądając jej w oczy. - To zabawne, prawda? Pracujemy ze sobą okrągły rok, a ja poznaję cię dopiero teraz. Wiele się o tobie dowiedziałem w ciągu ostatnich dwóch tygodni.

- Ja o tobie również.

Spojrzała na jego szerokie, mocne ramiona, rysujące się pod znoszoną koszulą. Uwielbiała go. Podobało jej się, jak Coltrain się porusza jak mówi, nawet jak nosi kapelusz, który teraz zsunął zawiadacko na jedno oko. Nagle przypomniała sobie cudowne ciepło jego rąk, gdy ją przytulał, i poczuła dziwny chłód.

Lubił jej się przyglądać. Obserwować, jak zmienia się wyraz jej twarzy. Natychmiast odgadł, o czym pomyślała.

Odetchnęła głęboko i spojrzała mu w oczy, uśmiechając się nieśmiało.

Zmarszczył czoło. I nie rozumiejąc, dlaczego to robi, wyciągnął do niej rękę.

Bez chwili wahania przyjęła zaproszenie. Podeszła do niego i przytuliła się mocno, otaczając go ramionami. Położyła dłonie na jego plecach i wsłuchiwała się w miarowe bicie jego serca.

Z jednej strony czuł się zaskoczony, z drugiej zaś fakt, że trzyma ją w ramionach, wydał mu się czymś naturalnym. Przygarnął ją mocniej i gładząc w zamyśleniu jej włosy, patrzył, jak jego ulubieniec spokojnie skubie paszę.

- W następnym tygodniu Boże Narodzenie - powiedział cicho.

- Wybierasz się do przyjaciół czy zaprosisz ich do siebie?

- Zanim Jane wyszła za mąż, spędzaliśmy razem święta - odparł.

Poczuł, że Lou lekko drgnęła, ale nie zwrócił na to uwagi. - W zeszłym roku była już mężatką, więc kupiłem sobie jakieś mrożonki, od - grzałem i zjadłem przed telewizorem.

Milczała. Pomimo wszystkich plotek, które słyszała o nim i Jane, nie przypuszczała, że łączy ich taka zażyłość. A tu nagle okazuje się, że są sobie bardzo bliscy. Ogarnął ją przygnębiający smutek.

Tymczasem on wcale nie myślał o świętach sprzed lat. Skupił się na planowaniu tych, które były przed nimi. Delikatnie przegarniał jej włosy, pasemko po pasemku.

- U kogo zjemy świąteczny obiad? U mnie czy u ciebie? - zapytał rzeczowo. - I kto gotuje?

Ucieszyła się, że Coltrain chce spędzić z nią święta. Nie potrafiła mu odmówić. Chwilowo zapomniała o urażonej dumie.

- Jeśli chcesz, możemy spotkać się u mnie - zaproponowała.

- Wobec tego przygotuję coś do jedzenia.

Uśmiechnęła się.

- Przyjemnie będzie mieć miłe towarzystwo przy świątecznym stole.

- Tak ustawię dyżury, żebyśmy pracowali w Wigilię, a nie w pierwszy dzień świąt - obiecał.

Otoczył ją ramieniem i mocno przytulił. Po raz pierwszy w życiu doświadczał tak błęgiego spokoju i zadowolenia. Równie silnej więzi z drugą osobą nie odczuwał nawet wtedy, gdy był z Jane. Nagle zrozumiał, że dopóki nie poznał Lou, nawet nie przychodziło mu do głowy, że z Jane nie potrafiłby stworzyć trwałego związku. Nawet gdyby nie wyszła za Todda Burke'a, prędzej czy później ich drogi musiałyby się rozejść.

To było poważne odkrycie. Kobieta którą trzymał w ramionach, niepostrzeżenie stała mu się bardzo bliska i droga. Niewykluczone, że gdyby jej wtedy nie pocałował pod jemiołą, nigdy by się nie zorientował. Westchnął głęboko i przytulił policzek do jej włosów. Miał wrażenie, że po długiej podróży wraca do domu. Przez całe życie szukał czegoś, co w tej chwili było naprawdę bardzo blisko.

Tulił ją tak mocno, że przez ubranie czuła metalową klamrę jego paska, a mimo to chciała być jeszcze bliżej. Przyłgnęła do niego z całych sił. Odgadł jej intencje i przysunął się bliżej. Przy okazji otarł się o nią w taki sposób, że własne niezaspokojone pożądanie ukłuło go jak żądło. Syknął instynktownie i na moment wstrzymał oddech.

- Przepraszam... - szepnęła Lou. Chciała się odsunąć, ale ją przytrzymał.

- Nic na to nie poradzę - powiedział, muskając wargami jej czoło. - I nie jest to żadna groźba - uspokoił ją. Bardzo się cieszył, że Lou budzi w nim tak gwałtowną żądzę.

- Nie chcę, żeby przeze mnie było ci nieprzyjemnie.

Uśmiechnął się leniwie.

- A kto mówi o nieprzyjemnościach. - Pocałował ją w skroń. - Bądź spokojna, nic ci nie grozi. Po pierwsze, w każdej chwili ktoś może tu wejść, a po drugie, obora nie nadaje się do uprawiania miłości. Wyłącznie ze względów sanitarnych.

Doceniła jego poczucie humoru.

- Akurat ta obora jest wyjątkowo czysta.

- To nie wystarczy - mruknął. - Poza tym mam za sobą długi post. A kiedy nie szukam partnerki, nie jestem przygotowany do nieplanowanych erotycznych akcji.

- Długi post? - powtórzyła, patrząc mu w oczy z niedowierzaniem. - Teraz, kiedy Nickie biega po szpitalu w kusych sukienkach, żeby ściągnąć na siebie twoją uwagę?

Myślała, że go tym rozbawi, ale on był wyjątkowo poważny. Delikatnie przesunął palcem po jej nosie.

- Nie chodzę do łóżka z byle kim - wyznał - a jeśli już mam przyjaciółkę, jestem bardzo dyskretny. Kiedyś mieszkała tu pewna wdowa. Bardzo się lubiliśmy, więc dawaliśmy sobie to, czego obojemu nam brakowało, ale się z tym nie obnosiliśmy. Rok temu ta kobieta wyszła za mąż, a ja skoncentrowałem się na pracy i prowadzeniu gospodarstwa. I to by było na tyle.

Poczuła się zaintrygowana.

- Czy można... robić to bez miłości?

- Ja i ta kobieta bardzo się lubiliśmy. I to nam w zupełności wystarczyło. Wcale nie musieliśmy być w sobie zakochani.

Poruszyła się niespokojnie.

- Ty nie zrobiłabyś tego z mężczyzną, którego nie kochasz, prawda Lou? Samo pożądanie, choćby nie wiem jak silne, to dla ciebie za mało. - Z namaszczeniem dotknął jej pełnych warg. - Ale my desperacko siebie pragniemy. W dodatku mnie kochasz.

Oparła czoło o jego ramię.

- To prawda - przyznała. - Kocham cię. Ale i tak nie zostanę twoją kochanką.

- Wiem.

- Wobec tego trafił nam się beznadziejny przypadek.

- Tak myślisz? - powiedział rozbawiony. - Proponowałem ci, żebyśmy się zaręczyli.

- To nie to samo, co małżeństwo... - zaczęła.

Położył palec na jej ustach.

- Oczywiście. Pozwolisz mi dokończyć? Zaczniemy od zaręczyn. Na początku roku będę mógł wziąć trochę wolnego, w sam raz na krótką podróż poślubną. Moglibyśmy pobrać się w Nowy Rok.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Pobrać się? My? - Nie mogła pozbierać myśli.

Delikatnie odchylił jej głowę i zajrzał w niespokojne oczy.

- Nawet seks nie przeraża cię tak bardzo jak małżeństwo, mam rację? Pewnie dlatego, że taki związek oznacza pełne zaangażowanie, które tobie kojarzy się z dobrowolnym podpisaniem cyrografu.

- Małżeństwo moich rodziców było tragiczną pomyłką - stwierdziła. - Mówiłam ci już, że nie chcę skończyć jak moja matka.

- Pamiętam. A ja mówiłem, że nie jestem taki jak twój ojciec. Przecież nie piję. No... - mruknął, uśmiechając się z zażenowaniem - przyznaję, raz mi się zdarzyło, ale miałem ku temu ważne powody. Na moich oczach pozwalałaś Morrisowi trzymać się za rękę, ale kiedy ja próbowałem cię dotknąć, reagowałaś tak, jakby poraził cię prąd.

Zaskoczył ją tym wyznaniem.

- Naprawdę dlatego się upiłeś?

- Naprawdę.

- Coś podobnego?!

- Nie spieszmy się, dobrze? - poprosił. - Spędzimy razem świętą będziemy się spotykali przez dwa, trzy tygodnie. Zobaczymy, jak nam ze sobą będzie, a potem wrócimy do tematu.

- Zgoda.

Pocałował ją lekko w usta. Znowu chciała się przytulić, lecz on się odsunął.

- Nic z tych rzeczy, pani doktor. - Pogroził jej palcem. - Najpierw musimy lepiej się poznać, a dopiero potem dopuścimy do

głosu nasze gruczoły.

- Jakie gruczoły?!

- Zapomniałaś, czego nas uczyli o gruczołach? Pani doktor! -
podszedł do niej ze srogą miną. - Zaraz ci odświeżę pamięć.

- Nie trzeba. Już sobie przypomniałam! Nie zbliżaj się do mnie,
ty lubieżniku!

Roześmiał się i wziął ją za rękę, ciasno splatając palce z jej
palcami. Kiedy wracali do koni, zastanawiał się nad tym, że po raz
pierwszy w życiu jest tak poważnie zainteresowany małżeństwem.
Gdy spotykał się z Jane, raz czy dwa przyszło mu do głowy, że
mogliby wziąć ślub. Jednak dopiero teraz, kiedy przed chwilą trzymał
w ramionach Lou, zrozumiał, że niczego bardziej nie pragnie, niż żeby
zawsze już byli razem. Tej niezbitej pewności nie dało się
wytłumaczyć jedynie silną fizyczną fascynacją, choć musiał przyznać,
że pod tym względem Lou wyjątkowo go pociąga. Instykt
podpowiadał mu, że chociaż ona go kocha, on musi postępować
bardzo ostrożnie i w żadnym razie nie może ciągnąć jej siłą do ołtarza.
Toksyczny związek rodziców sprawił, że małżeństwo kojarzyło jej się
ze wszystkim, co najgorsze. Coltrain miał absolutną pewność, że ich
wspólne życie będzie wyglądało zupełnie inaczej. Największa
trudność polegała na tym, by przekonać o tym Lou.

Gdy następnego ranka wspólnie zaczęli obchód, Dana jak
zwykle już na niego czatowała. Ledwie ją spostrzegł, natychmiast
wziął Lou za rękę.

- Dzień dobry - powiedział uprzejmie.

Dana była wyraźnie zbita z tropu. Przywitała się jak gdyby nigdy nic, ale cały czas patrzyła na ich splecione ręce.

- Lou i ja wczoraj się zaręczyliśmy - poinformował ją Coltrain.

Jego była narzeczona pobladła. Głośno wciągnęła powietrze, a na jej twarz wypełził sztywny uśmiech.

- A to ci niespodzianka - mruknęła z przekąsem. - Cóż, w tej sytuacji chyba wypada mi tylko wam pogratulować. A ja tak liczyłam na to, że uda nam się odbudować uczucie, które kiedyś nas łączyło - przyznała.

- Nie ma sensu wracać do przeszłości - stwierdził Coltrain, patrząc jej prosto w oczy. - Ja w każdym razie nie mam i nigdy nie miałem takich intencji.

Dana roześmiała się z przymusem.

- Jasne. - Pokiwała głową, zerkając ciekawie na lewą rękę Lou. - Nie widzę pierścionka. Czyżby to była nagła decyzja? - spytała przebiegle.

Lou nerwowo poruszyła ręką, jednak Coltrain dodał jej otuchy mocnym uściskiem.

- Lou jeszcze nie wybrała pierścionka. Jak się na któryś zdecyduje, od razu go dostanie. - Uśmiechnął się leniwie. - Muszę zaczynać obchód - powiedział, lecz zanim odszedł, objął Lou. - Kochanie, jak skończysz, zaczekaj na mnie w pokoju lekarskim, dobrze?

- Oczywiście - odparła i uśmiechnąwszy się niedbale do Dany,

ruszyła w stronę sali chorych.

Dana najwyraźniej miała ochotę jej towarzyszyć.

- Mam nadzieję, że będziesz miała więcej szczęścia niż ja. - Westchnęła. - Coltrain od lat kocha się w Jane Parker. Ze mną chciał się ożenić tylko dlatego, że mnie pożądał, a ja nie chciałam ulec. Zresztą w porównaniu z Jane i tak nie miałam żadnej szansy - powiedziała z goryczą. - Twój ojciec mnie adorował, więc wdałam się z nim w romans, łudząc się, że wzbudzę zazdrość w Coltrainie. To, co zrobiłam, było największą głupotą stulecia - przyznała samo - krytycznie.

- Tak, słyszałam - odparła Lou, patrząc na nią z nieskrywaną niechęcią.

- Domyślam się, że słyszałaś niejedno - zauważyła Dana. - Po tym, co się stało, Coltrain mnie znienawidził. On nigdy nie zmienia poglądów ani nie wybacza błędów. - Dana spojrzała na nastroszoną Lou z zaskakującą sympatią. - Twoja biedna matka musiała mnie serdecznie nienawidzić. Tak samo zresztą jak twój ojciec, który wściekł się, że przez moją lekkomyślność musiał opuścić Jacobsville. Słyszałam jednak, że w Austin wiodło mu się nie najgorzej.

We wspomnieniach Lou wyglądało to zupełnie inaczej, jednak nie mogła obarczać Dany całą winą za tę sytuację. Kiedy zatrzymały się przed drzwiami sali, Lou zapytała poważnym tonem:

- Co dokładnie miałaś na myśli, mówiąc o Jane Parker?

- Musiałaś słyszeć, że Jane była jego pierwszą, i przez długie lata jedyną miłością. Po tej historii z twoim ojcem rozstałam się z

Coltrainem i wyjechałam z miasta. Myślałam, że on i Jane to już przeszłość, ale teraz, po powrocie, widzę, że nie. Wprawdzie ona wyszła za mąż, ale nadal widują się przy różnych okazjach. - Oczywiście Dany załśniły. - Ludzie mówią, że kiedy są razem, Coltrain cały czas patrzy w nią jak w obraz. Zresztą sama się przekonasz. Powinnam ci zazdrościć, a jednak współczuję. Nawet jeśli on się z tobą ożeni, zawsze będziesz tą drugą, tą na otarcie łez. Pewnie pociągasz go fizycznie i bardzo cię pragnie, ale i tak nigdy nie przestanie kochać Jane - powiedziała Dana z naciskiem i odeszła, zostawiając załamana Lou sam na sam z jej rozterkami.

Z słów Dany Lester wynikało, że jej zaręczyny z Coltrainem do złudzenia przypominały to, co teraz „połączyło” go z Lou. Wiedziała, że podoba mu się jej ciało, ale żadnym gestem ani słowem nie dał jej do zrozumienia, że ją kocha. Wiele by dała, by dowiedzieć się, czy on naprawdę wciąż jest zakochany w Jane. Jeśli tak, to ona nie może zostać jego żoną.

Gdy po skończonym obchodzie szła do pokoju lekarzy, na korytarzu spotkała Nickie.

- Gratuluję - powiedziała dziewczyna, uśmiechając się z rezygnacją. - Odkąd zobaczyłam, jak się całujecie na parkingu, wiedziałam, że jestem bez szans. Życzę szczęścia, pani doktor. Podejrzewam, że przyda się pani - rzuciła na odchodnym.

Lou ogarnęło przygnębienie. Wystarczyło raz na nią spojrzeć, by zorientować się, że jest bardzo przygaszona. Kiedy weszła do pokoju lekarzy, Coltrain zerknął na nią znad formularza, który wypełniał, i

zmarszczył brwi.

- Co się stało? - zapytał szorstko. - Dana i Nickie zalały ci za skórę?

- Nic podobnego. Po prostu jestem zmęczona - odparła wykrętnie i dla większej wiarygodności skrzywiła się i zaczęła masować sobie kark. - Jazda konna wymaga niezłej kondycji.

Ucieszył się, że to, co wziął za smutek, jest w rzeczywistości przejawem kiepskiego samopoczucia.

- To prawda. Musimy urządzać takie przejażdżki trochę częściej. Możemy już jechać do przychodni? - zapytał, odkładając na bok papiery.

- Tak, jestem gotowa - odparła.

Poszli do samochodu, zbierając po drodze gratulacje od kolegów i pracowników.

- Dzisiaj przedłużymy sobie przerwę na lunch i poszukamy dla ciebie pierścionka - oznajmił.

- Słuchaj, naprawdę nie muszę...

- Oczywiście, że musisz! - uciął. - Chyba nie chcesz, żeby ludzie gadali, że nie stać mnie na pierścionek zaręczynowy!

- A co będzie, jeśli...

- Lou, to moje pieniądze.

Wzruszyła ramionami. Skoro nie przeszkadza mu, że po jej wyjeździe zostanie mu niepotrzebny pierścionek z brylantem, nie ma sensu się z nim kłócić. Dla niej te zaręczyny były niczym więcej jak jego desperacką próbą uporządkowania osobistych spraw. W końcu

sam mówił, że chce się pozbyć Dany i Nickie.

Najbardziej jednak niepokoiło ją to, co usłyszała o nim i Jane Parker. Od dawna wiedziała, że on i ta kobieta byli sobie bardzo bliscy. Coltrain zawsze mówił o swojej byłej dziewczynie z wielką czułością, jeśli nie wręcz nabożną czcią.

I nagle oświadczył się jej. Choć nie było dla niego tajemnicą, że ona bardzo go kocha, sam ani razu nie zająknął się na temat swoich uczuć. Związek, który chciał z nią stworzyć, był jedną wielką fikcją. Ciekawe, jak by się zachował, gdyby nagle okazało się, że Jane znów jest wolna? Lou wołała o tym nie myśleć. Instykt podpowiadał jej, że nie ma sensu wiązać się z mężczyzną, który przez całe życie będzie wzdychał do innej. Takie małżeństwo byłoby koszmarem i wielką porażką. Wierzyła, że Coltrain chce ułożyć sobie życie. Widocznie miłość do Jane była na tyle silna, że nie potrafił się z niej wyzwolić.

- Nic nie mówisz - zauważył, gdy jechali do przychodni.

- Myślę o panu Baileyu - skłamała. - Jego astma bardzo się nasiliła. Powinien obejrzeć go specjalista. Co myślisz o doktorze Jonesie z Houston?

- Niezły pomysł. Dam Baileyowi jego numer.

Do lunchu pracowali w całkowitej zgodzie i harmonii. Podczas przerwy mimo jej protestów pojechali do jubilera w centrum miasta. Pech chciał, że akurat w tym sklepie, który wybrali, wpadli na Jane.

Zgnębiona Lou z niekłamanym podziwem patrzyła na olśniewającą urodę rywalki: wysokiej, smukłej blondynki, obok której

nie przeszedłby obojętnie żaden mężczyzna.

- Ach, witaj! - rozpromieniła się Jane i uściskała Coltraina tak czule, jakby należał do jej najbliższej rodziny. On również objął ją i serdecznie ucałował w oba policzki. Uśmiechnięty i ożywiony spojrzał na nią tkliwie i powiedział, nie kryjąc podziwu:

- Pięknie wyglądasz. Jak kręgosłup? Ćwiczysz regularnie?

- Oczywiście. - Położyła mu ręce na ramionach i zajrzała w oczy. - Jak zwykle jesteś zabójczo przystojny. - Dopiero teraz spostrzegła, że nie jest sam. - Doktor Blakely? - zwróciła się do Lou uprzejmie. - Miło panią znowu widzieć.

- Robisz zakupy? - zagadnął Coltrain.

- Tak. Kupuję prezent gwiazdkowy dla mojej pasierbicy. Wybrałam te perły - wyjaśniła, wskazując na naszyjnik, który trzymał sprzedawca. - Proszę je zapakować - powiedziała, podając mu kartę kredytową.

- Czy córka Todda mieszka teraz z wami?

- Tak. Jej matka wyjechała z mężem do Afryki, gdzie on zbiera materiały do nowej książki - powiedziała z przekąsem.

- Co słyhać u Todda?

Lou miała wrażenie, że Coltrain zadał to pytanie z pewnym przymusem. Utwierdziło ją to w przekonaniu, że wszystko, co usłyszała od Dany, jest najświętszą prawdą.

- Och, mój mąż jak zawsze jest niemożliwy - roześmiała się Jane. - Oboje jesteśmy bardzo zajęci, ja końmi i promocją ubrań, które sygnuję moim nazwiskiem, a on swoją firmą komputerową. Ale jakoś

sobie radzimy. Todd sporo podróżuje, więc czasem czuję się samotna
- wyznała, patrząc mu w oczy. - Może masz ochotę zjeść ze mną dziś kolację? - zapytała z nadzieją w głosie.

- Oczywiście, że mam - odparł bez namysłu, zaraz jednak dodał:
- ale nie mam czasu. Mamy dziś w szpitalu posiedzenie zarządu.

- Rozumiem. Wobec tego spotkamy się innym razem. -
Westchnęła, po czym spojrzała z wahaniem na Lou. - Wybraliście się razem po prezenty? - zapytała bez przekonania.

Coltrain wsadził ręce do kieszeni.

- Szukamy pierścionka zaręczynowego - powiedział lakonicznie.

- Pierścionka? Dla kogo? - Jane nie kryła zdumienia.

Lou miała ochotę zapaść się pod ziemię. Purpurowa jak piwonia, zacisnęła palce na pasku torebki z taką desperacją, jakby chwyciła się koła ratunkowego.

- Dla Lou. Zaręczyliśmy się - oznajmił Coltrain.

Słyszając, z jakim ociąganiem to mówi, Lou poczuła się jeszcze gorzej. Gdy jednak zobaczyła wyraz osłupienia malujący się na twarzy Jane, otrząsnęła się i zaczęła mówić:

- Nasze zaręczyny to fikcja. Rudy chce się uwolnić od natrętnych adoratek - wyznała, zmuszając się do swobodnego uśmiechu.

- Ach, więc to o to chodzi... - Jane wyraźnie odetchnęła. - Nie wydaje się wam, że to trochę nieuczciwe? - zapytała po chwili, marszcząc czoło.

- Rudy doszedł do wniosku, że to najlepszy sposób. Zresztą

musimy stwarzać pozory tylko przez parę dni. Mój kontrakt za chwilę się kończy i wyjeżdżam z Jacobsville.

W oczach Coltraina błysnął gniew. Nie potrafił powiedzieć, czego oczekiwał, ale Lou mówiła o ich zaręczynach w taki sposób, jakby uznała je za zwykły żart. A przecież on nie oświadczył jej się po to, by pozbyć się innych kobiet: z całego serca pragnął, żeby została jego żoną. Czy to możliwe, że nie zrozumiała jego szczerych intencji?

Jane była nie mniej zaskoczona niż on. Znała go na tyle dobrze, by wiedzieć, że traktuje takie sprawy bardzo poważnie i nie jest mężczyzną, który rozdaje zaręczynowe pierścionki na prawo i lewo. Po rozstaniu z Daną długi czas w ogóle nie interesował się kobietami. Aż tu nagle dotarły do niej plotki o gorącym pocałunku pod jemiolą. Miała nadzieję, że jej przyjaciel znalazł wreszcie kobietę, którą pokocha. Dziwiła się tylko, że wybrał akurat swoją zawodową partnerkę, z którą przez okrągły rok darł koty.

Na dodatek teraz wcale nie wyglądają na szczęśliwie zakochanych. Lou ma minę męczennicy, a Rudy prawie się nie odzywa. Do tego utrzymują, że zaręczyli się tylko na niby. Lou nie kocha Rudego. Gdyby było inaczej, nie traktowałaby jego oświadczyn z taką bez troską. A on, biedak, wygląda na śmiertelnie znużonego.

Jane spojrzała gniewnie na Lou, a potem położyła rękę na ramieniu przyjaciela.

- Rudy, proszę cię, nie rób tego! - powiedziała zdecydowanym głosem. - Te zaręczyny to idiotyczny pomysł. Czy zdajesz sobie sprawę, że kiedy Lou stąd wyjedzie, będzie się z ciebie śmiało całe

Jacobsville? Zepsujesz sobie reputację, stracisz pacjentów - ostrzegała go.

- Miło, że się o mnie troszczysz - odparł łagodnie, wyraźnie zaskoczony reakcją Jane. Nie przyszło mu do głowy, że jego przyjaciółka może mieć pretensje do Lou, która w większym stopniu była niewinnym obserwatorem niż jego wrogiem. To nie ona jego, ale on ją wmanewrował w te zaręczyny.

Myśli Lou pobiegły tym samym torem. Odwróciła się plecami do gablot, w których skrzyły się brylanty, i powiedziała zdecydowanym, pewnym głosem:

- Twoja znajoma ma rację. To rzeczywiście idiotyczny pomysł. Nie mogę tego zrobić - oświadczyła, rzucając im udręczone spojrzenie. - Przepraszam was, ale muszę już iść.

Zdażyła wyjść ze sklepu, zanim po jej policzku popłynęła pierwsza łza. Na oślep pobiegła alejką między butikami i wpadła do damskiej toalety w sklepie wielobranżowym. Tam wybuchła histerycznym płaczem, wypłaszając jakąś skonsternowaną ekspedientkę.

Tymczasem u jubilera zszokowany Coltrain zmarł z wrażenia. Niespodziewana ucieczka Lou wytrąciła go z równowagi. Nie mógł sobie darować, że stało się to akurat teraz, gdy był już tak blisko celu.

- Musisz tyle gadać?! - zdenerwował się na Jane. - Nie masz pojęcia, ile trwało, zanim zdołałem ją przekonać, żeby się ze mną zaręczyła... !

Jane dopiero teraz zrozumiała co zrobiła.

- Przepraszam - jęknęła - ale nie miałam o niczym pojęcia. Rudy, wybacz mi! Tak mi przykro!

- To nie twoja wina. - Wzruszył ramionami. - Użyłem Dany i Nickie jako pretekstu, ale Lou od początku i tak była bardzo niechętna tym zaręczynom.

- Westchnął ciężko. - Obawiam się, że bez względu na to, co zrobię czy powiem, ona i tak odejdzie.

- Nic z tego nie rozumiem - powiedziała Jane bezradnie.

- Lou mnie kocha.

- No, ładnie! - mruknęła, gdyż nic innego nie przyszło jej do głowy. Nie dość, że naskoczyła na Bogu ducha winną Lou, to jeszcze niechcący dostarczyła jej powodów do podejrzeń na temat intymnego charakteru jej znajomości z Rudym. Rzeczywiście byli sobie bliscy, ale jak siostra i brat. Tymczasem mieszkańcy Jacobsville od lat posądzali ich o potajemny romans. Plotki ucichły dopiero, gdy Jane wyszła za Todda. Lou na pewno o tym słyszała. Ciekawe czy w to uwierzyła? Jane nie mogła sobie darować, że zaprosiła Coltraina na kolację, zupełnie ignorując jego towarzyszkę.

- Zdaje się, że nieźle narozrabiałam - kajała się. - Gdybym wiedziała, że jesteście razem, ją też bym zaprosiła - tłumaczyła się. - Myślałam, że w przerwie na lunch wybraliście się razem na zakupy.

- Pójdę jej poszukać.

- Lepiej tego nie rób. Na pewno bardzo cierpi. Ja na jej miejscu wolałabym być teraz sama.

- Przecież jej tu nie zostawię. - Coltrain nigdy w życiu nie czuł

się bardziej podle. - Może i macie rację, że te zaręczyny to był idiotyczny pomysł.

- Jeśli jej nie kochasz, to nawet na pewno - zirytowała się. - Czy chociaż sam wiesz, czego chcesz? Naprawdę zaręczyłeś się z nią tylko po to, żeby uwolnić się od dwóch napalonych idiotek? Zaskakujesz mnie. Jeszcze parę lat temu kazałbyś im iść do wszystkich diabłów i byłoby po sprawie.

Nie odpowiedział. Jego twarz miała nieodgadniony wyraz.

- Moja sprawą czym się kierowałem - rzucił opryskliwie, ucinając dyskusję.

Jane zorientowała się, że Lou musi wiele dla niego znaczyć, i od razu poczuła się jeszcze bardziej winna. Na wszelki wypadek zrobiła nadąsaną minę.

- Kiedyś byliśmy sobie bliscy. Wydawało mi się, że o wszystkim możemy porozmawiać.

- O wszystkim z wyjątkiem Lou - uciął.

- Aha! - Jej błękitne oczy zaśniły radośnie.

- Daruj sobie te domysły - zirytował się.

- Wydaje mi się, że Lou jest zdecydowana stąd wyjechać.

- Zobaczymy.

Coltrain nie posłuchał Jane i wbrew jej radom poszedł szukać Lou. Widział, do którego sklepu wbiegła, więc wszedł tam bez namysłu i udał się prosto pod drzwi toalety. Czuł przez skórę, że ona tam jest. Sprzedawczyni od razu się nim zainteresowała.

- Czy może pani powiedzieć doktor Blakely, że na nią czekam? -

poprosił.

- Doktor Blakely? - upewniła się dziewczyna.

Przytaknął.

- Jest mniej więcej tego wzrostu. - Podniósł dłoń na wysokość swojego nosa. - Ma jasne włosy, ciemne oczy i jest ubrana w beżowy kostium...

- Ach, już wiem. Ta pani jest lekarzem? - Sprzedawczyni nie posiadała się ze zdumienia. - Zawsze myślałam, że lekarze mają stalowe nerwy, a ona płakała tak żałośnie, jakby jej serce pękło. Już do niej idę.

Poczuł się jak skończony drań. Doprowadził ją do łez! Kiedy pomyślał, że Lou, na co dzień taka dzielna i opanowana, płakała przez niego w publicznym miejscu, czuł w piersiach nieprzyjemny ból. Koszmarna sprawa! Zupełnie niepotrzebne zamieszanie. Szkoda, że Jane nie potrafi trzymać języka za zębami. Jest dla niego jak siostra, lecz czasem nadużywała swojej wyjątkowej pozycji i próbowała mówić mu, jak powinien żyć. Swego czasu znaczyła dla niego bardzo wiele i do dziś czuł do niej ogromny sentyment, lecz to nie ona, ale Lou sprawiła, że jego świat stanął na głowie.

Oparł się o ścianę i skrzyżowawszy ręce na piersiach, spokojnie czekał. Sprzedawczyni wyszła z toalety i, uśmiechając się do niego porozumiewawczo, zajęła się klientką.

Chwilę później ujrzał Lou. Była wyraźnie przygaszoną ale nie straciła nic ze swej godności. Głowę trzymała jak zawsze wysoko. Miała lekko zaczerwienione oczy, lecz nie sprawiała wrażenia osoby,

nad którą trzeba się litować.

- Możemy wracać - powiedziała spokojnie.

Wiedział, że nie jest to ani odpowiednie miejsce, ani pora do dyskusji, która zresztą mogłaby się skończyć niepotrzebną awanturą. Przed powrotem do przychodni muszą jeszcze coś zjeść. Bez słowa odwrócił się i wyszedł ze sklepu, licząc na to, że Lou pójdzie za nim.

- Zatrzymam się przy pobliskim barze, gdzie mają niezłe hamburgery i frytki - rzucił, gdy odjeżdżali sprzed centrum handlowego.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wezmę swoją porcję na wynos i zjem w przychodni - powiedziała znużonym głosem. - Nie jestem w nastroju do siedzenia w zatłoczonym barze.

On też chętnie by sobie tego oszczędził. Bez słowa podjechał do okienka, w którym zamawiało się jedzenie z samochodu.

W przychodni Lou od razu zamknęła się w gabinecie. Zaczęła jeść swojego hamburgera, ale gdyby ktoś ją zapytał, nie potrafiłaby powiedzieć, czy jest smaczny, czy nie. Miała dziwne wrażenie, jakby coś w niej umarło. Zrozumiała, co usiłowała jej powiedzieć Dana. Jane Parker jest tak samo ważna dla Coltraina, jak jego ranczo i praktyka. Żadna kobieta nie ma szansy w konfrontacji z największą miłością jego życia.

Do tej pory Lou żyła w błogiej nieświadomości, lecz na szczęście wszystko, co się wydarzyło, można było łatwo odkręcić. Powiedzą ludziom, że te „zaręczyny” to był zwykły żart, którego nie należało brać poważnie. Co do Nickie i Dany, to Rudy na pewno sobie

z nimi poradzi. Wystarczy, że je poinformuje, że nie jest zainteresowany żadną z nich. Z jej doświadczeń wynikało, że jeśli Coltrain tylko zechce, potrafi w paru dosadnych słowach powiedzieć delikwentowi, co o nim myśli. Ciekawiło ją tylko, dlaczego chciał się z nią ożenić. Na pewno nie z miłości. Z czystego pożądania? A może po to, by odegrać się na Jane? Zadręczała się tymi pytaniami, dopóki w gabinecie nie zjawił się pierwszy pacjent. Potem na szczęście nie miała już na to czasu.

Jane dotąd myślała, jak naprawić szkody, które nieświadomie wyrządziła w życiu Rudego, aż znalazła rozwiązanie. Postanowiła wydać pożegnalne przyjęcie dla Lou. Parę dni po pechowym spotkaniu u jubilera zadzwoniła do niego, by powiedzieć mu o swoim pomysle.

- Za tydzień święta - przypomniał jej. - Wątpię, żeby przyjęła zaproszenie. Rozmawia ze mną tylko wtedy, kiedy musi. Poza tym w ogóle się nie kontaktujemy.

Jane wpadła w jeszcze większe przygnębienie.

- A gdybym do niej zadzwoniła... ? - podsunęła z wahaniem.

- Daruj sobie - powiedział. - Nie będzie chciała z tobą rozmawiać. Oboje jesteśmy na indeksie. - Roześmiał się głucho.

- Znasz kogoś, kto mógłby z nią porozmawiać? - westchnęła.

- Drew Morris - odparł cierpko Coltrain. - Ona go lubi.

Nie spodobał mu się jego własny ton. Doskonale wiedział, że jego kolega wciąż nosi w sercu żalobę po zmarłej żonie. On i Lou byli

przyjaciółmi, i niczym więcej. Był tego pewien.

- Myślisz, że go posłucha?

- Dlaczego nie?

- Wobec tego zaraz do niego zadzwonię - zdecydowała.

- Tylko nie spiesz się z wysyłaniem zaproszeń - poradził jej. -
Zaczekaj, aż Lou się zgodzi. Spotkało ją w życiu dużo złego...

- Tak, wiem - odparła. - Och, Rudy, gdybym wiedziała, co
planujesz... Naprawdę chciałam dobrze.

- Jestem o tym przekonany. Gorzej z Lou.

- Pewnie nasłuchiwała się tych idiotycznych plotek.

O tym nie pomyślał.

- Jakich znowu plotek?

- O mnie i o tobie - przypomniała mu. - O tym, że zanim
wyszłam za mąż, byliśmy kochankami.

- To nie jest wykluczone - powiedział w zamyśleniu. - Ale
przecież musi wiedzieć, że... - Urwał w pół słowa. Lou na pewno
rozmawiała z Daną, która zawsze utrzymywała, że on zerwał z nią z
powodu Jane, a nie jej romansu z Blakelym. Inni dorzucili jeszcze
swoje trzy grosze, a przysłowiowym gwoździem do trumny było
spotkanie z Jane, której zachowanie mogło sugerować, że plotki o ich
romansie nie są wysane z palca.

- Co zamierzasz zrobić? - Głos Jane wyrwał go z zadumy.

- Nie wiem, nie mam zbyt dużego wyboru - przyznał. - Lou w
ogóle nie chce wychodzić za mąż.

- Przecież mówiłeś, że cię kocha?

- Bo to prawda. Tego jednego jestem pewien. Ale nie chce za mnie wyjść z obawy, że spotka ją taki sam los jak jej matkę.

- Biedna dziewczyna. Chyba nie miała zbyt wesołego życia.

- Myślę, że było gorzej, niż moglibyśmy podejrzewać - mruknął.

- Dobrze, zadzwoń do Morrisa i poproś, żeby z nią pogadał.

- A ty? Przyjdiesz na przyjęcie?

- Nie wyglądałoby dobrze, gdybym nie przyszedł - stwierdził. - Dopiero zaczęłoby się gadanie, że ona i ja jesteśmy w tak złych stosunkach, że nawet nie przyszedłem na imprezę pożegnalną. A jak się jeszcze rozniesie, że byliśmy zaręczeni, będą mieli o czym mówić przez okrągły rok.

- Ja pewnie zostanę napiętnowana jako kobieta upadła która doprowadziła do waszego rozstania - jęknęła Jane. - Todd będzie zachwycony! Jeszcze nie zdążył przywyknąć do małomiasteczkowej mentalności.

- Miejmy nadzieję, że Drew zdoła ją przekonać. Jeśli nie, zapomnij o całej sprawie. Nie możemy stawiać Lou w krępującej sytuacji.

- To zrozumiałe.

- Jane, dziękuję ci.

- Za co? - obruszyła się. - To ja wpakowałam cię w kłopoty, więc przynajmniej muszę spróbować cię z nich wyciągnąć. Odezwę się, jak będę wiedziała coś więcej - obiecała, kończąc rozmowę.

- Będę czekał.

Wrócił do pracy, nie mógł jednak pozbyć się lęku, który budził

się w nim, ilekroć obserwował wyjątkowo spokojne zachowanie Lou. Gdy na nią patrzył, odnosił wrażenie, że trudne przeżycia ostatnich dni w ogóle jej nie dotknęły. Wprawdzie zaraz po faux pas Jane płakała w sklepie jak skrzywdzone dziecko, lecz jej łzy po miłosnym zawodzie mogły oznaczać coś jeszcze.

Nie ukrywała, że go kocha, ale czy ta miłość była na tyle silną by przetrwać rok obojętności, jaką okazywał jej na przemian z jawną wrogością? Być może to, co do niego czuła, było pewnym rodzajem uzależnienia, z którego wreszcie udało jej się wyleczyć? W końcu on sam nie zrobił nic, by zasłużyć na tę miłość. Biorąc pod uwagę, jak traktował Lou, nie zasłużył nawet na sympatię z jej strony. Jeśli ją straci, będzie musiał żyć ze świadomością, że stało się to na jego własne życzenie. Jeśli jednak Drew zdoła ją namówić na przyjęcie u Jane, on, Coltrain, dostanie ostatnią szansę, żeby ją odzyskać. Tylko na to może jeszcze liczyć.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Następnego dnia Drew umówił się z Lou na lunch. Był piątek: równo za tydzień w przychodni miała rozpocząć się świąteczna przerwa w pracy. W następną sobotę będzie Wigilia. Jane zmieniła plan i postanowiła urządzić przyjęcie za dwa tygodnie, w piątek przed sylwestrem. To ostatni dzień, kiedy Lou wystąpi w roli zawodowej partnerki Coltraina.

- Zaskoczyłeś mnie - powiedziała do Morrisa, kiedy jedli tartę w jednej z pobliskich restauracji. - Od bardzo dawna nie zapraszałeś mnie na lunch. O co ci chodzi?

- Być może wyłącznie o miłe towarzystwo i smacznie jedzenie.

Roześmiała się.

- A prawdziwy powód?

- No, dobrze. Ktoś mnie tu przysłał z misją.

Zastygła z widelcem przy ustach.

- Kto to taki?

- Jane Burke.

Natychmiast odłożyła widelec. Z jej twarzy znikł wyraz odprężenia.

- Nie mam jej nic do powiedzenia - oznajmiła stanowczo.

- Ona o tym wie. Dlatego poprosiła mnie, żebym z tobą porozmawiał. Źle zinterpretowała pewną sytuację i jest jej z tego powodu bardzo przykro. Pragnie naprawić ten błąd i przy okazji przeprosić cię za to, co powiedziała. Dlatego postanowiła urządzić dla ciebie pożegnalną imprezę w piątek przed sylwestrem.

Lou gniewnie popatrzyła na kolegę.

- Nie życzę sobie, żeby ta kobieta urządziła dla mnie imprezy.

Mnie tam na pewno nie będzie.

Drew uniósł brwi.

- Czujesz się dotknięta, tak?

- Zarzuciła mi, że chcę zepsuć Rudemu opinię i zrujnować życie osobiste. Jakim prawem? To nie o mnie plotkuje całe miasto, tylko o niej. Na dodatek jest mężatką!

- Lou, uspokój się. Jesteś czerwona jak burak!

- Bo jestem wściekła! - wyrzuciła. - Ta kobieta... Jak ona mogła?!

- Ona i Rudy są przyjaciółmi. I nic ponadto. Poza przyjaźnią nic ich nigdy nie łączyło. Czy ty mnie słuchasz?

- Słucham. Skoro jesteś taki mądry - syknęła, pochylając się ku niemu - to mi powiedz, że Coltrain nigdy nie był w niej zakochany. I że nadal nie jest!

Drew bardzo chciał to potwierdzić, jednak nie miał pojęcia, co Rudy czuje do Jane. Wiedział tylko, że bardzo przeżył jej zamążpójście. I że czasem mówił o niej tak, jakby była dla niego najważniejsza na świecie. Jednak od pamiętnej szpitalnej imprezy gwiazdkowej na początku grudnia bardzo wiele się zmieniło.

- A widzisz? - mruknęła. - Nie możesz temu zaprzeczyć. To, że Rudy mi się oświadczył, wcale nie znaczy...

- Poprosił cię o rękę?!

- Nie wiedziałeś? Zrobił to, żeby uwolnić się od Nickie i Dany -

mówiła popijając kawę. - Potem wpadł na pomysł, żebyśmy naprawdę wzięli ślub. Wykorzystał to, że miałam słabszy moment - zaznaczyła, nie wchodząc w szczegóły. - I w ten oto sposób któregoś dnia pojechaliśmy po pierścione. U jubilera spotkaliśmy Jane. Była dla mnie wyjątkowo niemiła. A Rudy nawet nie próbował jej powstrzymać. Szczerze mówiąc, zachowywał się tak, jakby mnie przy tym nie było.

- I to cię najbardziej zabolalo?

- Chyba tak. Nie mam żadnych złudzeń co do niego. - Uśmiechnęła się gorzko. - Wiem, że lubi się ze mną całować, ale mnie nie kocha.

- A on? Wie, co do niego czujesz?

Kiwnęła głową.

- Nie potrafię ukryć takich rzeczy. Nawet ślepy zauważyłby, co się ze mną dzieje.

Drew delikatnie wziął ją za rękę.

- Lou, przemyśl to jeszcze raz. Może jednak warto dać mu szansę? Jane naprawdę chce cię przeprosić. Pozwól jej urządzić to przyjęcie. Będziesz miała okazję, żeby spokojnie porozmawiać z Rudym. Zapytaj go wprost, dlaczego chce się z tobą ożenić. Możesz być zaskoczona tym, co ci powie.

- Wątpię. Dobrze wiem, o co mu chodzi - odparła z przekonaniem. - Tylko że ja wcale nie chcę wychodzić za mąż. Bardzo go kocham, ale wiem też, jakim koszmarem jest małżeństwo. Nie mam zamiaru pakować się w takie bagno.

- Mówisz tak, bo nie widziałaś dobrego, szczęśliwego związku - powiedział z naciskiem. - Na przykład takiego jak ten, który stworzyliśmy z Eve. Lou, przeżyłem dwanaście wspaniałych, cudownie szczęśliwych lat. Uwierz mi, że to, jakie będzie twoje małżeństwo, zależy wyłącznie od ciebie.

- Moja matka tolerowała wszystkie występki ojca - rzekła krótko.

- To, co do niego czuła, nie miało nic wspólnego z prawdziwą miłością - powiedział cicho. - To była jedna z form dominacji. Nie widzisz różnicy? Pomyśl tylko, gdyby twoja matka naprawdę kochała męża, zrobiłaby wszystko, żeby go ratować. Walczyłaby o niego, kazałaby mu zerwać z nałogami.

Miała wrażenie, że nagle otwierają jej się oczy. Nigdy dotąd nie analizowała związku swoich rodziców pod takim kątem.

- Ale on był dla niej okropny... - jęknęła.

- Współuzależnienie - wyjaśnił krótko. - Przecież miałaś na studiach podstawy psychologii, powinnaś coś pamiętać.

- Pamiętam. Tylko że oni byli moimi rodzicami.

- Rodzice, jak wszyscy inni ludzie, mogą stworzyć rodzinę, która nie funkcjonuje, jak powinna. - Uśmiechnął się na widok jej zaskoczonej miny. - Lou, ty nie wychowywałaś się w normalnych warunkach, twoja sytuacja rodzinna była po prostu chora. Dlatego nie jesteś w stanie zaakceptować małżeństwa. - Poglądził jej dłoń. - Lou, ja dorastałem w cudownym domu. Miałem rodziców, którzy o mnie dbali, troszczyli się, wspierali moje poczynania. Czułem się kochany.

Kiedy sam się ożeniłem, potrafiłem stworzyć dobry, solidny i bardzo szczęśliwy związek. To jest możliwe pod warunkiem, że kogoś naprawdę kochasz, ty i on wyznajecie wspólne wartości i jesteście gotowi do kompromisów.

Słuchając go, wpatrywała się w obrączkę, którą nadal nosił na serdecznym palcu lewej ręki.

- Więc w małżeństwie naprawdę można być szczęśliwym? - zapytała. Po raz pierwszy w życiu brała pod uwagę taką możliwość.

- Oczywiście!

- Ale Coltrain mnie nie kocha!

- Spraw, żeby pokochał.

Roześmiała się.

- Chyba żartujesz! Wiesz, jak to z nami było od początku. Przyznaję, był taki moment, kiedy uwierzyłam, że możemy być razem. Gdy jednak zorientowałam się, jak mocno jest związany z Jane, straciłam wszelkie złudzenia. Drew, zjawy nie można pokonać - powiedziała, patrząc mu w oczy. - Sam wiesz to najlepiej, bo żadna kobieta nie zajmie w twoim sercu miejsca, które należy do twojej żony. Powiedz, jak byś się czuł, gdyby nagle okazało się, że jakaś dziewczyna zakochała się w tobie na zabój?

Zaskoczyła go tym pytaniem.

- Cóż... - zawahał się - myślę, że byłoby mi jej żal.

- Podejrzewam, że to właśnie czuje Coltrain do mnie. Pewnie dlatego zaproponował mi małżeństwo. Nie uważasz, że to sensowne wytłumaczenie?

- Ludzie nie oświadczają się z litości.

- Z Coltrainem może być inaczej. Jest jeszcze parę innych możliwości. Na przykład to, że chciał się zemścić na Jane? Albo wyrównać stare porachunki z Daną.

- Coltrain nie jest mściwy.

- Mężczyzna zakochany, zwłaszcza nieszczęśliwie, może być nieprzewidywalny - stwierdziła. - Drew, przysięgam ci, że gdyby mnie kochał, zapomniałabym o moich lękach i wątpliwościach i zostałabym jego żoną choćby dziś. Tylko że on nic do mnie nie czuje. Gdyby mnie kochał, wiedziałabym o tym. W jakiś podświadomy sposób, ale na pewno bym wiedziała.

Drew spojrział na ich złączone ręce.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo ci współczuję - powiedział cicho. - Przykro mi...

- Mnie również. Jeszcze ci o tym nie mówiłam, ale zaproponowali mi pracę w Houston. W poniedziałek jadę tam, żeby omówić wszystkie szczegóły, ale wiem już, że przyjmą mnie z otwartymi ramionami. - Podniosła głowę. - Domyślam się, że Coltrain szuka kogoś na moje miejsce. Chyba w końcu uwierzył, że naprawdę odchodzę.

- Nie wiesz, czy kogoś już znalazł?

- Nie. Prawie wcale ze sobą nie rozmawiamy.

- Rozumiem. - Nawet nie domyślał się, że jest z nimi aż tak źle. Dla niego sprawa była jasna: obydwójce wycofali się ze strachu. Kiedy przyszła pora na ostateczny krok, żadne nie miało odwagi go zrobić.

Rozumiał lęki Lou. Ale Coltrain? Czy to możliwe, żeby oświadczył się jej z litości, a potem pożałował pochopnej decyzji? A może jest tak, jak podejrzewa Lou: on nadal kocha Jane?

- Jane to przemiła kobieta - powiedział po chwili. - Gdybyś ją lepiej знаła, wiedziałabyś, że nie skrzywdzi nikogo. Naprawdę żałuje tego, co powiedziała. Przyjmij gest dobrej woli i daj się przeprosić.

- Jeśli ona zorganizuje tę imprezę, Coltrain też tam będzie - mruknęła.

- Ja myślę! Gdyby nie przyszedł, całe miasteczko wzięłoby go na języki. Mówiliby, że jest szczęśliwy, że wyjeżdżasz.

- No, tak, nie kopie się leżącego - westchnęła.

- Właśnie. Przyjdź na przyjęcie do Jane. Jestem pewny, że mogłabyś ją polubić. Miała naprawdę ciężkie życie. Jej ojciec zginął w wypadku samochodowym. To, że ona chodzi, to prawdziwy cud.

- Który ponoć zawdzięcza Coltrainowi. Słyszałam, że kiedy była chora, spędzał z nią każdą wolną chwilę.

- Przyjdiesz?

Odetchnęła głęboko.

- Przyjdę.

- Wspaniale! Jak tylko wrócę do domu, natychmiast zadzwonię do Jane. Zobaczysz, nie pożałujesz. Chciałbym cię o coś prosić, Lou. Wstrzymaj się jeszcze z tym Houston.

Energicznie pokręciła głową.

- Nie, tego na pewno nie zrobię. Chcę stąd wyjechać i zacząć wszystko od nowa. Nikt tu nie będzie za mną tęsknił. Nie zapominaj,

że Coltrain wcale nie chciał, żebym z nim pracowała.

Drew wyraźnie posmutniał. Obydwoje wiedzieli, że jest częściowo odpowiedzialny za obecną sytuację. Mówienie, że chciał dobrze, nie miało najmniejszego sensu.

- Dziękuję za wspólny lunch - powiedziała, żeby przerwać ciszę.

- To ja dziękuję. Na święta jadę do Marylandu, do teściów. Więc gdybyśmy już się nie spotkali, życzę ci wesołych świąt.

- Nawzajem.

Coltrain przyszedł do jej gabinetu dopiero w następny czwartek po południu. Tego dnia kończyli pracę nieco wcześniej, gdyż nazajutrz przychodnia miała być nieczynna z powodu Bożego Narodzenia.

Na początku tygodnia Lou była w Houston, gdzie oficjalnie złożyła podanie o pracę w dużej prywatnej klinice. Została przyjęta i wkrótce miała dołączyć do zespołu lekarzy pierwszego kontaktu. Jak dotąd nie miała okazji powiedzieć o tym Coltrainowi, ponieważ był bardzo zajęty zabiegami, które chciał wykonać przed świętami.

Pierwszą myślą, która przysła jej do głowy, gdy stanął w progu, było to, że wygląda na zmęczonego. Zdawało jej się, że na jego szczupłej twarzy pojawiły się nowe zmarszczki. Z braku snu miał przekrwione oczy.

Wyglądał dokładnie na tyle lat, ile miał.

- Nie mogłaś mi o tym powiedzieć? Musiałaś pisać? - zapytał. W wyciągniętej ręce trzymał list, który do niego wysłała.

- Tego wymagają przepisy - odparła uprzejmie. - Dziękuję za referencje, które mi wystawiłeś.

Nie odpowiedział. Spojrzał na list, który przyszedł z Houston. Wydrukowano go na kosztownym papierze ozdobionym eleganckim tłoczonym logo prywatnej kliniki.

- Znam ich - rzekł, nie kryjąc niechęci. - To typowi snobistyczni profesjonaliści z wielkiego miasta, którzy zachowują się tak, jakby pracowali w supermarkecie. Czy chociaż wiesz, co cię tam czeka? Będziesz miała pięć minut na jednego pacjenta. Specjalny dzwonek przypomni ci, że czas minął. Jako partner najmłodszy stażem, będziesz musiała wykonywać najczarniejszą robotę. Przez pierwszy rok będziesz miała dyżury we wszystkie weekendy i święta. Tak będzie, dopóki nie zatrudnią następnej osoby z krótszym stażem niż twój.

- Uprzedzili mnie o tym. - Rzeczywiście, zrobili to i bardzo ją to przygnębiło.

Coltrain skrzyżował ręce na piersiach i oparł się o ścianę.

- Nie rozmawialiśmy.

- Nie mamy o czym. - Uśmiechnęła się obojętnie. - Zauważyłam, że Nickie i Dana wreszcie skupiły się na pracy. Nie przysparzają mi żadnych kłopotów. A więc masz problem z głowy.

- Prosiłem cię, żebyś za mnie wyszła - przypomniał jej. - Wydawało mi się, że się zgodziłaś. Pojechaliśmy nawet po pierścioneck.

Wspomnienie tamtego popołudnia nadal było dla niej bardzo

przykre. Nie chciała mu pokazać, że wciąż cierpi, więc na wszelki wypadek spuściła wzrok.

- Żebyś mógł uwolnić się od Nickie i Dany.

- A ty w ogóle nie chciałaś wychodzić za męża.

- Nadal nie chcę.

Uśmiechnął się chłodno.

- Chcesz powiedzieć, że już mnie nie kochasz?

Odważnie spojrzała mu w oczy. Nie mogła teraz stchórzyć.

- Zadurzyłam się w tobie - wyznała bez ogródek. - Być może fascynowało mnie, że jesteś nieosiągalny.

- Przecież wiem, że mnie pragnęłaś. I co teraz powiesz?

- Że jestem tylko człowiekiem - odparła, czerwieniąc się lekko. - Ty też nie byłeś obojętny, więc nie bądź taki ważny.

- Podobno zgodziłaś się przyjść do Jane.

- Drew mnie namówił. - Machinalnie dotknęła swojego identyfikatora. - Wiem, że ty i Jane nie macie na to żadnego wpływu. Rozumiem.

- Przestań! Mówisz jak jej mąż.

Zszokował ją agresywny ton jego głosu. Skoro Coltrain przestawał nad sobą panować, musiał być naprawdę wściekły.

- Nie jest dla nikogo tajemnicą, że byłeś w niej zakochany - powiedziała spokojnie.

- Nie zamierzam się tego wypierać - burknął. Po raz pierwszy przyznawał się do tego tak otwarcie. - Lou, ta kobieta jest mężatką.

- Wiem. Cóż mogę powiedzieć... Bardzo ci współczuję - mówiła.

- Naprawdę. Domyślam się, że jest ci ciężko...

- Wielki Boże, patrzysz na to i nie grzmisz? - Rozjuszony wyrzucił w górę ramiona.

- Nic na to nie poradzicie. Ani ty, ani ona - ciągnęła ze smutkiem.

Zdruzgotany pokręcił głową.

- Nic do ciebie nie dociera, prawda? - zapytał z wyrzutem. - Nie chcesz mnie wysłuchać.

- Zostawmy już ten temat - poprosiła. - Lepiej powiedz, czy znalazłeś już kogoś na moje miejsce.

- Tak. To tegoroczny absolwent z Akademii Johna Hopkinsa. Zaczyna pracę drugiego stycznia.

- W tym samym dniu ja zadebiutuję w Houston.

- Mimo wszystko moglibyśmy spędzić razem święta.

Pokręciła głową. Nic nie powiedziała. Nie mogła. Nie potrafiła wydobyć z siebie głosu.

Coltrain wzruszył ramionami.

- Jak sobie życzysz - powiedział cicho. - Wobec tego życzę ci wesołych świąt.

- Dziękuję. Nawzajem.

Słyszała drżenie swojego głosu, ale nie mogła nad tym zapanować. Spaliła za sobą ostatni most, choć wcale tego nie chciała. Czasem myślała, że przez całe życie konsekwentnie dąży do klęski. W czasie studiów czytała o osobowości autodestruktywnej, o ludziach, którzy podświadomie przyczyniają się do samounicestwienia. Niszczą

związki z ludźmi, zanim zdążą na dobre w nie wejść, sabotują własne sukcesy, wszystko, za co się biorą, kończy się porażką. Z nią też tak było. Być może nie była niczemu winna, a skłonność do autodestrukcji wynikała z trudnych przeżyć w dzieciństwie. W tej chwili powód i tak nie miał znaczenia. Straciła Coltraina, a za kilka dni opuści Jacobsville. Jeszcze tylko musi przetrwać imprezę u Jane i może odejść. Droga wolna.

Coltrain zatrzymał się w drzwiach i wolno obrócił w jej stronę. Mrużąc oczy, patrzył na nią tak, jakby chciał ją przejrzeć na wylot. Nie wyglądała na osobę, która cieszy się z trafnej decyzji. W wyrazie jej twarzy nie było śladu zadowolenia czy triumfu.

- Czy gdybyśmy nie spotkali wtedy Jane, też byś się wycofała? - zapytał niespodziewanie.

- Nigdy się tego nie dowiesz.

- Wiem, że nie chcesz mnie słuchać, ale i tak ci to powiem. Przez krótki czas mnie i Jane łączyło coś więcej niż przyjaźń. Głównie z mojej strony. Ona bardzo kocha męża i nikt inny ją nie interesuje. To, co do niej czułem, jest dziś jedynie wspomnieniem.

- Cieszę się. Ze względu na ciebie.

- A ze względu na siebie?

Nerwowo zagryzła wargi.

Spojrzał na nie. Nie odrywał od nich oczu, dopóki nie zobaczył tego, co chciał zobaczyć. Kiedy z wrażenia nie mogła spokojnie oddychać, podniósł wzrok i spojrzał jej prosto w oczy. Jej serce zaczęło bić jak szalone. Z trudem powstrzymała się, żeby do niego nie

podbiec. Marzyła o tym, żeby się do niego przytulić. Gotowa była błagać, żeby całował ją tak samo gorąco jak kiedyś.

- I ty chcesz mi wmówić, że ci przeszło? - powiedział półgłosem.

- Wolne żarty, pani doktor!

Energicznie pchnął drzwi i wyszedł na korytarz, pogwizdując pod nosem.

Lou była zła na siebie, że znowu wydała się z tym, co czuje. Złorzeczając własnej bezsilności, poszła wyjąć kartę kolejnego pacjenta. Jednak odważyła się wejść do gabinetu dopiero wtedy, kiedy miała pewność, że ręce przestały jej drżeć.

Zamknęli przychodnię. Dosłownie w ostatniej chwili Coltrain został pilnie wezwany do szpitala, co w pewnym sensie bardzo ją ucieszyło. Wiedziała, że spotka go jeszcze podczas obchodu, ale nie będzie narażona na to, że zostanie z nim sam na sam.

Skończyła swój obchód późnym popołudniem i przed wyjściem zatrzymała się na chwilę przy stanowisku pielęgniarek. Chciała się upewnić, czy udało się skontaktować z mężem pacjentki, która trafiła do szpitala, gdy nie było go w mieście.

- Znalazłyśmy go - poinformowała ją starsza pielęgniarka. - Niebawem tu będzie.

- Bardzo wam dziękuję.

- Nie ma za co. Taka praca.

Nie zostało już nic, co mogła tu zrobić, więc ruszyła do wyjścia. Nagle z izby przyjęć wypadł zagniewany Coltrain. Wyglądał jak

chmura gradowa. W ostrym świetle lamp jego włosy lśniły niczym żywy płomień. Oczy ciskały gromy.

Dopadł ją jednym susem, obrócił w miejscu i bez słowa wyjaśnienia pociągnął za sobą. Ludzie na korytarzu spostrzegli zamieszanie i zaczęli wymieniać znaczące uśmiechy.

- Co cię napadło? - zapytała przestraszona.

- Chcę, żebyś powiedziała jednemu... - Tu zdusił niecenzuralne określenie - ... dżentelmenowi, że przez cały ranek przyjmowałem pacjentów w przychodni.

Próbowała się opierać, ale on nawet nie zwolnił kroku. Zaciągnął ją do izby przyjęć, gdzie siedział potężnie zbudowany i wyraźnie poirytowany blondyn z zabandażowaną ręką.

Coltrain wreszcie ją puścił, i wskazując brodą mężczyznę, rzucił groźnie:

- No, powiedz mu!

Spojrzała na niego jak na wariata, ale posłusznie odwróciła się w stronę blondyna i wyrecytowała:

- Doktor Coltrain przez całe rano przyjmował pacjentów w swoim gabinecie. Nawet gdyby bardzo chciał i tak nie mógłby się wyrwać, bo jak zwykle przed świętami mieliśmy dwa razy więcej pracy niż normalnie.

Mężczyzna trochę się uspokoił, nadal jednak patrzył na Coltraina takim wzrokiem, jakby chciał go pobić. Nagle usłyszeli, że na korytarzu powstał jakiś zamęt. Po chwili do izby przyjęć wpadła zdenerwowana Jane Burke.

- Todd! Cherry powiedziała, że miałeś wypadek i trzeba było wezwać pogotowie - wołała, z trudem powstrzymując się od płaczu. - Myślałam, że nie żyjesz!

- Nic podobnego - szepnął, po czym przygarnął jej głowę do swojego ramienia. - Głupia kobieto - roześmiał się - nie widzisz, że nic mi nie jest? Przytrzasnąłem sobie rękę drzwiami od samochodu. Nawet nie jest złamana.

Jane spojrzała pytająco na Coltraina.

- To prawda?

Skinął głową. Nadal był bardzo zdenerwowany.

Jane zorientowała się, że coś jest nie tak. Spojrzała na męża, potem na Lou, i jeszcze raz na Coltraina.

- O co chodzi? - zapytała niespokojnie.

Todd łypnął groźnie, ale się nie odezwał.

- Dziś rano, pod nieobecność twojego szanownego małżonką ty i ja mieliśmy schadzke w twoim własnym domu - relacjonował Coltrain. - Wszystko się wydało, bo listonoszka zauważyła szarego jaguara na waszym podjeździe.

- Rzeczywiście, stał tam szary jaguar - potwierdziła Jane. - Jednego z menadżerów firmy, która szyje moją kolekcję. Ale tym menadżerem jest kobieta, a jej samochód jest identyczny jak jaguar Rudego.

Na policzkach Todda Burke'a pojawił się lekki rumieniec.

- Więc to dlatego przytrzasnąłeś sobie rękę... - domyśliła się. - Listonoszka jest siostrą jednego z naszych pracowników, a ten

widocznie od razu musiał cię poinformować, co żona wyprawia za twoimi plecami. Ładne rzeczy! Już ja się z nim rozprawię!

Rumieniec Todda przeszedł w płomienną czerwień.

- Skąd mogłem wiedzieć? - bronił się Todd.

Coltrain cisnął notes na kozetkę, na której siedział Burke.

- To przechodzi ludzkie pojęcie! - wrzasnął.

Wyglądał bardzo groźnie. Mąż Jane wstał z kozetki z równie złowrogą miną.

- Rudy, daj spokój - wtrąciła się Jane. - To nie miejsce na takie awantury.

Jej mąż był innego zdania, ale dał za wygraną. Widocznie wystarczyło mu, że już raz zrobił z siebie głupka, i nie chciał ryzykować następnej wpadki. Nastroszony spojrzał na Lou, zażenowaną podobnie jak on.

- Słyszałem, że musiała pani przez nich zerwać zaręczyny - powiedział niespodziewanie. - Źle się stało, że się nie pobrali. Przestaliby komplikować życie innym.

Lou wpatrywała się w jego pałające gniewem oczy, zapominając zupełnie, że są tu jeszcze dwie osoby. Właśnie przeżyła coś w rodzaju olśnienia. Zdumiewało ją zaskakujące tempo, w jakim wszystko poukładało się w jej głowie. Spokojnie oparła się o kozetkę.

- Doktor Coltrain to najprzyzwoitszy człowiek, jakiego znam - zwróciła się do Todda. - Jestem pewna, że nie uciekałby się do żadnych podstępów i nie zakradał do cudzego domu. Gdyby ufał pan żonie, nie słuchałby pan idiotycznych plotek, którymi żywią się małe

miasteczka. Wybaczy pan, ale tylko głupiec wierzy we wszystko, co usłyszy.

Ze zdziwienia Coltrain aż unióśł brwi. Nie spodziewał się tak żarliwej obrony.

- Dziękuję ci, Lou - szepnęła Jane. - Wiem, że na to nie zasłużyłam, więc tym bardziej jestem ci wdzięczna. Lou ma rację. - Popatrzyła na męża. Była na niego zła i nie zamierzała tego ukrywać. - Wyszłam za ciebie z miłości i wciąż cię kocham, choć sama nie wiem, za co - stwierdziła. - Setki razy mówiłam ci prawdę, ale ty wolisz wierzyć plotkom.

Lou poczerwieniała ze wstydu, ponieważ to samo można było powiedzieć o niej.

Za nic w świecie nie mogła spojrzeć na Coltraina.

- A teraz powiem ci coś, co powinno wybić ci z głowy bezsensowne podejrzenia - zirytowana Jane kontynuowała tyradę. - Miałam z tym poczekać na odpowiednią okazję, ale równie dobrze mogę powiedzieć ci o tym tu i teraz. Jestem w ciąży. I wyobraź sobie, że nie z Rudym.

Burke osłupiał z wrażenia.

- Jane! - wykrztusił dopiero po chwili i nie zważając na obandażowaną rękę, porwał ją w ramiona. - Mówisz poważnie?

- Jak najpoważniej, ty idioto!

Wzruszony zaczął całować ją jak wariat, nie mogła więc powiedzieć nic więcej. Lou poczuła się zażenowana, że jest mimowolnym świadkiem tej sceny, więc po cichu wymknęła się na

korytarz. Tuż za nią wyszedł Coltrain.

- Może to wreszcie go uspokoi - rzucił niechętnie pod adresem Todda. - Dziękuję, że wystąpiłaś w roli mojego adwokata. Szkoda tylko, że nie wierzysz w ani jedno słowo, które powiedziałaś, broniąc mnie tak zaciekle.

- Wierzę, że Jane kocha męża - powiedziała półgłosem Lou. - I wierzę, że nie macie romansu.

- Dziękuję ci bardzo.

- Twoje prywatne życie to twoja sprawa, nie moja.

- Bo sama tak wybrałaś!

Sarkazm w jego głosie głęboko ją dotknął. Resztę drogi do samochodów pokonali w milczeniu.

- Drew bardzo kochał swoją żonę. - Zatrzymali się przy jej fordzie. - Do tej pory nie pogodził się z jej śmiercią i nadal spędza święta z teściami, bo wydaje mu się, że dzięki temu jest bliżej niej. Niedawno zapytałam go, jak by się czuł, gdyby zakochała się w nim jakaś kobieta. Wiesz, co odpowiedział? Że byłoby mu jej żal.

- I co z tego?

- To - odwróciła się, by spojrzeć mu w oczy - że wciąż nie pogodziłeś się ze stratą Jane. Dopóki tego nie zrobisz, nie będziesz w stanie pokochać innej. Na razie nie masz nic do dania. I dlatego nie wyjdę za ciebie za mąż.

Mocno ściągnął brwi. Nie odzywał się. Nie mógł wykrztusić słowa.

- Jane nadal zajmuje ważne miejsce w twoim życiu. Ona

zapomniała już o tym, co było, ale ty wciąż nie potrafisz uwolnić się od przeszłości. Rozumiem to. Może pewnego dnia się z tym uporasz. Dopóki jednak to się nie stanie, nie stworzysz dobrego, trwałego związku.

Zamyślony przesypywał monety w kieszeni.

- Kiedy przyjęli mnie na staż do tego szpitala - zaczął - Jane właśnie zaczynała występować w rodeo. Któregoś dnia spadła z konia i przywieźli ją do mnie. Od razu coś między nami zaiskrzyło. Można to chyba nazwać braterstwem dusz. Zacząłem w wolne dni oglądać ją na arenie, kiedy indziej wychodziliśmy gdzieś wieczorem. Z czasem stała się dla mnie bardzo ważna. Zaprzyjaźniłem się z jej ojcem, który bardzo mi pomógł, gdy kupiłem ranczo i stawiałem pierwsze kroki jako hodowca bydła. Jane i ja znamy się bardzo długo.

- Wiem. Jest bardzo ładna. Drew twierdzi, że ma dobre serce.

- To prawda.

- Pojadę już.

Położył jej rękę na ramieniu.

- Nigdy nie opowiadałem jej o moim ojcu.

Zaskoczył ją. Nie sądziła, że mógłby coś ukrywać przed Jane. Spojrzała mu w oczy. Wpatrywał się w nią z takim skupieniem, jakby w myślach rozwiązywał skomplikowane zadanie matematyczne.

- To dziwne, prawda? - zastanawiał się na głos. - Jest jeszcze coś bardziej zaskakującego, ale nie jestem jeszcze gotów o tym mówić.

Zbliżył się do niej. Chciała się natychmiast odsunąć, powstrzymać go... Nie, wcale nie. Nie protestowała, kiedy zaczął ją

całować, bardzo delikatnie i ostrożnie. Ledwie jej dotknął, otoczyła go ramionami, z radością witając znajomy ciężar i ciepło jego ciała.

W pewnej chwili coś mruknęła pod nosem.

- Co takiego? - szepnął.

- Ludzie patrzą...

Uniósł głowę i rozejrzał się po parkingu. Rzeczywiście, wszędzie było mnóstwo gapiów.

- A niech to... - zirytował się, niechętnie wypuszczając ją z objęć. - Jedźmy do mnie - zaproponował.

Natychmiast pokręciła głową. Bała się, że za chwilę jej wola osłabnie.

- Nie mogę.

- Tchórz!

- W porządku, nie mówię, że nie chcę - przyznała - ale tego nie zrobię. A niech cię wszyscy diabli! - rozzłościła się. - Nie wolno wykorzystywać ludzkiej słabości!

- Oczywiście, że można - sprostował, uśmiechając się szelmowsko. - No, zrób wreszcie coś szalonego. Zaryzykuj. Postaw wszystko na jedną kartę. Traktujesz swoje życie jak laboratorium. Wszystko musi być zaplanowane, poukładane, przewidywalne. Chociaż raz w życiu przestań być taka ostrożna.

- Nie potrafię być lekkomyślna - mruknęła. - I ty też nie powinienes. - Ze smutkiem spojrzała w stronę wyjścia ze szpitala. Na podjeździe stało dwoje ludzi: wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna i smukła blondynka. - To dla niej było to przedstawienie? - zapytała,

wskazując ich ruchem głowy.

- Nie wiedziałem, że tam stoją.

- Jasne! - Roześmiała się z goryczą. Bez słowa wsiadła do samochodu i ruszyła w stronę domu. Kolana wciąż miała miękkie, ale wiedziała, że za chwilę znowu stanie na nogach tak pewnie jak zawsze. Wszystko wróci do normy. Trzeba tylko zapomnieć o Coltrainie, który niepotrzebnie burzy jej spokój. Cieszyła ją myśl, że za kilka dni opuści Jacobsville.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ledwie zdążyła wejść do domu, zadzwonił telefon.

- Jak tam? Ciągłe jesteś roztrzęsiona? - dopytywał się Coltrain.

Z trudem powstrzymała się, żeby nie rzucić słuchawką.

- Czego chcesz?

- Nie wiesz? Oczywiście tego, żebyś zaprosiła mnie na obiad w pierwszy dzień świąt. Nie chcę siedzieć sam przed telewizorem i jeść jakiegoś mrożonego świństwa.

Wciąż była na niego wściekła, że kolejny raz zrobił z nich przedstawienie. Przez najbliższe tygodnie szpital będzie trząsał się od plotek. Co za szczęście, że będzie musiała znosić to tylko przez kilka dni.

- Jedzenie z torebki wyraźnie ci służy - stwierdziła z przekąsem.

- Ale nie ma to jak domowa kuchnia. Przygotuję sos i sałatkę owocową. Ty upiecz indyka i ciasto.

Zawahała się. Marzyła o tym, żeby spędzić z nim świąteczny dzień, jednak rozsądek podpowiadał jej, że jeśli ulegnie tej pokusie, będzie jej trudniej się z nim rozstać.

- Nie bądź taka nieugięta - kusił przymilnym głosem. - Przecież tego chcesz. Wyjeżdżasz zaraz po pierwszym, więc to ostatnia szansa, żebyśmy pobyli razem. Co masz do stracenia?

Szacunek do samej siebie, honor, cnotę, dumę wyliczała w myślach, głośno zaś powiedziała:

- Niech ci będzie. Jakoś to przeżyję.

- Pewnie, że tak! - Roześmiał się. - Będę u ciebie o jedenastej.

Rozłączył się, zanim zdążyła zmienić zdanie.

- Wcale tego nie chcę - mówiła do słuchawki. - Wiem, że robię okropny błąd i że będę tego żałować do końca życia.

Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że przemawia do kawałka plastiku. Zasmucona pokręciła głową. Naprawdę zaczyna tracić rozum przez tego człowieka.

W wigilijny poranek poszła do sklepu po zakupy. Młoda kasjerka była jej pacjentką, więc wybijając ceny, przez cały czas uśmiechała się do niej przyjaźnie. W koszyku Lou, oprócz obowiązkowego indyka znalazła się butelka wina oraz wszystko do przyrządzenia świątecznego obiadu.

- Spodziewa się pani gości w święta? - zagadnęła ją dziewczyna.

Lou zarumieniła się lekko. Kobieta, która za nią stała, leczyła się z kolei u Coltraina, wołała więc nie wchodzić w szczegóły.

- Nie, będę sama. Upiekę indyka, a to, czego nie zjem, zamrozę - tłumaczyła się.

- Aha. - Dziewczyna nie kryła rozczarowania.

- I sama pani wypije całą butelkę wina - oburzyła się ta za nią, zaglądając jej przez ramię do koszyka. - Pani jest lekarzem!

Lou czym prędzej podała kasjerce żadaną sumę.

- W pierwszy dzień świąt nie mam dyżuru - wyjaśniła mocno już wyprowadzona z równowagi. - Wino jest do sosu.

- Ale ono nie nadaje się do gotowania. - Kasjerka sięgnęła po butelkę i wskazała na napis na etykiecie, który czarno na białym

informował: wino bezalkoholowe.

Lou dopiero teraz zorientowała się, że wzięła z półki nie to, co chciała. Pomyłka przyniosła jej jednak tę korzyść, że mogła uśmiechnąć się pobłaźliwie do wścibskiej kobiety, która wyglądała na zawstydzoną.

Po powrocie do domu przygotowała indyka do pieczenia i zajęła się wyrabianiem ciasta. Krzątając się po kuchni, pomyślała, że wino bezalkoholowe to wcale nie taki głupi pomysł. Przynajmniej będzie mogła napić się go bez obawy, że straci głowę i pozwoli Coltrainowi na zbyt wiele.

Na dworze świeciło słońce. Taka pogoda miała utrzymać się przez całe święta, nie było więc szans na białe Boże Narodzenie, ale Lou zastanawiała się, jak wygląda Jacobsville przykryte puszystym śniegiem.

Pod wieczór, gdy świąteczny obiad był już gotowy, a wysprzątane mieszkanie pachniało czystością, włączyła telewizor i usadowiła się w ulubionym fotelu. W spranych dżinsach i obszernej bluzie odpoczywała po całym dniu przedświątecznej krzątania, gdy usłyszała warkot silnika pod domem.

Była ósma wieczorem, a ona nie dyżurowała pod telefonem, więc trochę zaskoczona poszła otworzyć drzwi. Najpierw jednak wyjrzała przez szybkę. Przed domem stał szary jaguar, z którego właśnie wysiadł rudowłosy mężczyzna ze sporym pudłem w objęciach.

- Otwieraj! - zawołał, wdrapując się na schody.

- Co tam masz? - zapytała podejrzliwie.

- Jedzenie i prezenty.

Nie spodziewała się go, o czym nie omieszkała napomknąć, gdy wszedł do środka.

Zaniósł pudło do kuchni i zaczął wykladać na stół jego zawartość.

- Sałatka - oznajmił, wyciągając plastikowy pojemnik. - Sos. - Podniósł do góry garnek przykryty aluminiową folią. - Ciasto czekoladowe. Nie, to nie mój wypiek - wyjaśnił, gdy ze zdziwienia otworzyła usta. - Z cukierni. Nie umiem piec. Zmieści ci się to w lodówce?

- Dlaczego nie zadzwoniłeś? Mogłeś mnie uprzedzić, że przyjedziesz.

- Nie odebrałabyś telefonu. - Uśmiechnął się przebiegle. - Odsłuchałabyś na sekretarce, kto dzwoni, a jak już byś wiedziała, że to ja, udawałabyś, że nie ma cię w domu.

Zawstydziała się. Rzeczywiście, byłoby dokładnie tak, jak przewidywał. Niepokoiło ją, że on z taką łatwością potrafi ją przejrzeć.

Poprzestawiała rzeczy w lodówce, tak by zmieściło się to, co przywiózł, i pomogła mu ustawić pojemniki na półkach.

Kiedy się z tym uporali, wyciągnął z kartonu dwa małe pakunki.

- Jeden będzie ode mnie dla ciebie - oznajmił, podnosząc je wysoko - a drugi od ciebie dla mnie.

Zdenerwował ją.

- Mam dla ciebie prezent! - Poczwała się urażona.

- Naprawdę?

- To, że nie chciałam spędzać z tobą świąt, wcale nie znaczy, że nic dla ciebie nie mam. - Nadała się.

- Na imprezie gwiazdkowej nic mi nie dałaś - zauważył.

- Ja też nic od ciebie nie dostałam.

- Chciałem zaczekać z tym do jutra. - Uśmiechnął się.

- Ja również.

- Mogę to położyć pod choinką?

- Jasne. - Wzruszyła ramionami.

Poszła z nim do pokoju, gdzie stało prawdziwe, sięgające sufitu drzewko pięknie udekorowane lśniącymi ozdobami. Pod nim zaś, na podłodze, rozstawiona była elektryczna kolejka: kolorowe wagoniki tylko czekały, żeby podłączyć je do prądu.

- Poprzednio jej tu nie widziałem - powiedział, pochylając się nad zabawką, do której aż śmiały mu się oczy. - Znam ten model! - zawołał. - Musisz ją mieć parę ładnych lat.

- To prawdziwy zabytek. - Uśmiechnęła się szeroko. - Dostałam ją od matki. Bardzo lubię kolejki. Gdzieś w szafie mam jeszcze dwa komplety torów, ale nie chciało mi się ich rozstawiać.

- Możemy zrobić to teraz? - zapytał z nadzieją w głosie. - Wiesz, gdzie są?

- W przedpokoju. - Rozpromieniła się. - Też lubisz kolejki?

- Czy lubię? Mam ich całe mnóstwo. Wszystkie możliwe wielkości: małe, średnie, miniaturowe i te największe.

- Naprawdę?!

- Jasne. Chodź, pokaż mi, gdzie one są.

Ruszył za nią do przedpokoju i odnalazł w szafie znajome pudełka. Razem wnieśli je do pokoju i przez następne dwie godziny z zapalem łączyli tory i ustawiali zwrotnice. Lou zaparzyła kawę i postawiła dzbanek na podłodze, tak by mogli ją pić, nie przerywając tego pasjonującego zajęcia.

Kiedy wszystko było gotowe, włączyła prąd. W małych drewnianych domkach, na lokomotywie i w wagonikach zapaliły się światełka.

- Bardzo lubię patrzeć na nią, kiedy jest ciemno - wyznała, czekając w napięciu, aż Rudy naciśnie włącznik i wagoniki ruszą z miejsca. - To trochę tak, jakby się podglądało życie małej wioski.

- Wiem, o czym mówisz. - Rozciągnął się obok niej na podłodze i z zachwytem obserwował, jak pociąg, gwizdząc i sapiąc, mknie po krętych torach. - To niesamowite - entuzjazmował się. - W życiu bym nie pomyślał, że lubisz elektryczne kolejki.

- To samo mogę powiedzieć o tobie - odcięła się. - Wiesz, czasem jest mi trochę głupio, że je mam. Niejeden dzieciak marzy o tym, żeby mieć choć najmniejszy zestaw, a ja mam ich tak wiele i wcale się nimi nie bawię.

- Ze mną jest podobnie - podchwycił. - Nawet nie mam siostrzeńca albo siostrzenicy, z którymi mógłbym się pobawić.

- Kiedy dostałeś pierwszą kolejkę?

- Jak miałem osiem lat. Kupił ją dziadek, chyba bardziej dla

siebie niż dla mnie. - Uśmiechnął się. - Oczywiście nie mógł sobie pozwolić na duży komplet, ale pamiętam, że i tak byłem wniebowzięty. Co to była za frajda! - Zaraz jednak spoważniał. - Kiedy ojciec zabrał mnie do Houston, tęskniłem za moją kolejką nie mniej niż za dziadkami. Kiedy po latach wróciłem do domu, nadal działała. Pamiętam, że zabawa sprawiała mi wtedy jeszcze większą przyjemność, bo już nie musiałem bać się ojca.

Ułożyła się na boku i w przyćmionym świetle padającym z choinki oraz miniaturowej wioski obserwowała ciemny zarys jego sylwetki.

- Naprawdę nie rozmawiałeś z Jane o swoim ojcu?

- Nie, nigdy - odparł. - Przez długi czas wstydziłem się o tym mówić.

- Dzieci wykonują polecenia dorosłych, nawet jeśli to, co mają zrobić, jest złe. Przecież nie okradałeś domów z własnej woli.

- Wiedziałem, że to, co robię, jest bardzo złe - powiedział. - Ale mój ojciec był bezwzględny, więc jako dziecko bardzo się go bałem. Chyba wiesz, o czym mówię, prawda? - zapytał ze smutnym uśmiechem.

- Aż za dobrze - przyznała.

Oparł brodę na rękach i przez chwilę w zamyśleniu obserwował ruch wagoników.

- Szybko wyleczyłem się ze złodziejstwa. Pomógł mi sąd dla nieletnich, który dał mi wyrok w zawieszeniu. Miałem szczęście, że spotkałem ludzi, którzy pomogli mi się zmienić. Chciałem jakoś

odwdzięczyć się ze tę troskę, podziękować za okazaną mi pomoc i coś z siebie dać innym. I dlatego poszedłem na medycynę.

- Słuszny wybór. - Lou wpatrywała się w niego jak urzeczona, pieszcząc jego sylwetkę rozkochanym wzrokiem. Kiedy spotykali się poza pracą, był zupełnie innym człowiekiem. Jaka szkoda, że ledwie poznała go prywatnie, musi wyjechać. Pewnie już nigdy ich drogi się nie zejdą. Zasmucona, przeniosła spojrzenie na kolejkę, której znajome dźwięki niczym kołysanka kołysały ją i pomagały odzyskać wewnętrzny spokój.

- Musimy sobie kupić czapki kolejarzy i drewniane gwizdki, które gwizdzą jak stara ciuchcia - stwierdził.

- I specjalne rękawice oraz latarki - podchwyciła.

- Gdyby w pobliżu był sklep z takimi rzeczami, moglibyśmy sobie to kupić. Ale o tej porze w Wigilię i tak byłby już zamknięty.

Zacisnął wargi.

- Gdybyś nie wyjeżdżała, po Nowym Roku moglibyśmy połączyć nasze makiety w jedną wielką. Ustawilibyśmy wszystkie nasze domki, wiadukty i mosty, a potem pojechalibyśmy do któregoś z dużych sklepów dla modelarzy i dokupilibyśmy to, czego by nam brakowało.

Szczerze mówiąc, wolałaby spędzić z nim ten czas dokładnie tak jak teraz. Rozmowa z nim wydawała jej się dużo ciekawsza niż puszczanie kolejki, ale pomysł był ciekawy.

- Fajnie by było. - Westchnęła - Ale już podpisałam umowę i muszę jechać do Houston.

- Umowę można zerwać - zauważył. - Zawsze da się znaleźć jakiś kruczek prawny, który to umożliwi. Trzeba tylko chcieć.

- Jeszcze tylko tego nam brakowało! I tak gada o nas całe miasto - mruknęła. - Kiedy dzisiaj rano robiłam zakupy, jedna z twoich pacjentek dziwiła się, że sama chcę wypić całą butelkę wina.

- Kupiłaś wino?

- Bezalkoholowe.

- Specjalnie? - Uśmiechnął się ironicznie.

- Nie, przez pomyłkę. Ale dobrze, że tak się stało. Ta baba, która za mną stała, robiła złośliwe uwagi. Zdenerwowała mnie. Ale skąd miała wiedzieć, że mówi do córki alkoholika - westchnęła.

- Powiedz mi, jakim cudem twój ojciec tak długo utrzymał się w zawodzie?

- Miał zdolnych asystentów, którzy go kryli. W końcu jednak wszystko się wydało i musiał przejść na przymusową emeryturę. Wielka szkoda, bo był świetnym chirurgiem. Bardzo trudno zniszczyć taką karierę.

- Dobrze się stało, że zmusili go do odejścia. Wyobrażasz sobie, co by było, gdyby pijany uśmiercił jakiegoś pacjenta?

- Nigdy do tego nie doszło. Zawsze znalazł się ktoś, kto go krył.

- Miał facet szczęście, że nikt nie podał go do sądu i nie zażądał wielomilionowego odszkodowania. - Przetawił zwrotnicę, kierując kolejkę na inny tor. - Niezła rzecz - pochwalił.

- Prawda? Gdybym miała czas, mogłabym się tak bawić codziennie. Cieszę się, że przez cały weekend nie mamy dyżuru. Jak

ci się udało to załatwić?

- Groźbą i przekupstwem - zażartował. - Zapomniałaś już, że w zeszłym roku obydwójce dyżurowaliśmy przez całe święta?

- Oczywiście, że pamiętam. Zwłaszcza to, jak przez cały czas skakaliśmy sobie do gardła - powiedziała z przekąsem.

- Uwierz mi, że to było konieczne. - On również obrócił się na bok i podparł głowę na łokciu. - Gdybym się z tobą cały czas nie kłócił, musiałabyś oskarżyć mnie o molestowanie seksualne, bo wcześniej czy później dopadłbym cię na jakiejś leżance.

- Co... takiego? - wyjąkała.

Odgarnął kosmyk włosów, który spadł jej na twarz.

- Uciekałaś przede mną za każdym razem, gdy próbowałem się do siebie zbliżyć. I to cię uratowało. Pragnę pani od bardzo dawna, droga pani doktor. Bóg mi świadkiem, że z tym walczyłem.

- Przecież kochałaś Jane!

- Owszem, ale bardzo krótko - wyznał, wodząc palcami po jej policzku. - Myślę, że bardziej niż uczucie kierowało mną przyzwyczajenie, z którym zresztą łatwo zerwałem, gdy Jane wyszła za mąż. Todd podobnie jak ty trwał w przekonaniu, że cały czas mamy romans. Upłynęło sporo czasu, zanim uwierzył, że to nieprawda. Ty też uparcie robiłaś z nas kochanków.

Nerwowo zmieniła pozycję.

- Nie ja jedna w to uwierzyłam. Plotkowało o was całe miasto.

- Życie w tak małej społeczności ma swoje dobre i złe strony. - Jego dłoń powędrowała teraz do jej warg. Smukłe palce zaczęły

obrysowywać ich kształt.

- Czy... czy możesz tego nie robić?

- Dlaczego? Przecież sprawia ci to przyjemność. Mnie zresztą też. - Przysunął się bliżej, a kiedy chciała się odsunąć, natychmiast ją przytrzymał. Uniósł się na łokciu i spojrzał jej w oczy.

- Słyszę bicie twojego serca - szepnął z ustami przy jej ustach. - I przyspieszony oddech. - Delikatnie położył rękę na jej piersi. - Czujesz to? - zapytał półgłosem. - Twoje ciało lubi, kiedy je dotykam.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale on potraktował to jak zaproszenie do pocałunku. W pierwszej chwili nerwowo naprężyła mięśnie, jednak ten opór nie trwał długo. Jest Wigilia. Ona go kocha. Nie ma sensu z tym walczyć. Bo i po co?

Musiał przechwycić te myśli, bo przez cały czas był dla niej wyjątkowo czuły i łagodny. Tym razem niczego nie narzucał, niczego się nie domagał. Pochylony nad nią całował ją bez pośpiechu i delikatnie pieścił.

- Oboje wiemy - szepnął - dlaczego twoje ciało reaguje na bodziec, jakim jest mój dotyk. Ale nikt nie potrafi wyjaśnić, dlaczego to jest takie przyjemne.

- Przyczyna... i skutek? - Wstrzymała oddech, poczuła bowiem, jak jego dłoń wślizguje się pod jej bluzę i zaczyna pieszczotliwie gładzić rozpaloną skórę na piersiach.

Pokręcił głową.

- To chyba nie o to chodzi - mruknął, zmagając się z zapięciem koronkowego biustonosza. - Czy możesz to rozpiąć?

Zrobiła, o co prosił.

- Tak jest dużo lepiej - westchnął, głaszcząc jej ramiona i piersi.

- Czy jesteś gotowa to oddać?

- Słucham... ?

- Czy jesteś pewna, że tego chcesz? Twoje ciało jest obojętne na pieszczoty innych mężczyzn. Gdyby było inaczej, twoje dziewictwo byłoby dziś odległym wspomnieniem. Pozwalasz mi na to, na co dotąd nikomu nie pozwalałaś. - Delikatnie zamknął w dłoni jej pierś. - Widzisz? - szepnął, gdy zadrżała i instynktownie wygięła się. - Kochasz, kiedy cię dotykam. Mogę dać ci coś, czego jeszcze nie znasz. Czy chcesz, żeby zamiast mnie dał ci to ktoś inny?

Znowu poczuła na wargach jego usta. Gdyby mogła mówić, odpowiedź brzmiałaby: nie! Nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby robić takie rzeczy z innym mężczyzną. Mocno objęła go za szyję. Wtedy położył się na niej i wsunął nogę między uda. Drgnęła, czując na biodrach ciężar jego bioder, ale nie próbowała uciec.

- Rudy... - Nie wiedziała, czy w jej słabym, łamiącym się głosie jest więcej skargi, czy błagania.

Muskał wargami jej zamknięte powieki, zbierając łzy, które spływały po jej skroniach. Kiedy napał na nią biodrami, wstrząsnął nią rozkoszny dreszcz.

On też go poczuł, lecz jak tępe pulsowanie.

- Dobrze nam ze sobą - szepnął. - Nawet tak jak teraz. Wyobraź sobie, że jesteś naga...

Krzyknęła, tuląc twarz do jego szyi.

Nadal całował jej oczy, dotykając rzęs koniuszkiem języka. Nie ruszał się, leżał bardzo spokojnie, skupiony wyłącznie na tym, by było jej dobrze. Wbiła paznokcie w jego ramiona bezradna wobec faktu, że zupełnie straciła kontrolę nad swoim ciałem.

On jednak potrafił utrzymać w ryzach swoją żądzę. Uspokajał ją czułymi pocałunkami i delikatnie głaskał po twarzy.

- Przez cały rok - szeptał - nie wiedzieliśmy o sobie zupełnie nic.
- Chwytał zębami jej wargę, a kiedy drgnęła, uśmiechnął się do siebie.
- Kolejki elektryczne, stare filmy, opera, gotowanie, jazda konna.
Naprawdę nie sądziłem, że jesteśmy aż tak do siebie podobni.

Zmusiła się, żeby leżeć spokojnie. Najchętniej oplotłaby go nogami i całowała, dopóki nie ustałoby to przyjemne pulsowanie w dole brzucha.

Wiedział, o czym marzy. Kilka razy poruszył biodrami, wiedząc, że daje jej rozkosz.

- Nie czujesz lęku przed nieznanym? - zapytał. - Nie boisz się?
- Przecież jestem lekarką.
- Ja też jestem lekarzem. Czy to coś zmienia?
- Wiem... czego się spodziewać.
- Oj, chyba nie wiesz - uśmiechnął się. - Potrafisz opisać proces, znasz jego mechanizm, ale nie masz pojęcia, jakie czekają cię doznania. Nie masz pojęcia, jak wielkie będzie twoje pragnienie, i nawet nie jesteś w stanie wyobrazić sobie, że w którymś momencie będziesz płakała jak dziecko.
- Nie mam nic... - jęknęła bezradnie.

- Nic?

- Nic, czym mogłabym się zabezpieczyć.

- Ach, o to ci chodzi. - Pocałował ją tak czule, że przez sekundę czuła się uwielbiana. - Nie martw się - pocieszył. - Dzisiaj nie będzie ci to potrzebne. Chyba zgodzisz się ze mną, że dzieci powinny być poczynane w prawowitym, małżeńskim łożu. Nie jest tak?

- Nie - odparła bez namysłu. - Zaraz, o czym ty mówisz... ? Jakie dzieci? Co one mają z tym wspólnego? - mamrotała spłoszona.

- Lou!

- Chcesz powiedzieć, że...

- Że jak kobieta i mężczyzna uprawiają seks, to mogą być z tego dzieci. Spałaś na biologii?

- Oj, przestań!

Śmiejąc się, przytulił ją do siebie, a potem przetoczył się na podłogę. Wolał to zrobić teraz, póki jeszcze mógł.

- Ale jesteśmy napaleni - mruknął ochryple, leżąc obok niej na brzuchu. - Musisz jak najszybciej za mnie wyjść. Mówię poważnie.

Usiadła obok niego i podciągnęła kolana pod brodę. Zaczepnęła głęboko powietrza, lecz wciąż miała nierówny oddech. Nieświadoma tego, co robi, na głos powiedziała, że jeszcze nigdy nie było z nią tak źle.

- Będzie jeszcze gorzej - ostrzegł ją. - Pragnę cię. Nigdy nie pragnąłem mocniej.

- Jak to? A Jane... ?

Roześmiał się i usiadł obok niej. Dziki głód, który czuł jeszcze

przed chwilą, zaczął powoli słabnąć. Wyciągnął dłoń i dotknąwszy policzka, obrócił ku sobie jej twarz.

- To ja zerwałem z Jane - powiedział, patrząc jej w oczy. - Chcesz wiedzieć, dlaczego?

- Zerwałeś z nią? - Nie wierzyła własnym uszom.

Kiwnął głową.

- Nigdy nie mówiłeś, że to ty zakończyłeś wasz związek.

- A po co miałem ci o tym mówić? Najpierw trzymałaś mnie na dystans, więc nawet nie mogłem sprawdzić, czy coś między nami zaiskrzy. Potem upierałaś się, że mam bzika na jej punkcie.

- Wszyscy tak mówili - szepnęła.

- Ja nie jestem wszyscy.

- Wiem... - Wyciągnęła rękę i dotknęła go niepewnie. Gest był niesłychanie prosty, ale ona miała wrażenie, że poruszyła się pod nią ziemia. Nieśmiało dotknęła jego włosów, twarzy, ust. Uśmiechnęła się.

- Nie przestawaj. Więcej odwagi. - Wziął ją za drugą rękę i wsunął sobie pod bluzę.

Spojrzała na niego niepewnie.

- Nie bój się, nie dam się uwieść - obiecał. - Czy teraz czujesz się pewniej?

- Przed chwilą naprawdę niewiele brakowało - powiedziała poważnie. - Nie chcę... Nie chcę, żeby przeze mnie było ci źle.

- Od tego nic mi nie będzie. Zaufaj mi.

- Zdaje się, że nie mam innego wyjścia. Zresztą, gdybym ci nie

ufała, już dawno poszukałabym innej pracy.

- No właśnie.

Zachęcił ją, żeby wsunęła obie ręce pod gruby biały materiał. To jej jednak nie wystarczyło. Chciała na niego patrzeć...

Mimo półmroku zdołał dojrzeć wyraz jej twarzy i w lot odgadł, czego pragnie. Uśmiechnął się i jednym ruchem ściągnął bluzę.

Spojrzała na jego szeroki tors i muskularne ramiona, myśląc o tym, że to, co widzi, jest po prostu piękne.

Przyciągnął ją do siebie i posadził między swoimi nogami. Ich ciała zetknęły się w najintymniejszym miejscu, budząc w niej nową falę doznań.

- Jak dobrze... - szepnął. Ostrożnie wsunął ręce pod jej ubranie i delikatnie je z niej zdjął. Po chwili jej bluza wylądowała tam, gdzie wcześniej upadła jego. Teraz on na nią patrzył, rozkoszując się urodą kształtnych piersi. Potem przytulił ją do siebie i zamknął w ciasnym uścisku, tak aby nagie ciało przylgnęło do nagiej skóry. Tym razem to jego przeszył dreszcz.

Zaczęła gładzić twarde mięśnie jego pleców. Potem pierwszy raz sama odszukała jego usta i pocałowała go. Obydwoje byli bardzo podnieceni, ale w tej jednej chwili było w nich więcej łagodnej czułości niż ślepego pożądania.

Raptem jęknął, porażony gwałtownym pragnieniem, od którego aż zakręciło mu się w głowie. Czuł się tak, jakby miał wysoką gorączkę.

- Rudy... - szepnęła, dotykając ustami jego ust.

- Nie bój się. Nie pójdziemy na całość. Pocałuj mnie jeszcze raz.

Zrobiła to, tuląc się do niego mocno. Zdawało jej się, że cały świat się kołysze.

- Kocham cię - wyszeptała. - Nie umiem powiedzieć, jak bardzo.

Pocałował ją mocno, głęboko, namiętnie, kurczowo zaciskając palce na jej ramionach. Trwali tak przez kilka sekund, nie mogąc oderwać się od siebie. Zupełnie, jakby przepłynął między nimi prąd i złączył ich ciała w jedno.

Dopiero po chwili przerwał pocałunek i położywszy dłonie na jej biodrach, przytrzymał ją, żeby się nie poruszała.

- Przepraszam - mruknęła speszona.

- No, wiesz. Przecież ja to uwielbiam. - W jego głosie słychać było żal. - Chyba zapędziliśmy się trochę za daleko...

Łagodnie odsunął ją, a potem podniósł się z podłogi i pomógł jej wstać. Stanęli naprzeciw siebie i długo się sobie przyglądali. W końcu on otrząsnął się z zauroczenia i sięgnął po ich ubrania. Podał Lou jej rzeczy, a sam szybko włożył bluzę. Podczas gdy ona się ubierała, obserwował sunącą po torach kolejkę.

Nagle odwrócił się w jej stronę i kryjąc ręce w kieszeniach, stwierdził obojętnym tonem:

- Właśnie dlatego rozstałem się z Jane.

Lou znowu poczuła się zła i zazdrosna.

- Bo nie chciała pójść z tobą na całość? - Cynizm mieszał się w jej głosie z goryczą.

- Nie. Bo mnie nie pociągała fizycznie. Nie budziła we mnie

pożądania.

Lou wpatrywała się w sunącą kolejkę, odliczając kolejne wagoniki. Chyba dostała pomieszania zmysłów!

- Przepraszam, co powiedziałeś?

- Powiedziałem, że Jane mnie nie pociągała fizycznie - powtórzył całkiem po prostu. - Innymi słowy, nie podniecała mnie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Co ty mówisz?! Przecież kobieta, jeśli się uprze, może podniecić każdego mężczyznę - powiedziała głosem osoby, która dobrze wie, co mówi.

- Zgoda. - Coltrain uśmiechnął się. - Problem w tym, że Jane nigdy nie interesowała mnie pod względem seksualnym. Ponieważ wiedziałem, że ta sfera życia jest bardzo ważna w małżeństwie, stopniowo przestałem się z nią widywać. Potem pojawił się Todd Burke, i nim ktokolwiek zdążył się zorientować, wyszła za niego za mąż. Jeszcze długo po wypadku traktowała mnie jak oazę bezpieczeństwa i trudno jej było ze mną się rozstać. W pewnym sensie była ode mnie uzależniona.

Lou pokiwała głową. Nawet teraz wspomnienie jego bliskich relacji z Jane sprawiało jej ból.

- Sądząc po niespodziance, o której powiedziała mężowi, ich związek nie jest platoniczny. Bardzo się cieszę, że będą mieli dziecko - dodał po chwili.

- Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że nie była dla ciebie atrakcyjna - powiedziała Lou, nie mogąc wyjść ze zdumienia. - Ty i ja...

- O, tak. Ty i ja... - zgodził się. - Wystarczy, że cię dotknę, a krew zaczyna tętnić mi w żyłach. Jestem wtedy jak pijany.

- Znam to uczucie - szepnęła. - Jednak jest pewna różnica między tym, co czujesz do mnie, a tym, co czułeś do Jane, prawda? Mnie po prostu pożadasz...

- Naprawdę myślisz, że to tylko pożądanie? - zapytał półgłosem.
- Czy myślisz, że gdyby chodziło mi wyłącznie o seks, byłbym dla ciebie taki czuły? Czy można to wytłumaczyć li tylko pożądaniem?

- Ja cię kocham - powiedziała z namysłem.

- Tak - odparł, patrząc jej w oczy. - I ja ciebie kocham, Lou - dodał cicho.

A jednak marzenia się spełniają. Do tej pory w to nie wierzyła. Zdumiona podniosła głowę. Dostrzegła w jego źrenicach odbicie swoich oczu. Jest Boże Narodzenie, pomyślała, czas miłości i cudów. Widocznie los chciał, by w jej życiu również zdarzył się cud.

Coltrain milczał. Po prostu na nią patrzył. Chwilę później podszedł do choinki, podniósł leżące pod nią paczuszki i wręczył je Lou.

- To jeszcze nie pora - zdziwiła się.

- Wręcz przeciwnie. Otwórz je.

Nie wahała się długo. Ciekawość zwyciężyła. W pierwszym pakunku było szare pudełeczko, w jakim sprzedaje się biżuterię. Wewnątrz leżała połówka serca ze szczerego złota.

- Sprawdź, co jest w drugim - zachęcał ją. Była tam druga połówka serduszka.

- Złóż obie połowy - polecił jej.

Na breloczku jubiler wygrawerował francuskie motto: *Plus que hier, moins que demain.*

- Rozumiesz?

- „Bardziej niż wczoraj, mniej niż jutro”. - Głos jej drżał ze

wzruszenia.

- Tak właśnie cię kocham - wyznał Coltrain. - Jutro rano zamierzałem jeszcze raz poprosić cię o rękę. Nie widzę jednak powodu, żeby nie zrobić tego teraz. Wiem, że odczuwasz lęk przed małżeństwem, ale pamiętaj, że się kochamy. Jesteśmy do siebie podobni, mamy wspólne zainteresowania, podobają nam się te same rzeczy. Dzięki temu będziemy mogli być razem nawet wtedy, gdy minie największa fascynacja. Obiecuję, że tak wszystko zorganizujemy, żebyś mogła pogodzić pracę z wychowywaniem dzieci. Pamiętaj, że ja nie jestem taki jak twój ojciec, a ty jesteś zupełnie inna niż twoja matka. Zaryzykuj, Lou. I uwierz, że musi nam się udać.

Nic nie mówiła. Spoglądała na obie połówki serca, dziwiąc się w duchu, że Coltrain wybrał dla niej taki sentymentalny i romantyczny bożonarodzeniowy prezent. Przecież nawet nie miał pewności, że zdoła ją przekonać, by została. Mimo to zaryzykował i odkrył przed nią swoje serce. Ujął ją tym bardziej niż najdroższym prezentem.

- Kiedy to kupiłeś? - zapytała przez ściśnięte gardło.

- Po tym jak uciekaś od jubilera - przyznał się. - Wierzę w cuda - szepnął. - Każdego dnia stykam się z nieprawdopodobnymi sytuacjami, a teraz mam nadzieję, że znowu wydarzy się coś niezwykłego.

Podniosła na niego wzrok. Mimo słabego światła dostrzegł w jej oczach błysk łez, nadzieję, radość, niedowierzenie.

- Tak? - zapytał łagodnie.

Nie mogła wydobyć z siebie głosu. Skinęła głową. I już po chwili padła mu w ramiona, taka ciepła, bliska i bezpieczna.

- Boże, bałem się, że cię stracę - szeptał, kołysząc się delikatnie.
- Sam już nie wiedziałem, co robić, co mam mówić, żeby cię zatrzymać.

- Wystarczyło powiedzieć, że mnie kochasz - powiedziała. -
Gdybym o tym wiedziała, zrobiłabym dla ciebie wszystko.

Przytulił ją jeszcze mocniej.

- Nie wiedziałaś?

- Nie wiedziałam. Nie jestem jasnowidzem. Nie powiedziałeś mi o tym.

Pocałował ją, obiecując sobie, że w przyszłości wszystkie ewentualne konflikty będzie zażegnywał w taki właśnie sposób.

- Nie zwlekajmy ze ślubem - poprosił. - Nie zniosę długiego narzeczeństwa.

- Ani ja. Kiedy się pobieramy? - zapytała rzeczowo. - Za tydzień?

- Za tydzień! Ale dziś zostaję u ciebie na noc. Zaniepokojona przytuliła policzek do jego ramienia.

- Nie bój się, nie pójdziemy na całość - obiecał, gładząc ją po głowie. - Chcę przez całą noc trzymać cię w ramionach. Nie wyobrażam sobie, żebym teraz mógł się z tobą rozstać.

- Rudy! Uwielbiam, kiedy tak mówisz.

- A ty? Nie czujesz podobnie?

- Oczywiście, że tak. Ja też nie chcę, żebyś stąd wyjeżdżał.

Roześmiał się, radując się nowym, nieznanym mu dotąd doznaniem, jakim było uczucie całkowitej przynależności i oddania. Poprzysiągł sobie, że ich małżeństwo będzie najlepsze na świecie. Gdy powiedział jej o tym, objęła go za szyję i gorąco pocałowała.

Pożegnalna impreza urządzona przez Jane zmieniła się w przyjęcie weselne, gdyż wypadła dokładnie dzień po ich ślubie. Niewiele brakowało, a zajęci sobą i swoją miłością w ogóle by tam nie poszli.

O poranku Coltrain wpatrywał się z bezgranicznym zachwytem w oblicze swojej nowo poślubionej małżonki. Miała w oczach łzy, bo pierwsze zbliżenie okazało się dla niej bolesne. Lecz miłość w jej spojrzeniu napawała go optymizmem. Zapewnił ją, że ten ból już nigdy się nie powtórzy.

- Trochę się bałam - przyznała.

- Ja też.

- Ty? Czego?

- Że będę musiał zadać ci ból. W pewnym momencie nawet chciałem się wycofać.

- Dobrze, że tego nie zrobiłeś.

- Nie mogłem - roześmiał się. - Już było za późno.

Na przyjęciu u Jane zjawili się w miarę wcześnie. Nikt, kto na nich patrzył, nie wątpił, że świata poza sobą nie widzą. Nie musieli nawet pokazywać eleganckich obrączek, by udowodnić, jak bardzo się

kochają. Wystarczyło, że spojrzeli sobie w oczy.

- Wyglądacie jak dwie połówki jednego jabłka - zauważyła Jane, patrząc na rozjaśnioną twarz Lou.

- Nie musisz nam o tym mówić - odparł Coltrain łobuzerskim tonem. - Kiedy robiliśmy obchód, wszyscy nam to powtarzali - powiedział.

- Obchód? Po nocy poślubnej?! - obruszył się Todd.

- Jesteśmy lekarzami - roześmiała się Lou. - Jak by się pan czuł, gdybyśmy pojechali w podróż poślubną akurat wtedy, kiedy pańska żona będzie rodzić?

Jane przytuliła się do męża.

- Już nie możemy się tego doczekać - powiedziała. - Cherry, córka Todda, też bardzo się cieszy, że będzie miała rodzeństwo. Jestem pewna, że będzie wspaniałą starszą siostrą. Bardzo pilnie się uczy, bo chce zostać chirurgiem.

- Wiem coś o tym - uśmiechnął się Coltrain. - Dostałem już od niej cztery listy w tej sprawie. Koniecznie chce, żebym znalazł dla niej godzinę, bo chce ze mną porozmawiać.

- To moja wina - przyznała Jane. - Sama ją do tego namówiłam.

- W porządku. Znajdę dla niej trochę czasu - obiecał, obejmując Lou jeszcze mocniej.

- Cieszę się, że w końcu doszliście do porozumienia - powiedział Todd. - I przepraszam za swoje głupie podejrzenia.

- Nie pan jeden ma za co przepraszać - uśmiechnęła się Lou. - Ja też miałam głupie myśli. Niewiele brakowało, a zmarnowałabym

sobie życie. - Z uwielbieniem popatrzyła na męża. - Bardzo się cieszę, że lekarze są wyjątkowo uparci.

- To prawda, potrafię być bardzo wytrwały - przyznał Coltrain. - Ale nawet ja przeżyłem chwilę poważnego zwątpienia. Uratował nas Lionel.

- Kto taki???

- Ludzie, gdzie wyście dorastali? Nie znacie takiego modelu kolejki elektrycznej?

- Przecież to zabawka dla dzieci! - Todd wzruszył ramionami.

- Wcale nie - odparła Lou. - Rodzice kupują kolejki swoim dzieciom tylko po to, żeby sami mogli się bawić. Jeśli ktoś nie ma dzieci, nie ma pretekstu.

- I właśnie dlatego chcemy, żeby nasza rodzina jak najszybciej się powiększyła - oznajmił Coltrain, patrząc na nią z wesołym błyskiem w oku. - Żeby mieć pretekst. Żebyście wiedzieli, ile ona ma kilometrów torów! Więcej niż ja!

Jane i Todd robili wszystko, by nie wymienić porozumiewawczych spojrzeń. W końcu jednak nie wytrzymali i wybuchnęli gromkim śmiechem.

- Z kim my się zadajemy, kochanie? - Coltrain zwrócił się do żony. - Co to za ludzie?! Zero klasy, zero kindersztuby, zero szacunku dla świętej instytucji małżeństwa.

- Z czego się śmiejecie? - zainteresował się Drew, który wrócił od teściów specjalnie na tę imprezę.

Jane z trudem pohamowała śmiech.

- Jej jest większy niż jego! - parsknęła.

- Dajcie spokój! - zirytował się Coltrain. - Chodź, kochanie, zatańczmy - powiedział i kręcąc głową z dezaprobatą, pociągnął ją na parkiet.

- Niezły zespół - zauważyła Dana, wskazując na grupę muzyków zaproszonych przez Jane, która zrobiła wszystko, żeby impreza wypadła jak najlepiej. - Przyjmijcie ode mnie najserdeczniejsze życzenia - dodała.

- Dziękujemy - odparli zgodnym chórem.

- Nickie nie przyszła - zauważyła Dana obojętnym tonem. - Podobno od pierwszego stycznia zmienia pracę.

- Mam nadzieję, że będzie zadowolona.

- Oby. Nie przeszkadzam - mruknęła Dana na odchodnym.

- Co powiemy twojemu nowemu wspólnikowi? - przypomniała sobie nagle Lou.

- Nic nie wiem o żadnym wspólniku - odparł z miną niewiniątka.

- Ale jak się ktoś taki pojawi, na pewno przyjmę go z otwartymi ramionami. Auu! Co ty robisz?! - jęknął, gdy z całej siły nadepnęła mu na palec. - No co? Przecież musiałem coś wymyślić, żeby ratować swoją męską dumę - broniła się.

- Wystarczyło powiedzieć, że mnie kochasz.

- Przecież już to powiedziałem. I mogę jeszcze raz powtórzyć. A jak wrócimy do domu, udowodnię ci to raz, drugi, trzeci...

- Genialny pomysł. - Przytuliła się mocniej do niego.

- Jestem tego samego zdania. Tańczmy. Teraz nikt nie może

mieć mi za złe, że cię obejmuję na oczach wszystkich.

- Nareszcie!

Niespodziewanie tuż obok znalazł się Drew Morris wraz z partnerką.

- Może pojechalibyście już do domu? - zagadnął ich.

- Rzeczywiście. Najwyższa pora na uroczystość we dwoje - stwierdził Coltrain.

- Oby nie zabrakło wam szampana - mruknął Drew, oddalając się wraz ze swoją towarzyszką.

Tak się złożyło, że wypili go całkiem sporo, zanim zamknęli się w sypialni, gdzie Coltrain przekazał swojej żonie tajemnicę, o jakich jej się nie śniło.

- O niczym takim nie było w żadnym moim podręczniku medycyny - sapnęła, odpoczywając w jego ramionach.

- Skarbie, czytałaś nie te książki, co trzeba - szepnął, skubiąc zębami jej wargę. - Nie zasypiaj! Jeszcze nie skończyłem.

- Jak to?!

Roześmiał się.

- Myślałaś, że na tym koniec?

- Nie minęło nawet pięć minut... - Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. - Podobno mężczyzna nie może...

Coltrain mógł. I natychmiast dał tego dowód.

Dwa miesiące później, dokładnie w walentynki, Coltrain

podarował żonie naszyjnik z rubinem w kształcie serca. Zrewanżowała mu się wynikami testu ciążowego, który zrobiła sobie dzień wcześniej. Jakiś czas później wyznał jej, że był to najwspanialszy walentynkowy prezent, jaki w życiu dostał.

Gdy upłynęło dziewięć miesięcy, ten „prezent” zmaterializował się pewnego dnia w szpitalu miejskim w Jacobsville. Był to Joshua Jebediah Coltraine.